

ANNE STUART

Czarny lód

Przełożyła:

Klaryssa Słowiczanka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ludzie zachwycają się paryską wiosną, ale dopiero zima w Mieście Świateł jest naprawdę piękna. Drzewa pozbawione liści i mroźne grudniowe powietrze skutecznie odstraszały turystów, z ulic znikają wreszcie głodne wrażeń watahy zwiedzających i życie staje się znośniejsze. Natomiast kiedy przychodził sierpień, Chloe Underwood nieodmiennie zadawała sobie pytanie, co też ją podkusiło, żeby zamieszkać właśnie tutaj, tysiące kilometrów od domu. Jednak zimą przypominała sobie, dlaczego podjęła taką decyzję.

Tak jak wszyscy rozsądni paryżanie, powinna w sierpniu uciekać z miasta, zostawiając je na żer turystom, lecz na razie nie mogła sobie pozwolić na wakacje. Pracowała, ale nie miała urlopów, ubezpieczenia, w ogóle żadnych świadczeń. Cieszyła się, że w ogóle znalazła zajęcie. We Francji mieszkała półlegalnie i dziękowała losowi, że ma dach na głowę, chociaż dzieliła maleńkie mieszkanie z Angielką, osobą zupełnie nieodpowiedzialną.

Sylvia często zapominała zapłacić swoją połowę czynszu, w życiu nie zamiotła podłogi i miała wyjątkową zdolność rozrzucania swoich rzeczy po całej mansardzie, z drugiej strony nosiła ten sam rozmiar co Chloe i chętnie pożyczała jej swoje ciuchy. Postawiwszy sobie za cel życia wyjście za bogatego Francuza, znikła na całe wieczory, wytrwale polując na odpowiedniego kandydata. Wtedy Chloe mogła odechnąć od jej towarzystwa.

Jednak to dzięki Sylvii znalazła obecne zajęcie tłumaczki książek

dla dzieci. Sylvia od dwóch lat pracowała dla wydawnictwa Les Freres Laurent i zdążyła zaliczyć wszystkich trzech braci Laurentów, zapewniając sobie tym sposobem stały dopływ powieści szpiegowskich i thrillerów, które dla nich przekładała. Tłumaczenie książek dla dzieci było mniej popłatne.

Chloe zarabiała mniej od swojej współlokatorce, ale nie musiała przynajmniej prosić rodziców o pieniądze ani ruszać spadku, który zostawili jej dziadkowie. Pieniądze dziadków przeznaczone były na studia, a tłumaczenie książek dla dzieci trudno uznać za zdobywanie wykształcenia, nawet przy najlepszej woli.

Gdyby przekłady nie były tak czasochłonne, może udałoby się jej znaleźć coś ambitniejszego. Francuskim władała doskonale, poza tym mówiła biegle po włosku, hiszpańsku i niemiecku, potrafiła się też całkiem dobrze porozumieć po szwedzku, znała rosyjski, trochę arabski i japoński. Kochała uczyć się języków prawie tak samo, jak gotować, ale ta ostatnia miłość pozostała nieodwzajemniona, przynajmniej tak jej powiedziano, wyrzucając po pierwszym semestrze ze sławnej szkoły kucharskiej Cordon Bleu. Werdykt brzmiał: przerost fantazji, zbyt mało szacunku dla tradycji.

Chloe rzeczywiście nigdy nie żywiła należytego respektu dla tradycji, w tym także dla rodzinnych tradycji lekarskich. Oboje rodzice byli internistami, dwaj starsi bracia chirurgami, a starsza siostra anestezyolożką, może dlatego cała piątka nie mogła pojąć, dlaczego Chloe nie poszła w ich ślady. I nikogo nie obchodziło, że najmłodsza z Underwoodów mdleje na widok kropli krwi.

Co gorsza, rodzice postawili jej twarde warunki - spadek po dziadkach wolno jej było przeznaczyć wyłącznie na opłacenie studiów medycznych, tymczasem ona takowych studiów w ogóle nie zamierzała podejmować. Potrafiła za to wyczarowywać prawdziwe cuda z makaronu i świeżych warzyw, a potem na forsownych spacerach spalała węglowodany, które przejawiały wyjątkowo dużo uczuć w stosunku do jej osoby.

Miała dwadzieścia cztery lata, pogodziła się z faktem, że sylwetka nastolatki to przeszłość, a elegancja, z której słyną Francuzki, to nieosiągalny dla niej ideał. Brakowało jej po prostu stylu, który Sylvia zdawała się posiadać w nadmiarze. Chloe już dawno to przeboleła, bo przecież nie miała innego wyjścia.

Wydawnictwo Les Freres Laurent mieściło się na drugim piętrze starej kamienicy na Montmartrze. Chloe jak zwykle pojawiła się w wydawnictwie pierwsza, zaparzyła sobie mocną kawę i z kubkiem w dłoniach stanęła przy oknie. Nie miała nastroju do pracy. Dzień był wyjątkowo piękny i przygody małej wydry o imieniu Flora niespecjalnie ją interesowały.

Zdecydowanie brakowało w nich seksu i przemocy, za to smrodek dydaktyczny bił na kilometr, a opowiadka ociekała wartościami republikańskimi recytowanymi ku pożytkowi młodocianych przez chudego i zarozumiałego szczura. Chloe zdjęła ochota, żeby trochę namącić w tłumaczeniu i kazać Florze pobaraszkować z łasicą, zamiast wysłuchiwać szczurzych lekcji wychowania obywatelskiego.

Upiła łyk kawy, mocnej jak wiara, słodkiej jak miłość i czarnej jak diabli. Ale to dopiero połowa sukcesu. Paryżanką stałaby się, dopiero

gdyby zaczęła palić, na to jednak nie potrafiła się zdobyć, chociaż sporo już zrobiła w życiu na przekór rodzicom. Jednak rodzice byli teraz daleko i przez to oddalenie stawali się mniej irytujący.

Przez najbliższą godzinę miała być sama w wydawnictwie i mogła ociągać się z rozpoczęciem pracy; nikt nie będzie widział, że próżnuje, zamiast zająć się nudną Florą. Ta przemądrzała wydra coraz bardziej ją irytowała. Chloe naprawdę tęskniła za odrobiną seksu i przemocy.

Uważaj, żeby twoje życzenia się nie spełniły, szepnął ostrzegawczo jej wewnętrzny głos, ale Chloe nie chciała go słuchać. Od dziesięciu miesięcy żyła w celibacie, a ostatni facet, z którym nawiązała tak zwany bliższy kontakt międzyludzki, był tak mdły, tak pozbawiony wyrazu, że zniechęcił ją dość skutecznie do szukania godniejszego następcy. Claude nie był złym kochankiem, szczycił się wyrefinowaną techniką, ale Chloe, prosta Amerykanka, nie potrafiła jakoś docenić jego paryskiego kunsztu.

Bez przemocy mogłaby się ostatecznie obyć, bo przemoc łączy się zazwyczaj z przelewaniem krwi, a na widok krwi robiło się jej niedobrze. Osobistego kontaktu z przemocą raczej dotąd nie miała. Rodzice chronili ją przed mniej przyjemnymi stronami życia, a ona sama miała całkiem nieźle rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Nie zapuszczała się wieczorami w podejrzane dzielnice, pamiętała, by zamykać drzwi na klucz i dziesięć razy rozglądała się w lewo i prawo, zanim postawiła nogę na jezdni, co w Paryżu było konieczne, jeśli człowiek nie chciał zejść z tego świata nagłą i niespodziewaną śmiercią.

Mogła z ufnością spoglądać w przyszłość, spokojnie zimować na niedogrzejanej mansardzie, jeść makarony i zajmować się przygodami Tłustej Flory oraz Toma Banana, choć nie pojmowała, jak banan może mieć jakiegokolwiek przygody. Nie spieszyła się z dokończeniem książeczki o Florze, bo chciała odwlec moment nawiązania bliższej znajomości z owocem południowym.

Powinna znaleźć sobie kochanka. Może Sylvia trafi w końcu na swoją żyłę złota, wyprowadzi się z mansardy, a Chloe pozna jakiegoś miłego, chudego okularnika ze skłonnością do eksperymentów kulinarnych. Usiadła do tłumaczenia i przez dobrą chwilę biedziła się nad zgrabnym francuskim odpowiednikiem słowa „nieustraszony”.

Usłyszała Sylwię, jeszcze zanim ją zobaczyła, bo jej wejście poprzedził charakterystyczny stukot obcasów na schodach i rzucane głośno przekleństwa. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego jej szanowna brytyjska współlokatorka pojawia się w wydawnictwie na trzy godziny przed zwykłym czasem, bo z zasady udawało się jej dotrzeć do Les Freres Laurent koło południa.

Trzasnęły pchnięte z impetem drzwi i w progu pojawiła się Sylvia, zdyszana, ale z nieskazitelną fryzurą i równie nieskazitelnym makijażem.

- Tu jesteś! - zawołała.

- Tu jestem - przytaknęła machinalnie Chloe. - Napijesz się kawy?

- Nie mamy czasu na picie kawy. Chloe, kochana, musisz mi pomóc. To sprawa życia i śmierci.

Chloe zamrugnęła. Na szczęście zdążyła przywyknąć do częstych dramatów w życiu Sylvii.

- Co tym razem?

Sylvia zrobiła urażoną minę.

- Mówię poważnie, Chloe. Jeśli mi nie pomożesz... Nie wiem, co się stanie.

Sylvia postawiła na podłodze walizkę, która wydawała się bardzo ciężka.

- Dokąd się wybierasz i z jakich tarapatów mam cię znowu wyciągać? - W głosie Chloe zabrzmiała nieukrywana rezygnacja.

Ogromna waliza, w której normalny człowiek zmieściłby zapas ubrań na trzy tygodnie, w przypadku Sylvii zawierała garderobę wystarczającą, i to z trudem, na trzy, góra cztery dni. A zatem na tak długo Chloe będzie miała ich mansardę tylko dla siebie. Nie będzie musiała chodzić za Sylvią i zbierać rozrzuconych przez nią gdzie popadnie ciuchów. Będzie mogła szeroko otworzyć okna i nie usłyszy narzekań pod tytułem: „zaraz się przeziębę”. Owszem, chętnie wyekspediuje Sylvie w bliżej nieokreślonym kierunku. Pomoże przyjaciółce.

- Ja nigdzie się nie wybieram. To ty wyjeżdżasz. Zaraz ci wyjaśnię.

Chloe zamrugnęła ponownie.

- Ta walizka...?

- Ta walizka jest dla ciebie. Strasznie się ubierasz, dobrze o tym wiesz. Zapakowałam ci trochę moich rzeczy, tych, w których wyglądasz najlepiej. Poza futrem, ma się rozumieć, bo futra ci nie pożyczę pod żad-

nym pozorem - wyjaśniła Sylvia rzeczowo.

- Nigdy nie prosiłam cię o pożyczenie futra. I nigdzie się nie wybieram. Co by na to powiedzieli bracia Laurent?

- Nie martw się. Jakoś to z nimi załatwię - zapewniła Sylvia, mierząc Chloe uważnym spojrzeniem. - Dzisiaj przynajmniej ubrałaś się jak człowiek, chociaż na twoim miejscu ten szal zarzuciłabym jakoś inaczej, luźniej. Dasz sobie świetnie radę, zobaczysz.

Chloe ogarnęły złe przeczucia.

- Gdzie mam mianowicie dać sobie radę? Weź głęboki oddech, odsapnij, powiedz mi, w czym tkwi problem, może zdołam ci jakoś pomóc.

- Musisz mi pomóc - stwierdziła Sylvia tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Mówiłam ci już, że to sprawa...

- Życia i śmierci - dokończyła uprzejmie Chloe. - Co mam zrobić?

Sylvia trochę się uspokoiła, widząc, że Chloe ustępuje.

- Nic wielkiego. Spędzisz kilka dni w miłym majątku ziemskim. W pałacu, mówiąc dokładnie. Będziesz tłumaczyła rozmowy biznesowe i zarobisz kupę kasy. Uroczy pałacyk, nadskakująca służba, doskonałe żarcie, piękna okolica. Jedyna uciążliwość to towarzystwo nudnych biznesmenów. Musisz się przebierać do kolacji, słuchać o pieniądzach, ale poza tym możesz cieszyć się luksusem. Powinnaś mi dziękować, że cię tam wysyłam, to wspaniała, jedyna w swoim rodzaju okazja.

Argumentacja typowa dla Sylvii. Zawsze potrafiła tak wszystko

przekreślić, żeby jej było na wierzchu.

- Dlaczego nie skorzystasz ze wspaniałej, jedynej w swoim rodzaju okazji?

- Bo obiecałam Henry'emu, że spędzę z nim weekend w Raphael.

- Henry'emu?

- Henry Blythe Merriman. Jeden z dziedziców Merrimans Extract. Jest bogaty, przystojny, czarujący, dobry w łóżku i w dodatku uwielbia mnie. To poważna sprawa.

- Ile ma lat?

- Sześćdziesiąt siedem - powiedziała Sylvia, ani trochę niezbita z tropu.

- Żonaty?

- Skądże! Mam swoje zasady.

- Pod warunkiem, że facet jest bogaty, samotny i jeszcze oddycha - podsumowała Chloe. - A kiedy miałabym wyruszyć?

- Zaraz przyjedzie po ciebie samochód. To znaczy, przyjedzie po mnie, ale już tam dzwoniłam i wyjaśniłam, że mnie zastąpisz. Tłumaczenie symultaniczne angielski-francuski-angielski. Dla ciebie to bułka z masłem.

- Sylvia...

- Proszę, Chloe! Błagam cię! Jeśli wystawię ich do wiatru, agencja nie da mi już żadnego zlecenia, a na wsparcie finansowe Henry'ego nie mogę jeszcze liczyć. Potrzebuję tej roboty. Wiesz, jak marnie płacą bracia Laurentowie.

- Tobie płacą dwa razy więcej niż mnie.

- Zatem tym bardziej potrzebujesz dodatkowych pieniędzy - odparła Sylvia, gładko przechodząc do porządku nad niewygodnym tematem.

- Zgódź się, Chloe. Zrób raz coś szalonego. Weekend na wsi, tego właśnie ci trzeba.

- Szalony weekend na wsi z tabunem nudnych biznesmenów? Jaśkoś nie potrafisz dostrzec w tym nic porywającego.

- Pomyśl o jedzeniu.

- Podłajęda - oznajmiła Chloe z pogodnym uśmiechem.

- Mają tam na pewno własną siłownię. W większości tych starych pałaców przerobionych na centra konferencyjne są nawet baseny. Nie będziesz musiała martwić się o węglowodany.

- Jęda do kwadratu. - Chloe zaczynała żałować, że zwierzyła się Sylvii ze swoich walk z podstępными i przebiegłymi kaloriami.

- Chloe - przymilała się Sylvia. - Przecież chcesz tam jechać. Będziesz się świetnie bawić. Wcale nie będzie nudno, a kiedy wrócisz, może opijemy moje zaręczyny.

W to akurat Chloe nie wierzyła.

- Kiedy wyjeżdżam?

Sylvia wydała cichy okrzyk triumfu, chociaż od początku była pewna zwycięstwa.

- To najfajniejszy punkt programu. Limuzyna pewnie już czeka na dole. Zgłosisz się do pana Hakima, a on na pewno powie ci, co masz robić.

Hakim? Kiepsko mówię po arabsku.

- Chyba wspominałam, że to symultanka angielski-francuski-

angielski. Ci ludzie są z różnych krajów, ale wszyscy porozumiewają się albo po angielsku, albo po francusku. Bułka z masłem, Chloe. Na prawdę.

- Jędza do sześcianu - oznajmiła Chloe.

- Czy będę miała czas, żeby...

- Nie. Jest ósma trzydzieści trzy. Limuzyna powinna podjechać o ósmej trzydzieści. Oni są niezwykle punktualni. Nałóż szybko makijaż i schodzimy na dół.

- Mam już makijaż.

Sylvia westchnęła głośno.

- Za słaby. Pozwól, zrobię coś z twoją twarzą. - Chwyła Chloe za rękę i zaczęła ją ciągnąć w stronę łazienki.

- Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek z moją twarzą - zaprotestowała Chloe, wyrywając się Sylvii.

- Płacą siedemset euro za dzień, a ty musisz tylko trochę potłumaczyć.

Chloe podała dłoń Sylvii.

- Zrób coś z moją twarzą – powiedziała zrezygnowanym tonem i dała się poprowadzić do maleńkiej łazienki.

Bastien Toussaint, znany również jako Sebastian Toussaint, Jean-Paul Marceau, Jeffrey Pillbeam, Carlos Santeria, Vladimir Rzeźnik, Wilhelm Mniejszy, by wymienić tylko nieliczne z jego fałszywych imion i zmieniających się tożsamości, zapalił papierosa i zaciągnął się z lubością. Na trzech ostatnich posadach uchodził za niepalącego, co przyjął z właściwym sobie spokojem.

Nigdy nie ulegał słabościom, był dość odporny na wszelkiego typu uzależnienia, także na ból i tortury, nie wiedział, co to czułość. Czasami potrafił okazać litość, jeśli sytuacja tego wymagała. W innych wypadkach wymierzał sprawiedliwość, nawet nie mrugnawszy okiem. Robił, co do niego należało.

Nie musiał palić, ale papierosy mu smakowały, rozkoszował się nimi tak, jak potrafił się rozkoszować dobrym winem do obiadu i szlachetnymi gatunkami whisky, która rozwiązywała mu język i popychała do niedyskrecji. I bywał niedyskretny, zawsze na tyle, by usatysfakcjonować ciekawych, samemu zaś przybliżyć się do celu. Tę samą rolę mogła spełniać wódka, ale wolał szkocką. Lubił whisky, lubił papierosy, ale kiedy kończył robotę, mógł się równie dobrze obyć bez tych używek.

Nad tym zadaniem pracował wyjątkowo długo. Wcielił się w swoją rolę przed jedenastoma miesiącami, po prawie dwóch latach żmudnych, pieczołowitych przygotowań. Potrafił być cierpliwy. Wiedział, ile czasu zabiera dobre przygotowanie operacji. Niedługo sprawa powinna się zakończyć i ta świadomość napawała go uzasadnioną satysfakcją, chociaż wiedział, że będzie mu brakowało Bastiena Toussainta.

Przyzwyczał się do stworzonej postaci, do subtelnego galijskiego uroku Bastiena, do jego hardości, słabości do kobiet. Jako Bastien miał więcej przygód niż kiedykolwiek wcześniej. Seks to była jeszcze jedna słabość, jeszcze jedna przyjemność, bez której mógł się obyć. Lubił ten rodzaj rozrywki, ale nie cierpiał, gdy był zmuszony do abstynencji. Bastien miał jakoby żonę w Marsylii; większość mężczyzn, z którymi musiał się kontaktować, miała żony i dzieci. Sympatyczne rodziny, za-

mieszkujące eleganckie posiadłości, żyjące z profitów, jakie przynosił import.

Import. Import...

Owoce importowane z Bliskiego Wschodu. Wołowina importowana z Australii. Broń eksportowana do tych, którzy oferowali najwyższe stawki.

Dobrze, że tym razem w grę nie wchodziły narkotyki. Nie czuł się dobrze, kiedy musiał przemycać heroinę. Głupie sentymenty, bo przecież ludzie sami decydują, czy chcą brać narkotyki, nie mają natomiast wpływu na to, że ktoś będzie do nich strzelał z przemyconej przez niego broni. Wracały zapewne wspomnienia z tak dalekiej przeszłości, że zdążyły nieco zatrzeć się w pamięci, choć jak widać, nie do końca.

Był mroźny zimowy poranek, w powietrzu unosił się ledwo uchwytny zapach jabłek, zza drzew dobiegały odgłosy grabienia liści. Pracownicy do sprzątania ogrodu z ukrytymi pod fartuchami półautomatami... Być może nawet tymi, które sam dostarczał. Byłoby zabawnie, gdyby zginął zastrzelony ze sprzedanego przez siebie pistoletu.

Rzucił papierosa na ziemię i przydeptał niedopałek. Ktoś zaraz bezszelestnie usunie peta ze ścieżki. Jego też może usunąć w podobny sposób, jeśli otrzyma taki rozkaz. Dziwne, ale niewiele sobie z tego robił.

Otworzyły się jakieś drzwi i przed dom wyszedł Gilles Hakim.

- Bastien, zapraszam na kawę do biblioteki. Przyłącz się do nas. Poznasz pozostałych gości. Czekamy jeszcze na tłumaczkę, a zaraz potem zaczynamy rozmowy.

Bastien odwrócił się i ruszył za Hakimem do pałacyku.

ROZDZIAŁ DRUGI

Chloe miała aż nadto czasu, by zacząć żałować własnej lekkomyślności. Szofer odgrodził się od niej szybą, więc nie mogła wdać się z nim w pogawędkę, na drinka było za wcześnie, choć łyk czegoś mocniejszego zapewne by ją uspokoił. W dodatku Sylvia tak ją poganiała, że Chloe nie wzięła sobie nic do czytania na drogę. Pozostało jej tylko rozmyślać i liczyć pokonywane kilometry, a podróż zdawała się nie mieć końca.

Odgarnęła odruchowo włosy za ucho, otworzyła puderniczkę i zerknęła raz jeszcze w lusterko. Sylvia w ciągu dwóch minut dokonała prawdziwego cudu i teraz Chloe patrzyła na zupełnie inną twarz: te same brązowe oczy, ale umiejętnie podkreślone kredką, umalowane usta, nowa fryzura, fantazyjnie przerzucony przez ramię szal...

Pytanie tylko, jak długo będzie w stanie utrzymać tę iluzję. Sylvia to potrafiła. W mgnieniu oka przemieniła niepozornego wróbla w kolorowego ptaka. Chloe wiele razy próbowała dokonać podobnego cudu, ale nigdy jej się to nie udało. Mniej znaczy więcej, uczyła ją Sylvia i zawsze tego „więcej” było za mało.

Niepotrzebnie poddała się hysterii przyjaciółki. W końcu w centrum konferencyjnym oczekiwali tłumaczki, a nie modelki, a Chloe była w tym świetna, zawsze wykonywała pracę bez zarzutu. Zrobi, co do niej należy, i będzie sobie wyobrażała, że jest panią na włościach, zapomni na chwilę o swojej wiecznie cuchnącej kapustą mansardzie. I będzie jadła, na co tylko przyjdzie jej ochota.

Za trzy dni wróci do Paryża, zaskarbiając sobie dozgonną

wdzięczność Sylvii. Będzie co prawda musiała obejść się bez seksu i przemocy, za którymi tak tęskniła, ale przynajmniej czekają miła odmiana. Zresztą kto wie, może okaże się, że któryś z nudnych biznesmenów ma całkiem dorzecznego, młodego asystenta, a młody asystent ma słabość do Amerykanek. Wszystko może się zdarzyć.

Chateau Mirabel okazał się nie tyle wiejskim pałacem, co prawdziwą warownią: forteczne bramy, punkty kontrolne, uzbrojeni strażnicy, psy. Chloe z każdą chwilą czuła się bardziej nieswojo. Trudno się tu było dostać, a wydostać stąd chyba nie sposób bez wyraźnej zgody i przyzwolenia.

Ale kto miałby ją zatrzymywać? Śmieszne. Odgoniwszy głupie myśli, Chloe wysiadła z limuzyny przed wejściem do pałacu z gracją podpatrzoną u Sylvii. Na stopniach czekał już na nią pan w średnim wieku, wysoki, w doskonale skrojonym, eleganckim garniturze, o wybitnie śródziemnomorskiej urodzie.

Chloe posłała mu najbardziej uroczy ze swoich uśmiechów.

- Monsieur Hakim?

Dżentelmen skinął głową i uścisnął jej dłoń.

- Miss Underwood, jak rozumiem? To pani ma zastąpić miss Whickham. Właśnie przed chwilą się dowiedziałem, że pani przyjeżdża. Gdybym wcześniej otrzymał informację, zaoszczędziłbym pani podróż.

- To znaczy, że nie będę potrzebna? - Chloe nie uśmiechała się ponad dwugodzinna jazda powrotna do Paryża. A jeszcze mniej cieszyła ją myśl, że całkiem spore pieniądze przejdą jej koło nosa.

- Jest nas mniej, niż sądziliśmy, i wszystko wskazuje na to, że będziemy w stanie porozumieć się bez pomocy tłumacza. - Monsieur Hakim miał miły, starannie modulowany głos. Do tej pory rozmawiali po angielsku, teraz Chloe przeszła na francuski.

- Jak pan sobie życzy, ale być może jednak się przydam. Odwołałam wszystkie inne zobowiązania i chętnie zostanę, skoro już tutaj przyjechałam.

- Jeśli nie ma pani żadnych innych zobowiązań, tym bardziej proszę wracać do Paryża i zrobić sobie małe wakacje.

- Moje mieszkanie nie bardzo nadaje się do urządzania w nim wakacji, monsieur Hakim. - Nie wiedziała, dlaczego tak się upiera, by zostać w Mirabel. Nie chciała przecież tu przyjeżdżać, zmusiła ją do tego Sylvia. Sylvia... i perspektywa siedmiuset euro dziennie. Skoro tu przyjechała, nie miała ochoty wracać od razu do Paryża.

Hakim wahał się, najwyraźniej nie wiedział, jak traktować kobietę, która broni swego zdania, zamiast przyjmować w milczeniu decyzje mężczyzny. W końcu skinął głową.

- Rzeczywiście, może pani okazać się pomocna. Szkoda odbywać taką długą drogę na darmo.

- Tak, droga była rzeczywiście długa - przyznała Chloe. - Szofer najwyraźniej błędził. Po kilka razy wracaliśmy do tych samych punktów. Następnym razem przydałaby mu się mapa.

Hakim uśmiechnął się nieznacznie.

- Zajmę się tym, mademoiselle Underwood. Służba zaopiekuje się pani bagażem, a pani tymczasem pozna naszych gości, uczestników spo-

tkania. Nie sędzę, by czekało panią trudne zadanie. Będzie pani miała dużo czasu dla siebie, bo rozmowy nie będą przecież prowadzone od świtu do nocy, a obecność tak pięknej, młodej kobiety tylko je ułatwi.

Komplement, bardzo francuski, jakoś fałszywie zabrzmiał w ustach monsieur Hakima. Tak fałszywie, że Chloe miała ochotę natychmiast umyć dłonie, jakby dotknęła czegoś lepkiego. Uśmiechnęła się wyrozumiale, takim samym uśmiechem, jakim zwykle kwitowała obleśne uwagi jednego z braci Laurentów.

- Bardzo pan miły - mruknęła, ruszając za Hakimem po schodach.

Ostatnio mnóstwo starych zamków i pałaców przerabiano na hotele i centra konferencyjne, zaś te skromniejsze i biedniejsze na pensjonaty. Mirabel od wejścia tchnęło splendorem, którego Chloe nie widziała w żadnym innym zabytkowym przybytku o podobnym przeznaczeniu. Ostentacyjny przepych drażnił, irytował, toteż Chloe z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo.

Hakim wprowadził ją do przestronnej sali, w której ośmioosobowa grupka gości siedziała przy kawie. Wśród gości były dwie kobiety, co Chloe odnotowała z niejaką ulgą. Madame Lambert, starsza już pani, w kostiumie od Lagerfelda, co Chloe mogła łatwo stwierdzić dzięki naukom pobieranym u Sylvii. Druga dama, około czterdziestki, zrobiła na Chloe wrażenie zbyt pięknej. I zbyt ożywionej.

Poza tym towarzystwo składało się z pana Otomi, nobliwego, niemłodego już Japończyka, posługującego się doskonałą angielszczyzną, jego asystenta o zimnym spojrzeniu, niejakiego Tanaki, pewnego siebie pana Ricettiego, któremu towarzyszył młody asystent, i najpewniej ko-

chanek w jednej osobie, oraz barona von Ruttera.

W sumie niezbyt interesujący skład, no może z wyjątkiem... Tego faceta.

Chloe szybko odwróciła wzrok, zaskoczona własną reakcją.

Z zasady nie interesowała się mężczyznami, którzy paradują na co dzień w garniturach. Nawet gdy są to garnitury od Armaniego, czy też raczej... szczególnie gdy są to garnitury od Armaniego. W ogóle nie przepadała za biznesmenami. Z reguły pozbawieni byli poczucia humoru, monotematyczni, zajęci wyłącznie akumulowaniem pieniędzy. Chloe kochała Francję, wiele rzeczy jej się tu podobało, jednak nie lubiła lokalnej obsesji na punkcie kasy.

Szkoda, że facet jest biznesmenem, przemknęło jej przez głowę. I to nie fair, że wpadł jej w oko ktoś, kogo z góry musiała skreślić. Madame Lambert, signor Ricetti, baron i baronowa von Rutter, Otomi i Toussaint. Bastien Toussaint.

On ze swej strony zdawał się w ogóle nie zwracać na nią uwagi. Przywitał się jakby od niechcenia, kiwnął zdawkowo głową i przestała dla niego istnieć. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego tak ją zaintrygował. Nie był szczególnie przystojny, w każdym razie widywała już dużo przystojniejszych.

Odrobinę, tylko odrobinę za wysoki, żeby można powiedzieć „średniego wzrostu”, szczupły, o pociągłej twarzy i ostrym nosie. Ciemne oczy o przenikliwym spojrzeniu, chociaż Chloe nie była pewna, czy w ogóle ją dostrzegł i zarejestrował jej wejście. Długie ciemne włosy, co było dość nietypowe w światku krótko strzygących się mężczyzn. Kaprys?

Próżność? Chloe nie lubiła próżnych facetów. Kto ich zresztą lubi?

A jednak Bastien Toussaint zwrócił jej uwagę. Z niejakim wysiłkiem odwróciła wzrok, usiłując wyłowić sens z potoku słów, które właśnie wyrzucał z siebie w ojczystym języku pan Ricetti.

- Co ona tu robi? - dopytywał się z wściekłością. - Miała przyjechać ta głupia Brytyjka. Skąd mamy wiedzieć, czy możemy ufać tej tutaj? A jeśli jest bystrzejsza i bardziej spostrzegawcza od tamtej? Pozbądź się jej, Hakim.

- Signor Ricetti, to nieuprzejmie mówić po włosku w obecności osoby, która nie zna języka - powiedział Hakim po angielsku z wyraźną przyganą w głosie i zerknął na Chloe. - Pani nie mówi chyba po włosku, mademoiselle Underwood?

Nie wiedziała, co ją naszło, żeby skłamać. Hakim ją denerwował, a jawnie wrogie przyjęcie Ricettiego dopełniło miary.

- Tylko po francusku i po angielsku - odpowiedziała z promiennym uśmiechem.

Ricettiego ani trochę to nie udobruchało.

- Uważam, że to zbyt niebezpieczne - irytował się. - Jestem pewien, że wszyscy uważają podobnie. Madame Lambert, monsieur Toussaint, nie sądzicie, że należy podziękować tej młodej damie za jej usługi? - Nadal mówił po włosku i Chloe słuchała go z kamienną twarzą, jakby jego słowa w ogóle do niej nie docierały.

- Nie wygłupiaj się, Ricetti - sarknęła madame Lambert po włosku, o dziwo z bardzo silnym angielskim akcentem. Podobnie jak Sylvia potrafiła przyswoić sobie ten specyficzny francuski szyk, o któ-

rym Chloe mogła tylko pomarzyć.

- Ja myślę, że powinna zostać - powiedział Bastien Toussaint, przeciągając zgłoski. - Jest zbyt ładna, żeby ją odsyłać z powrotem do Paryża. W czym ma nam przeszkadzać jej obecność? Dziewczyna jest pewnie równie głupia jak tamta i nie zorientuje się, o czym naprawdę rozmawiamy. - Mówił doskonale po włosku, z lekkim tylko akcentem francuskim. Była w jego głosie, głębokim i bardzo seksownym, jeszcze jakaś naleciałość, której Chloe na razie nie potrafiła określić.

A atmosfera z każdą chwilą gęstniała coraz bardziej.

- Nadal jestem zdania, że będzie z nią tylko kłopot - upierał się Ricetti. Kiedy odstawiał filiżankę, Chloe zauważyła, że dłoń mu lekko drży. Za dużo kofeiny? Czy to jej obecność tak go wytrąciła z równowagi?

- Nie musisz tego powtarzać - odezwał się baron, korpulentny, siwy jegomość o jowialnym wyglądzie. Jego pocziwa twarz miała w sobie coś uspokajającego, coś, co dodawało otuchy.

- Witamy w Mirabel, mademoiselle Underwood - zwrócił się do Chloe po francusku. - Bardzo miło, że zgodziła się pani przyjąć zastępstwo w ostatniej chwili.

Chloe potrzebowała ułamka sekundy, by zareagować na słowa barona, bo myślami wciąż jeszcze błędziła przy intrygującej wypowiedzi Włocha.

- Dziękuję, monsieur - odpowiedziała, próbując skupić całą uwagę na jowialnym Niemcu i zapomnieć o facecie, który stał tuż obok niej. - Postaram się jak najlepiej wywiązać z powierzonego mi przez państwa zadania - obiecała.

- Z pewnością da sobie pani świetnie radę - odezwał się Hakim, a Ricetti aż poczerwieniał ze złości na te słowa. - Na dzisiaj zakończyliśmy już rozmowy, a pani zapewne chciałaby się rozgościć w pałacu. O siódmej podadzą drinki, do kolacji siadamy o dziewiętej. Mam nadzieję, że przyłączy się pani do nas. W czasie wolnym staramy się nie rozmawiać o interesach, ale temat nieuchronnie wraca, więc oczekujemy, że będzie pani dyspozycyjna.

- Jak bardzo dyspozycyjna? - zainteresował się Bastien, przechodząc na niemiecki. - Chętnie umiliłbym sobie pobyt w Mirabel.

- To było pytanie zdecydowanie poniżej pasa, Bastien - zauważyła madame Lambert z przekąsem. - Nie komplikuj sytuacji kolejnym podbojem. Wy, mężczyźni, macie ten paskudny zwyczaj, że stajecie się strasznie gadatliwi w łóżku.

Bastien spojrział na Chloe i uśmiechnął się. Jego uśmiech, podobnie jak głos, był niezwykle seksowny.

- Moja żona twierdzi, że podczas kopulacji zachowuję absolutne milczenie - oznajmił.

- Lepiej tego nie sprawdzaj - przestrzegł go Hakim. - Nie wystawiaj się na takie próby. Kiedy skończymy rozmowy, możesz z nią pojechać do Paryża i tam wyczyniaj, co ci się żywnie podoba. Tymczasem skup się na tym, po co przyjechałeś do Mirabel.

- Tu Hakim przeszedł na angielski.

- Przepraszam za te różnojęzyczne wtręty, mademoiselle. Każdy z nas zna dwa, trzy języki, każdy posługuje się innym zestawem językowym, to się krzyżuje, ale nigdy nie pokrywa, powstaje prawdziwy ga-

limatias. Od tej chwili będziemy się posługiwali wyłącznie angielskim i francuskim. Czy to jasne?

Bastien nie przestawał przyglądać się Chloe spod zmrużonych powiek.

- Całkowicie jasne - powiedział po angielsku. - Ja mogę poczekać.

- Na co może pan poczekać, monsieur? - zapytała Chloe z niewinną miną.

Błąd.

O ile wcześniej przyglądał się jej bez większego zainteresowania, to teraz dosłownie wbił w nią przenikliwe spojrzenie. Miał tak ciemne oczy, że chyba nie odbijały się w nich żadne uczucia i myśli. Wolałaby nie sprawdzać prawdziwości tego stwierdzenia. Miała nadzieję, że zachowała jeszcze na tyle zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego. A facet był niezmierny. Chociaż, trzeba przyznać, kompletnie nie w jej typie.

- Na późną kolację, mademoiselle - odparł gładko.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, zanim zdążyła zareagować, uniósł jej dłoń do ust. Już wcześniej zdarzały się jej podobne przypadki. Znała ten stary, wymierający zwyczaj, z którym jeszcze od czasu do czasu można było się zetknąć we współczesnej Europie. Jednak zazwyczaj do całowania dłoni wrywali się szarmanccy staruszkowie. W ich „całuję rączki szanownej pani” nie było nic zdrożnego, dwuznacznego, a tego z pewnością nie dało się powiedzieć o gościu Bastiena Toussainta. Puścił jej dłoń, zanim sama ją cofnęła.

- Pani na pewno jest głodna, mademoiselle - zagadnął Hakim. -

Marie zaprowadzi panią do jej pokoju i przyśle coś do jedzenia. Jeśli pani chce obejrzeć park, wystarczy powiedzieć i któryś z ogrodników panią oprowadzi. Na pływanie trochę już za zimno, aczkolwiek basen jest podgrzewany, a Amerykanie to twarda i wytrzymała rasa.

- Nie jestem pewna, czy zabrałam kostium. - Chloe nie miała zielonego pojęcia, co Sylvia zapakowała do walizki.

- Zawsze może pani wykąpać się bez kostiumu, mademoiselle Chloe. - Bastien wysilił się na dość marny dowcip.

Uwaga, choć z gatunku mocno wyświechtanych, była sygnałem, że Chloe go zaintrygowała, chociaż ona zupełnie nie wiedziała, co interesującego mógł w niej dostrzec. Ledwie zwrócił na nią uwagę, kiedy się witali. Może uznał, że na bezrybiu i rak ryba...

Postanowiła, że nie da się sprowokować i nie utrże mu nosa za wystąpienie z mało wybredną propozycją.

- Na to trochę za zimno - odpowiedziała z promiennym uśmiechem. - Jeśli zapragnę relaksu, pójdę na długi spacer.

- Musi pani uważać, mademoiselle Chloe - odezwał się Ricetti po francusku. Mówił z silnym włoskim akcentem. - Trwa właśnie sezon polowań i nietrudno o zbłąkaną kulę. Nie wspomnę już o tym, że psy są spuszczone na noc i biegają luzem po terenie posiadłości, a to prawdziwe bestie. Jeśli będzie pani chciała wybrać się na spacer, to koniecznie w towarzystwie, w żadnym razie sama. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek może się natknąć na coś... niebezpiecznego.

Czyżby to była pogróżka? Przestroga? A może jedno i drugie? Co tu się u diabła dzieje? O co chodzi? W co ją ta cholerna Sylvia wpakowała?

Seks i przemoc. Jasne.

Sam widok Bastiena rekompensował sporą dawkę seksu, a z przemocą niekoniecznie musiała nawiązywać osobistą znajomość. W każdym razie weekend w Mirabel stanowił interesującą odmianę w jej dość monotonnym życiu. Przypuszczenie, że mogłoby jej grozić jakieś niebezpieczeństwo, szybko odrzuciła jako całkowicie absurdalne. W końcu znajdowała się w samym środku wysoko rozwiniętego, cywilizowanego kraju, w luksusowym pałacu, w towarzystwie statecznych biznesmenów. Naczytała się zbyt wiele thrillerów, które tłumaczyła Sylvia.

- Z pewnością nie będę się zapuszczała w dzikie leśne ostępy - powiedziała z lekką kpina w głosie.

- Z pewnością - przytaknął Hakim i chociaż zabrzmiało to dziwnie złowieszczo, Chloe szybko zdusiła niemiłe wrażenie. Na pewno wyobrażenia płata mi figle, to skutki zmęczenia długą podróżą, doszła do wniosku.

A co sądzić o Hakimie? Był jednocześnie arogancki i obrzydliwie służalczy. Nie bardzo potrafiła powiedzieć, jaką odgrywa rolę, jaką zajmuje pozycję w tej grupce biznesmenów, przerzucających się na wpół zrozumiałymi uwagami w skądinąd całkiem dla Chloe zrozumiałych językach. To nic niezwykłego, monologowała dalej w duchu, próbując uspokoić samą siebie w tej niepokojącej kwestii. Każda odizolowana grupa znających się dobrze ludzi musi wydawać się odrobinę tajemnicza postronnemu obserwatorowi.

- Zobaczymy się o siódmej.

W pokoju pojawiła się kobieta w czarnym, sztywnym uniformie, za-

pewne pełniąc obowiązki ochmistrzyni czy też gospodyni w Mirabel.

- Proszę ze mną, mademoiselle - zwróciła się do Chloe, zdradzając od razu, że francuski nie jest jej językiem ojczystym. Na razie Chloe nie potrafiła rozpoznać po akcencie, skąd pochodzi ta surowa dama.

Czuła, że Bastien nie spuszcza z niej oka i siłą woli powstrzymała się, by nie spojrzeć w jego stronę. Nie mogła zdradzić, że wie, co powiedział na jej temat i jak zareagowała na to pani Lambert. Kobieciarz, który żadnej nie przepuści, oto jaką miał opinię.

W dodatku jest żonaty, a Chloe w tym jednym była absolutnie zgodna ze swoją stukniętą współlokatorką - nie sypiała z żonatymi facetami. Sylvia szukała męża, jej strategia była więc w pełni zrozumiała. A czego szukała Chloe? Sama nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała jedno, Bastien Toussaint z pewnością nie interesuje jej jako ewentualny partner.

- O siódmej - przytaknęła, zastanawiając się, w jakim też stanie towarzystwo zasiądzie do kolacji, jeśli wcześniej przez bite dwie godziny będą raczyć się drinkami.

Nie jej problem. Podobnie jak głupawe komentarze Bastiena. Tak naprawdę wcale nie był nią zainteresowany. Nie była w jego typie. On z pewnością wolał długonogie, chude modelki, kobiety o wyrazistym stylu i traktujące wszystkich facetów z ledwo wyczuwalną pogardą. Chloe od kilku lat pracowała nad taką postawą. Mieszkanie w Paryżu okazało się niezłym treningiem, ale wciąż daleko jej było do doskonałości.

Zaraz zgubimy się w tym labiryncie, pomyślała, spiesząc za odzianą w wykrochmalony strój Marie. Przydzielony jej pokój znajdował się po-

środku jednego z niezliczonych korytarzy. Stała na progu i na chwilę aż wstrzymała oddech. Poczowała się jak w muzeum. Wielkie łóżce przykryte zieloną jedwabną kapą, stare meble, ogromna łazienka. Ani śladu telewizora, pewnie był schowany w jakimś meblu. Nieważne, Mirabel musiało z pewnością dysponować doskonale zaopatrzoną biblioteką, w której znajdzie się coś interesującego do czytania.

W najgorszym razie będę zabijała czas rozwiązywaniem krzyżówek, pomyślała z rezygnacją. Na stole w holu zauważyła cały plik różnojęzycznych gazet. Musi tylko uważać, żeby przez roztargnienie nie wziąć jakiegoś włoskiego czy niemieckiego dziennika.

W tej chwili marzyła o jednym - przebrać się w coś wygodnego, wyciągnąć się na imponującym łóżku i uciąć sobie długą popołudniową drzemkę.

- Gdzie moja walizka? - zapytała.

- Rzeczy zostały wypakowane, a walizka jest w schowku na dole - odparła Marie uprzejmie. - Monsieur Hakim zapewne już pani powiedział, że goście przebierają się do kolacji. Myślę, że suknia ze srebrnej koronki będzie bardzo odpowiednia.

Hm, jeśli Sylvia zdecydowała się pożyczyć Chloe swoją najdroższą, najbardziej elegancką kreację, to wyjazd do Mirabel potraktowała jako sprawę najwyższej wagi. Ciekawe...

Na Chloe była co prawda odrobinę, tylko odrobinę, za ciasna, ale nie zamierzała eksperymentować z inną toaletą. Marie z pewnością wie, co mówi i jeśli była na tyle uprzejma, by udzielić rady, należało z tej rady skorzystać.

- Dziękuję, Marie. - Nagle poczuła się niepewnie. Nie wiedziała, czy wypada dać napiwek tak nobliwie wyglądającej damie.

Zanim przesądziła sprawę, Marie ruszyła do drzwi, najwyraźniej zamierzając zostawić nieokrzesaną Amerykankę samą sobie. Odwróciła się jeszcze w progu.

- O której przypomnieć pani o kolacji? O piątej? Wpół do szóstej? Będzie pani potrzebowała trochę czasu, żeby się przygotować.

Marie najwidoczniej uznała, że przygotowania do wieczornego posiłku to niezwykle pracochłonne, wymagające skupienia działania.

- Wystarczy o szóstej trzydzieści - odparła Chloe bez troski.

Marie spojrzała na nią z lekką wzgardą zabarwioną z troską.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, wystarczy powiedzieć - oznajmiła i dodała po chwili. - Doskonale potrafię układać takie włosy jak pani. - Określenie „takie włosy” zabrzmiało w jej ustach tak, jakby mówiła o sianie.

- Dziękuję, Marie. Jakoś sobie poradzę.

Marie uniosła tylko brwi i znikła, pozostawiając Chloe sam na sam ze złymi przeczuciami.

ROZDZIAŁ TRZECI

Ktoś popełnił bardzo poważny błąd, przysyłając tę młodą kobietę do jaskini lwa, myślał Bastien. Dziewczyna nie miała pojęcia, jak trudne czeka ją zadanie. Najwyraźniej też brakowało jej doświadczenia w radzeniu sobie z trudnymi sytuacjami.

Od razu zorientował się, że rozumie każde słowo z wielojęzycznej rozmowy; nie umiała tego ukryć. Jeśli on dostrzegł to w ułamku sekundy, inni też wkrótce połapią się w jej umiejętnościach lingwistycznych.

Pytanie tylko, kto ją przysłał do Mirabel i w jakim celu. Istniało ryzyko, że przyjechała tutaj, by go zdemaskować. Był pewien, że na razie nikt go nie podejrzewał o podwójną grę, ale należało zachować czujność.

Jako Toussaint wyrobił sobie opinię kobieciarza, niestrudzonego podrywacza. Cóż zatem prostszego niż podesłać mu na przynętę piękną dziewczynę? To tak jakby w środku dżungli zostawić gazelę, by zwabić głodnego lamparta. Jeśli chciał pozostać wiarygodny, powinien bez namysłu wpaść w zastawioną pułapkę.

Dziewczyna była fatalnie przygotowana. Za pozorami światowego obycia wyczuwało się całkowitą bezradność. Wystarczyło spojrzeć w jej brązowe oczy, by wyczytać w nich wszystko: zdenerwowanie, zakłopotanie i tę jakże niepożądaną iskierkę zainteresowania. Nim, Bastienem. Z drugiej strony mogła być rzeczywiście dobra. A jeśli grała nieśmiałą, żeby go zmylić?

Przyjechała do Mirabel ze względu na niego czy chodziło o kogoś innego? A jeśli ze względu na niego, to kto ją przysłał? Strona przeciwna? A może Komitet chciał sprawdzić, jak się sprawuje monsieur Toussaint? To ostatnie wydawało się wielce prawdopodobne. Od dawna nie ukrywał, że robota go nudzi, że ma już serdecznie dość wcielania się w kolejne postacie.

Nie przerażała go perspektywa śmierci, wiedział, że kiedy czło-

wiek raz zacznie pracować dla Komitetu, nie może się wycofać. Prędzej czy później będzie musiał zginąć. Raczej prędzej niż później. Być może nawet z ręki panny Underwood o wielkich brązowych oczach i delikatnych ustach.

Pozostawało tylko odpowiedzieć sobie na jedno pytanie: czy ma pozwolić, by go zlikwidowała? Raczej nie. Czuł się zmęczony, wypalony, ale nie chciał odchodzić. Jeszcze nie teraz.

Z pozoru jego misja zdawała się prosta. Miesiąc wcześniej na skutek wybuchu bomby podłożonej w samochodzie zginął August Remarque. Za tym zamachem stał tak zwany Komitet, tajna antyterrorystyczna organizacja, o której istnieniu wiedzieli nieliczni wtajemniczeni. Prawda wyglądała jednak zupełnie inaczej.

Komitet nie miał nic wspólnego ze śmiercią Augusta Remarque'a, biznesmena, którego jedynym celem i przedmiotem zainteresowania był zysk. Ludzie z Komitetu dobrze to rozumieli i podjęli odpowiednie działania. Chodziło wyłącznie o to, by kontrolować poczynania pana R. Sprawdzać, z kim prowadzi interesy, komu sprzedaje broń, dokąd ją wysyła. Inaczej mówiąc, Komitet starał się trzymać rękę na pulsie, by w odpowiednim momencie wkroczyć do akcji.

Sprzedaż karabinów maszynowych do słabo rozwiniętych krajów w Afryce oznaczała rzezie ludności cywilnej, ale to nie było istotne. Supermocarstwa nie interesowały się niepokojami politycznymi w Afryce. Tak w każdym razie twierdził szef Bastiena, Harry Thomason.

Bastien wiedział doskonale dlaczego. Czarna Afryka nie miała cennych złóż ropy naftowej, a kraje bez złóż ropy nie liczyły się dla Komi-

tetu i jego potężnych prywatnych mocodawców.

Bastien na wszelki wypadek miał obserwować handel bronią, udając biznesmena. Śmierć Augusta Remarque'a zmieniła wszystko. Spotkanie zwołał Hakim, zaufany Remarque'a i jego prawa ręka. W Mirabel mieli ustalić strefy wpływów i wybrać nowego bossa. Współpraca między handlarzami bronią nigdy nie układała się idealnie, każdy tu wolał działać na własną rękę, z drugiej strony wszyscy zdawali sobie sprawę, że pewna koordynacja jest niezbędna, a ktoś musi zajmować się nudnymi szczegółowymi ustaleniami zawieranych kontraktów.

To zadanie należało do Hakima, ale Hakima zaczynała ponosić ambicja. Chciał zająć miejsce Remarque'a i zagarnąć dla siebie najbardziej lukratywne umowy. I tu tkwił cały problem. Przez kilka dziesięcioleci Remarque kontrolował niemal całą sprzedaż broni na Bliski Wschód, a był to najbardziej chłonny rynek.

Chile, Kosowo, Północna Irlandia, Japonia i jej tajne organizacje raz kupowały broń, raz nie, zależnie od sytuacji i okoliczności. Natomiast na Bliski Wschód zawsze można było sprzedać każdą ilość dowolnej broni. Tam byli pewni, stali nabywcy. A od chwili kiedy Amerykanie postanowili „zaprowadzić porządek” w Iraku, sytuacja polityczna w tym rejonie uległa pogorszeniu i zapotrzebowanie na dostawy znacznie wzrosło.

Członkowie kartelu handlarzy bronią chcieli odsunąć Hakima i przejąć udziały w lukratywnych bliskowschodnich transakcjach.

Bastien czekał, obserwował sytuację, nie zależało mu na przyspieszaniu biegu wydarzeń. Goście zebrani w Mirabel dowiedzieli się, jedno

po drugim, że to Hakim jest odpowiedzialny za śmierć Remarque'a. A skoro tak, należało go jak najszybciej usunąć z gry. Właśnie taki rozwój wypadków przewidywał Bastien.

To on po cichu rozpuścił informację o udziale Hakima w zamachu na Remarque'a, informację z gruntu nieprawdziwą, bo to nie Hakim posłał swojego szefa na tamten świat. Rzecz jasna liczył na to, że śmierć Remarque'a przyniesie mu określone, całkiem wymierne korzyści.

Remarque'a musiał zgładzić ktoś inny. Jeden z członków kartelu. Ktoś, kto był już na miejscu albo dopiero zawita do Mirabel. Zabójca powinien się ucieszyć, że kto inny został napiętnowany jako winny, ale Komitet dotąd nie potrafił wskazać sprawcy.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że był nim baron von Rutter. Pod jowialną maską krył się człowiek brutalny, popędliwy, realizujący zamierzone cele raczej siłą niż przy użyciu dyplomacji. Jego młoda żona, Monique, była jeszcze bardziej bezwzględna.

Jedna z koleżanek Bastiena, pracująca jak on dla Komitetu, obstawiała pana Otomiego, pełnego rezerwy szefa Yakuzy. Nie można było również wykluczyć powiązanego z mafią Ricettiego. Podobnie jak należało brać pod uwagę madame Lambert.

Każde z nich mogło być mordercą, każde z nich było w równym stopniu zainteresowane zlikwidowaniem Remarque'a. Komitet przewidywał, że ta sama osoba będzie teraz próbowała pozbyć się Hakima.

Podejrzenia Bastiena kierowały się ku Christosowi Christopolousowi, ostatniemu uczestnikowi spotkania, który jeszcze nie dojechał do Mirabel. Grek z pozoru odgrywał niewielką rolę w kartelu, ale Bastieno-

wi płacono za to, by był nieufny i nikomu nie dowierzał. Przez ostatnich jedenaście miesięcy, działając wśród tych ludzi, zdążył się przekonać, jak bardzo niebezpieczną postacią jest Christos. Z łatwością mógł zlecić podłożenie bomby, która zabiła Remarque'a, jego żonę, córkę i trójkę wnuków.

Thomason natomiast wydał polecenie zlikwidowania Hakima, wychodząc z założenia, że ktokolwiek zabił Remarque'a, nie mógł uczynić tego bez wiedzy i pomocy Hakima. Jeśli Christos zostałby wybrany nowym szefem kartelu, on też miał zginąć. Pozostałych dało się kontrolować, Greka nie.

Być może Grek nie zostanie wybrany i Bastien raz jeszcze będzie mógł rozpuścić się we mgle, by pojawić się w innym miejscu, w zupełnie innych okolicznościach pod zupełnie innym nazwiskiem i na innym kontynencie, by wykonać kolejne zadanie. Prawdę powiedziawszy, wszystkie zadania były do siebie podobne - zabawa w policjantów i złodziei, w złych i dobrych facetów.

Jedno było pewne. Nie podejmie już żadnego zadania, nie wykona żadnej misji, jeśli dziewczyna o niewinnych brązowych oczach wpakuje mu nóż w plecy. Nie miał złudzeń, że pozostawiono go samemu sobie. Asystent i kochanek pana Ricettiego, Jensen, działał z ramienia brytyjskich mocodawców Komitetu, jego żona zaś wierzyła, że jest przedstawicielem handlowym pewnej firmy farmaceutycznej i to firma wysyła go tak często w podróże po całym świecie.

Bastien nauczył się nie ufać nikomu, również swoim współpracownikom. Thomason mógł w każdej chwili uznać, że i jego należy usunąć.

Gdyby zlecił to zadanie Jensenowi, ten nie zawahałby się ani chwili. Rozkaz to rozkaz. Jensen miałby nawet większe szanse niż sprawiąca wrażenie zagubionej dziewczyna. Każdy byłby lepszy od niej. Jeśli naprawdę chcieliby pozbyć się Bastiena, powinni wybrać do tej roboty kogoś z większym doświadczeniem niż panna Underwood.

Słodka panna Underwood...

Przyjechała do Mirabel albo ze względu na niego, albo zlecono jej zająć się kimś z pozostałych. Może miała tylko zebrać informacje, może zlikwidować kogoś niewygodnego, tego nie wiedział.

Wystarczyło jednak, by powiedział jedno słowo Hakimowi, a los panny Underwood byłby przesądzony. Nawet jeśli działała na zlecenie samego Hakima, musiałaby zniknąć bez śladu.

On sam nie zamierzał nic robić w tej sprawie, nawet gdyby takie rozwiązanie okazało się konieczne dla jego bezpieczeństwa. Nie wszedł w ten biznes, żeby szukać bezpieczeństwa, a panna Underwood mogła się okazać bardziej przydatna żywa niż martwa.

Dowie się, kto ją przysłał i po co to zrobił. Im wcześniej, tym lepiej. Należy postępować rozważnie, planować każdy krok, to oczywiste, ale mała chwila wahania mogła okazać się zgubna. Zdobędzie potrzebne informacje i szepnie słówko Hakimowi. Szkoda przerywać takie młode życie, ale dziewczyna musiała zdawać sobie sprawę z ryzyka, kiedy decydowała się na tę robotę. A on dawno wyzbył się jakichkolwiek sentymentów.

Chciał tylko wiedzieć, w jakim celu przyjechała do Mirabel.

Chloe czuła się trochę otumaniona. Przespała smacznie dwie godziny, potem wzięła gorącą kąpiel w ogromnej wannie, przebrała się w suknię Sylvii i zrobiła makijaż, używając kosmetyków Sylvii. Na kilka minut przed siódmą założyła pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach i zeszła na dół całkowicie odmieniona - nowa, uwodzicielska Chloe.

Nie, nie zamierzała nikogo olśnić. W każdym razie z pewnością nie w Mirabel. Bastien Toussaint mógł ją intrygować, ale skoro był żonaty, to właściwie stawał się dla niej niewidzialny. Żonaty, a do tego podrywacz...

Z przygodami będzie musiała się wstrzymać do powrotu do Paryża, a najbliższe kilka dni spędzi na tłumaczeniu nudnych rozmów biznesowych, zarabianiu całkiem niezłych pieniędzy i rozkoszowaniu się luksusowym otoczeniem. Wspaniale...

Dlaczego więc jest tak strasznie zdenerwowana?

Zapewne z powodu monsieur Toussainta, jego powłóczyстых spojrzeń i seksownego głosu. A może chodzi o nieufność okazaną jej przez gości? Muszą konferować nad czymś szalenie ważnym, jeśli reagują w tak paranoidalny sposób. Cóż, myślała Chloe, większość ludzi ma dziwny zwyczaj wyolbrzymiania spraw, którymi się zajmują.

W ten sposób dodają sobie znaczenia. Może na przykład zamierzają wprowadzić na rynek zupełnie nowy typ tkanin i boją się, że ktoś wykradnie im trzymaną w największej tajemnicy technologię. Obradują nad rewolucyjnym fasonem pantofli na nadchodzący sezon. Zdobyli patent na niskokaloryczne masło...

Wszystko jedno.

Będzie trzymała się z boku, niezauważalna, i tłumaczyła, kiedy ją o to poproszą. Pozostawało mieć cichą nadzieję, że nikt już nie wyrwie się z niemiłymi komentarzami w jednym z języków, o których znajomość jej nie podejrzewano.

Szkopuł w tym, że paradując w wystawnych ciuchach Sylvii, trudno pozostać niezauważoną. Może powinna wymówić się bólem głowy, wrócić do łóżka i jutro z nowymi siłami podjąć wyzwanie? Jeśli dobrze zrozumiała swoje zadanie, nikt nie wymagał od niej gotowości i dyspozycyjności przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

A dzisiejszy wieczór miał być wolny od rozmów o interesach. Nie będą jej potrzebowali, a i ona nie czuła specjalnej potrzeby spędzenia kilku godzin w towarzystwie podpitych ludzi, którzy po kilku drinkach mogą być jeszcze bardziej nieuprzejmi niż podczas pierwszego spotkania.

Z drugiej strony dobrze byłoby się dowiedzieć, skąd te ich paranoiczne reakcje. Jeśli wyjaśnienie nie przypadnie jej do smaku, może oznajmić, że wraca do Paryża. Monsieur Hakim twierdził przecież, że są w stanie obyć się bez pomocy tłumaczki, i zapewne miał rację, nawet jeśli ta ósemka nie miała jednego, wspólnego dla wszystkich języka. W końcu jej spokój był ważniejszy niż pieniądze, które jej obiecano.

Jednak z drugiej strony siedemset euro dziennie nie chodzi piechotą i może być całkiem skutecznym środkiem uspokajającym, a Chloe nie należała do lękliwych. Zejdzie na dół z czarującym uśmiechem na ustach, wypije trochę wina, nie za dużo, by nie stracić kontroli nad sytuacją, i spróbuje trzymać się z dala od Bastiena Toussainta.

Bo Bastien Toussaint ją denerwował.

Denerwowało ją wyraźnie taksujące spojrzenie nieprzeniknionych ciemnych oczu i jego domniemane zainteresowanie jej osobą. Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego, ale nie wierzyła, że Toussaint naprawdę się nią interesuje. Mogła się podobać, owszem, ale nie była w jego typie. Do niego pasowały supermodelki i córki milionerów.

Kiedy otworzyła drzwi, czekał już na nią. Zerknął na jej widok na zegarek.

- Piękna kobieta, która potrafi być punktualna - powiedział po francusku, uśmiechając się nieznacznie. - Niezwykłe. I zachwycające.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Trudno było nie dosłyszeć nuty ironii w jego głosie. Nie była piękna, nawet ciuchy Sylvii niewiele tu mogły pomóc, ale też nie uważała się wcale za maszkare. Wchodzenie w sprzeczkę z Bastienem byłoby zaproszeniem do flirtu, a nie miała najmniejszej ochoty przerzucać się z nim słowami w mrocznym korytarzu.

Stał oparty o framugę okna naprzeciwko drzwi do jej pokoju, a za jego plecami rozciągał się widok na pięknie utrzymany i rzęsiście oświetlony ogród. Bastien czekał na nią, paląc papierosa, ale teraz oderwał się od okna i zrobił kilka kroków w jej kierunku.

Myślała, że przywykła już do wdzięku Francuzów. Nic bardziej mylnego. Zdołała ochłonać dopiero po kilku minutach.

- Czekał pan na mnie? - zagadnęła niezbyt inteligentnie, zamykając drzwi. Prawdę mówiąc, najchętniej cofnęłaby się do pokoju, zatrzasnęłaby z hukiem drzwi i dla pewności przekręciła dwa razy klucz w zamku.

- Owszem, czekałem. Mój pokój znajduje się tuż obok. Tylko my

dwoje mieszkamy w tym skrzydle, a zdążyłem się już przekonać, jak łatwo zgubić się w pałacu. Chciałem mieć pewność, że dotrze pani bezpiecznie i bez przeszkód na miejsce.

Znowu aluzja, że nie powinna wypuszczać się na samotne eskapady. Może to ona reaguje paranoidalnie, a nie goście Hakima?

- Mam niezłą orientację przestrzenną. - Bezczelne kłamstwo. Nawet z mapą w ręku nieodmiennie wybierała niewłaściwy kierunek, ale Bastiena nie musiała o tym informować.

- Mieszka pani we Francji dość długo, by wiedzieć, że Francuzi są dumni ze swojej galanterii wobec dam. Tak zostałem wychowany. Będę za panią chodził jak cień, będzie się pani na mnie natykać w najmniej spodziewanych miejscach i momentach. Będę pani proponował kawę, papierosa...

- Nie palę. - Coraz bardziej irytowała ją ta rozmowa. Nieprzeniknione, czarne oczy intrygowały, piękna sylwetka nie pozostawiała obojętną. Wszystko to było nadzwyczaj skomplikowane. Dlaczego musiał się jej spodobać ktoś taki... nieodpowiedni? - Poza tym skąd pan wie, jak długo mieszkam we Francji?

- Wnoszę z pani akcentu. Musi pani mieszkać tutaj przynajmniej od roku, jeśli z taką swobodą włada językiem.

- Od dwóch lat, jeśli chodzi o ścisłość.

Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

- No proszę. Mam doskonałą intuicję w takich sprawach.

- Nie oczekuję od nikogo galanterii - odpowiedziała, ciągle poirytowana. Nie tylko świetnie wyglądał, w dodatku pięknie pachniał. Subtelna,

miła woń pomieszana z ledwie wyczuwalnym zapachem dobrego tytoniu.

- Przyjechałam pracować.

- Z pewnością - mruknął. - Co nie oznacza, że nie może się pani dobrze bawić w czasie pobytu w Mirabel. Jedno nie wyklucza drugiego.

Grał jej na nerwach. Drażnił ją. Wytrącał z równowagi. Ruszyli powoli mrocznym korytarzem w stronę znacznie lepiej oświetlonych schodów.

Była przyzwyczajona do europejskiego flirtu, który zwykle oznaczał niewinną grę słowną. Wiedziała jednak, że tym razem ma do czynienia z kobieciarzem. Sam siebie tak określił w języku, którego jakoby nie rozumiała. Nic dziwnego, że zachowywał się stosownie do roli, którą postanowił odgrywać. Właśnie tak powinien zachowywać się niepoprawny podrywacz.

Chloe nie miała ochoty podejmować proponowanej przez niego gry. Czuła, że ten facet w gruncie rzeczy jest kimś zupełnie innym, niż próbuje jej wmówić. Gdyby pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, nie pozbyłaby się go tak łatwo. Nie skończyłoby się na niewinnych słownych potyczkach.

- Monsieur Toussaint...

- Bastien - poprawił ją. - Ja też chciałbym ci mówić po imieniu, Chloe. Nigdy dotąd nie znałem żadnej kobiety o tym imieniu. Urocze. - Gładkie słowa, miękki jak pieszczota, aksamitny głos.

- Bastien - skapitulowała. - Naprawdę uważam, że to nie najlepszy pomysł.

- Masz kogoś? Nawet jeśli jesteś z kimś związana, należy ci się

odrobina rozrywki. To, co zdarzy się tutaj, nie wyjdzie poza te mury. Możemy bardzo miło spędzić czas - kuśił.

Nie była pewna, jak by zareagowała, gdyby chodziło o kogoś innego. Zwykle całkiem nieźle potrafiła radzić sobie w kłopotliwych sytuacjach. Jednak teraz poczuła się jak w pułapce, bo Bastien podobał się jej, pociągał ją, a jednocześnie napawał lękiem. Kłamał jak z nut, to oczywiste, nie wiedziała tylko, w jakim celu.

Zatrzymała się. Zza podwójnych, uchylonych drzwi słychać było rozmowy innych gości, mieszaninę francuskiego i angielskiego. Otworzyła usta, wahając się, co powiedzieć, jakiego użyć argumentu. Bastien ją uprzedził:

- Podobasz mi się - szepnął. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem taki oczarowany.

Zanim zdążyła zareagować, objął ją i zaczął całować.

Jest w tym dobry, pomyślała jak przez mgłę, starając się nie odpowiadać na pocałunek. Czowała jego dłonie na swoim ciele, jego wargi na swoich ustach. Zamknęła oczy, a Bastien całował jej policzki, powieki, potem znowu usta, szyję.

Nie wiedziała, co zrobić z rękami. Powinna go odepchnąć, ale nie znalazła dość siły. Jego lekkie pocałunki, pieszczotliwe muśnięcia sprawiały, że budziło się w niej pragnienie, by całował ją jeszcze żarliwiej. Ten jeden raz, bo więcej nie będzie miał po temu okazji. Nie pozwoli mu, powinna zatem do końca wykorzystać i odczuć to, co się teraz dzieje.

Każdemu wolno raz skosztować zakazanego owocu, powiedziała

sobie, kiedy ujął jej twarz w dłonie. W końcu jesteśmy we Francji, ojczyźnie miłości.

Już miała oddać się całkowicie rozkoszy, kiedy w głowie odezwał się niemile brzmiący, natarczywy dzwonek ostrzegawczy. Bastien był zbyt dobry. Zbyt dobrze całował. Wiedział, do czego mogą służyć dłonie, język, wargi. Gdyby była ciut głupsza, dałaby się ponieść pożądaniu.

Coś tu nie grało. On udawał. Czują to, była tego pewna. Wykonywał gesty, które powinien wykonywać, mówił to, co należało w takiej sytuacji powiedzieć, a jednak zachowywał dystans, chłodnym okiem obserwował jej reakcje, badał ją.

Zamiast zacisnąć dłonie na jego ramionach, odepchnęła go od siebie. Silniej, niż zamierzała. Nie opierał się. Przyjął gwałtowną odprawę z rozbawieniem na twarzy.

- Nie? Widocznie źle odczytałem sygnały. Bardzo mnie pociągasz. Sądziłem, że z wzajemnością.

- Panie Toussaint, jest pan bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ale prowadzi pan ze mną jakąś grę, która mi się nie podoba.

- Prowadzę grę?

- Nie wiem, o co chodzi, w każdym razie nie wierzę, że zapalał pan nagłym pożądaniem do mojej skromnej osoby. - Sylvia zawsze z niej pokpiwała, że jest zbyt prostolinijna. Nie szkodzi. Może to i lepiej, bo przynajmniej nie nabrała się na gładkie słówka tego faceta.

- W takim razie muszę się bardziej postarać, żeby cię przekonać - powiedział, nachylając się ku niej ponownie.

Być może udałoby mu się poczynić kolejny krok w kierunku przekonywania Chloe, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i z salonu wypadł wyraźnie wściekły Hakim. Bastien cofnął się, nie wykazując szczególnego pośpiechu, i Hakim jeszcze bardziej się nasrożył.

- Zastanawialiśmy się, co się z panią dzieje, panno Underwood. Jest już wpół do ósmej.

- Nie mogłam tu trafić. Monsieur Touissant był tak uprzejmy, że wskazał mi drogę.

- O tak, na jego uprzejmość zawsze można liczyć - warknął Hakim.
- Baron na ciebie czeka, Bastien. Panuj nad sobą, z łaski swojej, i pamiętaj, że mamy kilka ważnych spraw do załatwienia.

- W porządku. - Bastien posłał Chloe kpiący uśmiech i wszedł do salonu.

Chloe chciała iść za nim, ale poczuła na ramieniu dłoń Hakima.

- Muszę panią ostrzec przed Bastienem.

- Nie musi mnie pan ostrzegać. Znam dobrze mężczyzn tego pokroju. - Nieprawda, pomyślała. Bastien tylko próbował przekonać ją, że należy do „mężczyzn tego pokroju”. Światowych, szarmanckich, lubiących flirt, nie dbających o zasady i moralność. Zapewne był taki, ale to nie wyczerpywało jego charakterystyki. Za pozą playboya kryło się coś więcej, coś mrocznego, czego Chloe jeszcze nie potrafiła nazwać.

Hakim pokiwał głową, choć nie wydawał się przekonany.

- Jest pani bardzo młoda, panno Underwood. Mógłbym być pani ojcem, dlatego nie chciałbym, żeby przytrafiło się pani coś złego.

Zabrzmiało to jak pogrożka, kolejna wygłoszona tego dnia pod jej

adresem. Chloe przeszedł dreszcz. Może nie powinna była jednak przyjeżdżać do Mirabel. Czyżby popełniła błąd, zgadzając się lekkomyślnie na propozycję Sylvii? Zmiana otoczenia, luksus, perspektywa zarobienia niezłych pieniędzy, to wszystko było bardzo miłe, ale cena mogła okazać się zbyt wysoka.

Na domiar złego nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad wrażeniem, jakie wywarł na niej pocałunek Bastiena Toussainta. Była na najlepszej drodze, by napytać sobie kłopotów, acz w dalszym ciągu nie wierzyła, mimo zawołanych pogroźek, że może jej grozić jakieś realne niebezpieczeństwo.

A co do Bastiena... Chciała się przekonać, jak zareaguje na jego pocałunek. Prawdziwy pocałunek, nie udawany, jak ten przed chwilą, który miał wprowadzić ją w oszołomienie. Nie, to musiałby być pocałunek, którego on pragnąłby tak samo jak ona.

Chyba zwariowałam, pomyślała, wchodząc do biblioteki. Bastien rozmawiał właśnie z żoną barona, która zachowywała się wobec niego zdecydowanie zbyt swobodnie, jakby obok nie było jej męża. Położyła mu wypielegnowaną dłoń na ramieniu i patrzyła prosto w oczy. Miała lekko uniesioną głowę i uśmiechała się zalotnie.

Chloe wzięła z tacy kieliszek sherry i usiadła przy oknie wychodzącym na rzęście oświetlony ogród, z dala od Bastiena i jego wdzięczającej się rozmówczynie. Początkowo nie rozumiała nic z kakofonii różnych języków. Nie rozumiała, bo celowo nie wsłuchiwała się w rozmowy. Wystarczyło jej to, co usłyszała, a właściwie podsłuchiwała po południu.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że goście rozmawiają wyłącznie

po francusku i angielsku. Nie wymieniają między sobą żadnych sekretnych uwag. Odetchnęła. Zawsze grzeszyła wybujałą wyobraźnią, wszędzie dopatrywała się spisków, kowań. Co na Boga może knuć grupka handlarzy? Jakie spiski przygotowywać?

Podniosła wzrok. Bastien i baronowa wymknęli się z pokoju i w Chloe na nowo obudziły się niesprecyzowane podejrzenia. W dodatku Bastien na moment się odwrócił w progu, spojrzął jej prosto w oczy, uśmiechnął się jakby przepraszająco i wzruszył nieznacznie ramionami.

- Pozwoli pani, miss Underwood? - Na sąsiednim fotelu usiadł baron. - Wygląda na to, że oboje zostaliśmy porzuceni. Proszę mi powiedzieć, dlaczego taka śliczna dziewczyna jak pani zgodziła się męczyć z takimi starymi, nudnymi kapitalistami jak my? Jestem pewien, że w Paryżu czekają na panią znacznie ciekawsze zajęcia. Jakiś młody człowiek, na przykład...

Chloe odpowiedziała uśmiechem, starając się nie myśleć o parze, która właśnie wymknęła się z pokoju.

- Nie ma żadnego młodego człowieka. Prowadzę bardzo spokojne, samotne życie.

- Nie wierzę - zawołał baron. - Taka śliczna dziewczyna? Co się dzieje z tymi dzisiejszymi mężczyznami, czyżby byli ślepi? Naprawdę żaden się panią nie zainteresował? Gdybym był o czterdzieści lat młodszy, sam bym zabiegał o pani względy.

Chloe podjęła zabawę.

- Dlaczego aż o czterdzieści? - spytała ze śmiechem.

- Jestem o trzydzieści lat starszy od mojej żony i już to stanowi

ogromną różnicę. Dlatego pozostawiam jej wiele swobody. Cieszę się, kiedy korzysta z życia, chcę, żeby się dobrze bawiła.

- To bardzo wspaniałomyślna postawa - powiedziała Chloe gładko.

- Co złego w tym, że wyszła na chwilę z Bastienem? - ciągnął baron. - Co może się zdarzyć? Ukradkowy pocałunek? Przelotna pieszczota? To tylko zaostrza apetyt.

- Przepraszam?

- Widziałem, jak pani na nich patrzyła. Bastien to partner w sam raz dla mojej żony, która zna reguły gry i nie oczekuje niczego poza chwilową rozrywką. Tak, odpowiedni partner dla mojej żony, ale nie dla takiej niewinnej istoty jak pani.

Drugie ostrzeżenie w ciągu zaledwie dziesięciu minut. Obu troskliwym panom nie przyszło do głowy, że ona nie potrzebuje przestróg. Jej instynkt samozachowawczy odezwał się w samą porę.

- Przyjechałam tutaj, żeby tłumaczyć rozmowy biznesowe, a nie po to, żeby wdawać się w niebezpieczne flirty - powiedziała pewnym, spokojnym głosem.

- Mam nadzieję, że mnie pani nie uważa za niebezpiecznego - odparł baron. - Nikt już nie myśli o mnie w ten sposób - dodał markotnym tonem.

- Jest pan z całą pewnością niezwykle niebezpiecznym mężczyzną - pocieszyła go Chloe.

Baron uśmiechnął się promiennie.

- Być może ma pani rację, moje dziecko.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie, dziewczyna z całą pewnością nie przyjechała do Mirabel ze względu na mnie, myślał Bastien, kładąc dłoń na piersi Monique. Gdyby tak było, nie odepchnęłaby mnie tak zdecydowanie. Nawet najbardziej niedoświadczona agentka wie, że sypianie z wrogiem jest najszybszą metodą zdobywania informacji, a typowego mężczyznę najlepiej wyciąga się na zwierzenia w łóżku.

Ale on nie był typowym mężczyzną. Miał lód w żyłach, penis nigdy nim nie rządził i Bastien nawet w łóżku potrafił być niebezpieczny. Chloe nie mogła o tym wiedzieć. Była na tyle niedoświadczona, że dosłownie w chwilę po przyjeździe zdążyła zdradzić się ze swoją znajomością włoskiego i niemieckiego. Gdyby pojawiła się w Mirabel ze względu na niego, z pewnością połknęłaby przynętę, którą próbował zarzucić.

W innej sytuacji niewiele by go obchodziło, kogo panna Underwood dostała do rozpracowania. On miał swoje zadanie do wykonania, a reszta zupełnie go nie obchodziła. Jednak sprawa ciągnęła się już zbyt długo, nie mógł pozwolić, by ktoś teraz popsuł mu szyki, zniszczył wysiłek wielu miesięcy.

Wsunął dłoń pod suknię Monique.

Monique w tej chwili nie była już ważna ani przydatna. W czasie poprzedniego spotkania kartelu wydobył od niej wszystkie informacje, na których mu zależało, ale nie mógł tak raptownie stracić dla niej zainteresowania, bo taki ruch wzbudziłby podejrzliwość pozostałych. Dlatego

wymknął się z nią z salonu i teraz, w ciemnym zakątku pałacu finalizował krótkie sam na sam.

Wiedział, że rzecz się nie ukryje. Wszędzie były kamery, dyskretna, niewidzialna ochrona. Hakim z pewnością zadba, by przekazano kasetę z nagraniem staremu baronowi. Nie tylko baronowi, każdemu, kto gotów będzie zapłacić dobrą cenę.

Monique dotknęła jego rozporoka i Bastien zrobił rzecz nieoczekiwaną - odsunął jej dłoń. Dlaczego? Zamiast twarzy Monique stanęła mu przed oczami twarz niezaradnej, niewprawnej miss Underwood. Stracił ochotę na gimnastykę seksualną z panią baronową.

Monique oparła się o ścianę, lekko rozchyliła usta. Wyglądała teraz jak kocica gotowa do skoku. Taka właśnie była, nieobliczalna, zwierzęca, ostra, pozbawiona wszelkich zahamowań.

- To ciekawy ruch - powiedziała. - Ale dopiero zaczęliśmy.

- Właśnie skończyliśmy - sprostował Bastien, i nagle poczuł prawdziwe zaskoczenie. Po raz ostatni spali z sobą cztery miesiące wcześniej. Wedle wszelkich oczekiwań powinien teraz rzucić się na nią.

Nie miał ochoty i nie miał już żadnego interesu w tym, żeby uwodzić Monique. Zbyt zaprzętała go zagadka panny Underwood, jej tajemniczego pojawienia się w Mirabel. Panna Underwood patrzyła na niego takim pożądanym wzrokiem, jakby zobaczyła słoik miodu, ale potem go odepchnęła.

- Co to ma znaczyć? - w głosie Monique zabrzmiało umiarkowane zdziwienie.

Nachylił się i pocałował ją w usta.

- Było bardzo miło, ale najwyższy czas, żebyś znalazła sobie nową rozrywkę. Twój mąż musi być znudzony opowieściami o mnie. - Baron bardzo lubił słuchać relacji żony na temat jej kolejnych przygód. Podniecało go to. - Tym razem radziłbym kobietę.

Tak jak przewidywał, Monique nie poczuła się wcale dotknięta. Uśmiechnęła się tylko swoim kocim uśmiechem.

- Zaprośmy miss Underwood do towarzystwa. Mogłoby być ciekawie.

- Nie jest w moim typie - mruknął Bastien, powściągając irytację.

- Ja najwyraźniej też nie. Już nie. - Wzruszyła ramionami. - Szkoda, ale jak sam powiedziałeś, mojego męża zaczęło to nudzić. Lubi, kiedy zadaję się z sadystami, a ty jakoś nie zmierzałeś w tym kierunku.

- Może kiedy indziej - powiedział trochę od rzeczy. Miał szczerą ochotę mocno zacisnąć palce wokół jej pięknej szyi. Nie tyle po to, by dowieść Monique swoich skłonności sadystycznych, ale by uciszyć ją raz na zawsze. Nie słyszeć wygadywanych przez nią idiotyzmów.

- Nie sądzę. - Monique oderwała się od ściany i ruszyła zdecydowanym krokiem do salonu, nie oglądając się na Bastiena.

Zapalił papierosa i zapominając natychmiast o pani baronowej, wrócił do nurtujących go od kilku godzin pytań. Kto wynajął Chloe Underwood? I jakie miała zadanie do wykonania?

Chloe Underwood.

Co za paradne imię i nazwisko. Równie dobrze mogłaby się nazywać Mary Poppins. Jak postać z powieści dla panienek. Dlaczego nie wybrali poważniejszego i bardziej prawdopodobnego pseudonimu?

Mogła ją przysłać jego własna organizacja, ale to mało prawdopodobne. Osoba tak słabo przygotowana nie dostałaby żadnego zlecenia. Po co przyjechała do Mirabel? Kto był jej celem? Otomi? Ricetti? Madame Lambert? A może sam Hakim?

Jedno nie ulegało wątpliwości, Chloe Underwood nie działała na zlecenie najbardziej niebezpiecznego z członków kartelu, bo Christos Christopolous wynajmował tylko najlepszych. Poza tym nie korzystał nigdy z usług kobiet. W żadnym zakresie.

Ciekawe, co się stało z prawdziwą tłumaczką? - rozmyślał. Być może znajdą ją w jakimś ciemnym zaułku, z poderżniętym gardłem. Może miss Underwood nie była ekspertką w udawaniu kogoś innego, ale to nie oznaczało jeszcze, że nie nadaje się do mokrej roboty. Być może jej delikatne, drobne dłonie potrafiły zadawać śmierć równie skutecznie i pewnie jak krzepkie ręce Hakima.

Po co się nad tym wszystkim zastanawia, skoro dziewczyna dała jasno do zrozumienia, że nie chodzi o niego? Wystarczy, że szepnie słowo Hakimowi, a panna Underwood zniknie, on natomiast będzie mógł skupić się na swoim zadaniu.

Miał już serdecznie dość „zadania”. Był zmęczony wiecznymi kłamstwami, ciągłymi zmianami tożsamości, występowaniem pod różnymi nazwiskami. Trwało to od tak dawna, że zapomniał, kim jest naprawdę. Nie wiedział już, którzy są ci dobrzy, a którzy ci źli. Co gorsza było mu to zupełnie obojętne.

Chloe Underwood obudziła jego ciekawość, nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale tak właśnie było. Wraz z jej pojawieniem się w Mirabel

Bastien ożywił się, świat wydał mu się znowu odrobinę bardziej interesujący. Szkoda byłoby zbyt szybko pozbyć się dziewczyny. Zadanie, które właśnie wypełniał, nie nastęczało specjalnych problemów. Jego osoba nie budziła najmniejszych podejrzeń, a Hakim był łatwym celem do rozpracowania.

Czekając na przyjazd Christosa, mógł sobie pozwolić na zajęcie się czymś innym. Jeśli panna Underwood okazałaby się niebezpieczna, po prostu ją usunie. Zrobi to sam, szybko i sprawnie. Wolał to, niż pozwolić Hakimowi znęcać się nad ofiarą.

Będzie obserwował i czekał. Intuicja podpowie mu, kiedy powinien uderzyć, a Bastien zawsze ufał swojej intuicji. Nie zamierzał się spieszyć. Chyba że Chloe Underwood popełni fatalny błąd, który bezapelacyjnie przesądzi o jej losie.

Popełniłam fatalny błąd, pomyślała Chloe, odstawiając kieliszek na stół. Stanowczo za dużo wypila na prawie pusty żołądek, a powinna przecież zachować trzeźwy umysł, jasność myślenia. W czasie jedzonej w niespiesznej, rozluźnionej atmosferze kolacji, gdzie rozmawiało się o wszystkim i o niczym, nie nastęczało to większych trudności. Raz czy dwa ktoś zwrócił się do niej z prośbą o przetłumaczenie jakiegoś słowa, za to ciągle dolewano jej wina. Kiedy na stole pojawiły się wreszcie sery, Chloe już kręciło się w głowie.

Być może nie upiłaby się tak łatwo, gdyby wcześniej nie wychyliła jednej po drugiej dwóch szklaneczek whisky. A wychyliła, kiedy zobaczyła, w jakim stanie Monique von Rutter wróciła do salonu po swoim sam na sam z Bastienem. Rozmazany makijaż, zmierzwione włosy, lekko

zamglony wzrok...

Bastien Toussaint pocałował Chloe w korytarzu, potem szybko upatrzył sobie inną damę i wymknął się z nią na szybki numerek. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Monique, by domyślić się, co zaszło między tą parą.

Pani baronowa mogła chociaż zaczekać z powrotem do salonu kilka minut, ogarnąć się, ochłonać, myślała Chloe z lekkim niesmakiem, wychylając szklaneczkę whisky, którą ktoś jej usłużnie podsunął. Po Bastienie nie było tak bardzo widać, że zabawiał się z Monique, no, ale on nie nosił na głowie wymyślnej koafiury i nie stosował makijażu.

Chloe opróżniła jednym haustem szklaneczkę i natychmiast sięgnęła po następną. Co ją to właściwie, do diabła, obchodzi? Facet był najwyraźniej z tych, którzy nie przepuszczą żadnej kobiecie. Dobrze, że przynajmniej ona wykazała na tyle przytomności umysłu, by dać mu szybką i zdecydowaną odprawę.

Zerknęła z niesmakiem na kawałek brie leżący na jej talerzyku. Zupełnie niepotrzebnie zaprzętała sobie głowę Bastienem. Kompletny absurd. Co takiego mogło ją w nim pociągać? Nie ma nic bardziej odstręczającego niż facet, który cały czas się kontroluje. Który na oczach wszystkich, ostentacyjnie wymyka się (jeśli można wymykać się ostentacyjnie) z pierwszą chętną damą na szybki numerek.

Nie, to zdecydowanie osobnik nie w moim typie, monologowała Chloe w duchu. Ona wolała mężczyzn odrobinę mniej jawnie manifestujących swą męskość, za to znacznie bardziej otwartych w ujawnianiu emocji. Zresztą, po co w ogóle o tym myśli? W jej typie, nie w jej ty-

pie... Nie dla niej i już. Kropka.

Podczas ciągnącej się w nieskończoność kolacji nie spojrzał ani razu w jej stronę, co oznaczało, że jego zainteresowanie jej osobą było przelotne. Bardzo przelotne, można powiedzieć. Chloe ze swej strony nie włączała się w toczone przy stole pogawędki. Kiedy ją o to proszono, służyła tłumaczeniem, to wszystko. Za to Monique von Rutter była duszą towarzystwa. Rozświergotana, zalotna, sypiąca żartami.

Chloe pewnie zsunęłaby się z krzesła pod stół i tam zasnęła, gdyby Hakim w porę nie podniósł się, dając sygnał pozostałym.

- Jutro czeka nas ciężki dzień. Proponuję przejść na kawę i likiery do zachodniego salonu, po czym powiemy sobie dobranoc. Kto chciałby położyć się wcześniej, może, oczywiście, zakończyć wieczór już teraz. - Tu spojrzał na Chloe. - Pani nie będzie nam już dzisiaj potrzebna, panno Underwood.

Przyjęła jego słowa z ulgą. Jeszcze jeden kieliszek alkoholu i nie doszłaby o własnych siłach do pokoju. Wstała, bacząc pilnie, by się nie zatoczyć.

Obserwował ją. Nie wiedziała dlaczego, nie przyłapała go ani razu na spoglądaniu w jej kierunku, ale czuła, że Bastien ją obserwuje, flirtując jednocześnie ze wszystkimi pozostałymi damami z ich niewielkiej grupki. Może zrozumie coś z tego rano, jak prześpi się i wytrzeźwieje. Teraz czuła kompletny zamęt w głowie. Bastien wytrącał ją z równowagi, budził niepokój. I przy tym wszystkim ekscytował.

Nie zdawała sobie sprawy, jak rozległy jest pałac Mirabel. Na dół zeszła z Bastienem, ale teraz ani myślała prosić go, by odprowadził ją do

pokoju. Metodą prób i błędów w końcu znajdzie drogę, powiedziała sobie stanowczo, o ile otumaniony alkoholem mózg może formułować stanowcze sądy.

Zajęło jej to więcej czasu, niż przewidywała. Powinna była zapytać, w którą stronę iść, ale kiedy się zorientowała, że zbłądziła, nie miała już kogo pytać. Zatrzymała się w korytarzu na piętrze, zdjęła z westchnieniem ulgi szpilki Sylvii i ponownie ruszyła przed siebie, pewna, że w końcu dotrze do swojego pokoju.

Nawet gdyby była trzeźwa, miałyby problemy ze znalezieniem właściwej drogi. O tej porze, w uspiętym budynku, w panującym wszędzie półmroku, mogła wędrować w nieskończoność, błędząc w labiryncie podobnych do siebie korytarzy.

W końcu zobaczyła z daleka znajomo wyglądające drzwi. Przyspieszyła kroku, pewna, że zaraz znajdzie się w swoim pokoju. Otworzyła drzwi.

I stwierdziła, że się pomyliła.

Zatęchły zapach wskazywał, że trafiła do nieodrestaurowanego jeszcze wnętrza. Najwyraźniej nie doprowadzono tu również elektryczności, bo nie świeciły się żadne żarówki. Tylko słaba poświata sącząca się przez dawno niemyte okna rozświetlała pokój, dając mgliste pojęcie, jak musiało wyglądać Mirabel, zanim ktoś z odpowiednimi pieniędzmi rozpoczął renowację zabytkowej budowli.

Tynk osypywał się ze ścian, parkiet był wypaczony, mocno zniszczony. Tylko stojące pod ścianami elementy lekkiego rusztowania, worki z materiałami budowlanymi i narzędzia wskazywały, że i tutaj wkrótce

rozpoczną się prace remontowe.

Przez woń stęchlizny przebijał jakiś inny zapach, którego Chloe nie potrafiła zidentyfikować. Zapach kojarzący się ze starością, mroczny i... budzący dreszcz grozy.

Zamroczone winem, wyobraziła sobie, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Zawsze miała bujną wyobraźnię, alkohol też robił swoje. Wszystko wokół wydawało się dziwne, tajemnicze.

Cofnęła się na korytarz i zderzyła z kimś.

Poczuła na ramieniu czyjąś dłoń, krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Kiedy zobaczyła, że to Hakim, odetchnęła z ulgą i zaczęła mówić coś szybko, połykając słowa. Była gotowa go uściskać, choćby tylko dlatego, że jest Hakimem, a nie Bastienem Toussaintem.

- Niebo mi pana zsyła - zawołała. - Zgubiłam się w tych korytarzach i już myślałam, że nigdy nie dotrę do swojego pokoju.

- Ta część pałacu jest zamknięta dla gości, panno Underwood. Jak pani widzi, prace renowacyjne dopiero się zaczną. Lepiej się tutaj nie zapuszczać. Gdyby coś się pani przytrafiło, nikt by nie usłyszał pani wołania o pomoc.

Chloe wytrzeźwiała w jednym ułamku sekundy. Przełknęła z wysiłkiem ślinę, spojrzała Hakimowi prosto w twarz... I parsknęła śmiechem, rozładowując ciężką atmosferę.

- Chyba powinnam mieć plan pałacu, bo będę bez przerwy błądzić - powiedziała. - Proszę wskazać mi drogę do mojego pokoju. Jestem bardzo zmęczona i chciałabym wreszcie się położyć.

Hakim nie zdejmował ręki z jej ramienia. Miał brzydkie dłonie o pal-

cach jak serdelki, pokrytych czarnymi włoskami. Nie odpowiedział od razu i Chloe przemknęło przez głowę, że zaraz wepchnie ją na powrót do ciemnego pokoju, z którego właśnie wyszła, i rzeczywiście nikt nie usłyszy jej wołania o pomoc, nikt się nie dowie gdzie i jak znikła.

Ale Hakim opuścił rękę i uśmiechnął się. Nie był to wcale sympatyczny uśmiech, ale dobre i to.

- Powinna być pani ostrożniejsza, panno Underwood - powiedział tonem nagany. - Ja nie jestem szczególnie groźnym typem, ale inni mogą się okazać się bardziej niebezpieczni.

- Niebezpieczni? - bąknęła.

- Na przykład monsieur Toussaint. Potrafi być uroczy, ale radzę trzymać się od niego z daleka. Widziałem was dzisiaj razem w korytarzu i bardzo mnie to zaniepokoiło. Martwię się o panią.

Było na tyle ciemno, że nie mógł widzieć rumieńców na jej policzkach.

- Pokazał mi drogę, to wszystko.

- Całując? Na pani miejscu naprawdę uważałbym na tego człowieka. Cieszy się fatalną opinią. Słynie ze swoich podbojów i ze swoich dość zaskakujących, tak to ujmijmy, upodobań. Czuję się za panią w jakimś sensie odpowiedzialny i nie chciałbym, żeby napytała sobie pani biedy. W końcu przez kilka najbliższych dni będę pani pracodawcą i choćby tylko dlatego powinienem dbać o pani bezpieczeństwo.

- Mnie też leży ono na sercu - zapewniła Chloe z ledwie wyczuwalną kpina w głosie.

- Skręci pani teraz w lewo, potem dwa razy w prawo.

- Słucham?

- Informuję panią, jak dotrzeć do pani pokoju. A może powinienem panią odprowadzić?

Chloe przeszedł dreszcz obrzydzenia.

- Dam sobie radę. Jeśli znowu zabłądzę, będę krzyczeć.

- Tak będzie najlepiej i najrozsądniej - powiedział Hakim chłodno i ton jego głosu wcale nie napełnił Chloe otuchą.

Już bez dalszych przeszkód dotarła do swojego pokoju. Pod drzwiami nikt na nią nie czekał. Pan Toussaint musiał widać znaleźć sobie partnerkę na noc, pomyślała z niejaką urazą i pchnęła drzwi.

Ktoś był w pokoju pod jej nieobecność. Czowała to. Potrząsnęła głową, jakby chciała uwolnić się od paranoicznych myśli. Kto mógł się interesować prostą, skromną tłumaczką konferencyjną?

Łóżko zostało przygotowane na noc, na wierzchu leżała lekka jak mgiełka koszula nocna Sylvii. Na stoliku nocnym stała taca z karafką wody i czekoladkami.

- Uspokój się, idiotko - powiedziała głośno, by przerwać martwą ciszę. - To tylko pokojówka.

Zrzuciła szybko ubranie i włożyła jedwabną, wykończoną koronkami koszulę. Gdyby miała odrobinę oleju w głowie, położyłaby się od razu do łóżka, ale nieoczekiwane spotkanie z Hakimem odebrało jej ochotę na sen. Łyk koniaku na dobranoc nikomu jeszcze nie zaszkodził, uznała po namyśle.

Co prawda wylali ją z najlepszej na świecie szkoły kucharskiej, ale zmysł smaku miała doskonały i koniak wydał się jej trochę dziwny. Miał

jakiś posmaczek, którego nie potrafiła nazwać. Chyba lekko metaliczny, ale w Mirabel z pewnością nie częstowano by gości podrzędnym trunkiem.

Znowu widać coś sobie ubzduriała. W każdym razie po pierwszym łyku poczuła rozkoszne ciepło rozlewające się po całym ciele i powieki same zaczęły jej opadać. Prześni dzisiejszą noc snem sprawiedliwego, nie będzie o niczym i nikim śniła... Z pewnością nie o Bastienie Toussaincie.

Poczuła w powietrzu jakiś zapach. Subtelny, wyraźnie rozpoznawalny i bardzo miły. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co to jest. Zapach wody kolońskiej Bastiena. Dlaczego...

Chciała odstawić kieliszek na stolik, ale ten musiał stać znacznie dalej, niż jej się wydawało. Szkło, zamiast trafić na tacę, upadło z cichym brzękiem na podłogę i rozprysło się. W sekundę później Chloe osunęła się na dywan.

Nie wypięłam przecież aż tak dużo, przemknęło jej przez głowę, kiedy próbowała się podnieść. Łyk koniaku nie mógł przecież zwalić jej z nóg.

A jednak zwałił. Nie dała rady podnieść się i położyć do łóżka. Na dywanie było bardzo wygodnie. Musi tylko uważać, żeby nie pokaleczyć się drobinami szkła z potłuczonego kieliszka. Zwinie się w kłębek i uśnie sobie spokojnie...

Bastien wszedł do pokoju i cicho zamknął drzwi. Nie musiał specjalnie uważać. Wiedział, gdzie zamontowano kamery i poruszał się tak, by nie zarejestrowały jego obecności. A gdyby nawet, to nie na darmo wyrobił sobie opinię notorycznego podrywacza. Nikogo nie zdziwiłby

fakt, że Toussaint zalicza kolejną damę.

Tyle tylko, że akurat tej kobiety nie można było nazwać piękną. Stał nad nią przez chwilę i przyglądał się zwiniętej w kłębek postaci. Ładna, owszem, ale to określenie też nie opisywało precyzyjnie rodzaju jej urody. Niezła sylwetka, regularne rysy, pełne usta...

Urocza? Słodka?

Może była lepsza, niż sądził. W każdym razie potrafiła roztaczać wokół siebie aurę osoby całkowicie niegroźnej.

Podniósł ją i położył na łóżku. Zdażyła zmyć z twarzy makijaż, być może dlatego wyglądała teraz tak niewinnie. Miała na sobie bardzo drogą koszulę nocną, wiązaną z przodu na atłasowe troczki. Rozwiązał je kolejno, jeden po drugim, aż koszula rozsunęła się, ukazując ciało.

Całkiem niezłe ciało. Dość zaokrąglone, nie takie kościste jak u wielu Francuzek. Młode, ładne, zdrowe. Zapraszające i wiele obiecujące. Ani śladu forsownych treningów, przez które powinna była przejść jako agentka. Ta dziewczyna musiała być naprawdę dobra w łóżku.

O czym on myśli? Ta dziewczyna najpewniej poderznęłaby mu gardło, gdyby próbował wślizgnąć się do jej łóżka.

Pod piersiami widniały dwie czerwone blizny. Przesunął po nich palcem, zastanawiając się, jakim to torturom była poddawana w dalekiej przeszłości. Uśmiechnął się z politowaniem, porażony własną głupotą. Żadne tortury. Po prostu za ciasny stanik.

Żadna z kobiet, które znał, nie włożyłaby za ciasnego stanika, chyba że powodowana jakąś dramatyczną koniecznością. Spojrzał na stopy panny Underwood. Hm, pantofle też najwyraźniej nosiła za ciasne, sądząc

po śladach na podbiciu.

Środek usypiający, którego odrobinę dosypał do koniaku, był na tyle silny, że dziewczyna powinna obudzić się najwcześniej za sześć, osiem godzin. Wypoczęta, bez kaca, mimo że solidnie na niego zapracowała, bo podczas kolacji nie odmawiała sobie alkoholu. To był jego mały prezent dla niej czy raczej rodzaj zadośćuczynienia za to, że ją podstępnie uspił.

Zabrał się za metodyczne przeszukiwanie pokoju. W bagażu panny Underwood odkrył trzy pary pantofli, wszystkie w tym samym rozmiarze, wszystkie na wysokim obcasie. Za kilka dni zacznie kuśtykać, bo nie wzięła żadnych wygodnych butów na zmianę.

Nie znalazł kombinezonu, czarnego, ściśle przylegającego do ciała stroju używanego przez agentów w czasie różnych misji. Chyba że ukryła go gdzieś na terenie posiadłości. Nie znalazł też broni, żadnych notatek, papierów, które mogłyby ją zdemaskować. Paszport doskonale podrobiony, sprawiał wrażenie autentycznego, a kobieta na zdjęciu wyglądała na trochę młodszą niż ta, która pojawiła się kilka godzin wcześniej w Mirabel.

Amerykanka z Karoliny Północnej. Dwadzieścia cztery lata, metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, waga sześćdziesiąt dwa kilogramy. Granicę Francji przekroczyła dwa lata wcześniej, na podstawie wizy studenckiej. Miała pozwolenie na pracę, co było pewną niespodzianką. Bastien z zasady nie ufał ludziom, którzy na pozór wydawali się absolutnie czysti.

To wszystko, czego się o niej dowiedział. Żadnych innych dokumentów, prawdziwych czy też sfalszowanych. Niewiele pieniędzy. Żad-

nych leków. Żadnych osobistych drobiazgów typu notes, adresownik.

Kilka zdjęć w portfelu. Falszywki przedstawiające pannę Underwood z rodziną. Takie rzeczy łatwo wyprodukować.

Odłożył torebkę i obszedł łóżko.

Na podłodze szkło z rozbitego kieliszka, na dywanie rozlany koniak. Nic wielkiego. Posprząta to. Robił już gorsze rzeczy. Tym razem obeszło się bez rozlewu krwi. Nie musiał usuwać ciała...

Jeszcze nie.

Wylał doprawiony środkiem nasennym koniak do umywalki w łazience, po czym przelał do niewielkiej karafki zawartość pierśiówki, którą przyniósł ze sobą. Pomyślał także o kieliszku. Dobył go z kieszeni, nappełnił w jednej czwartej i postawił na szafce nocnej.

Ponownie spojrzął na dziewczynę.

Prawdziwa profesjonalistka. Skoro przeszukanie jej rzeczy nic nie dało, musiała pomyśleć o wszystkim. Przezorna i nadzwyczaj przewidująca.

Chyba że rzeczywiście była dwudziestoczteroletnią Amerykanką z Karoliny Północnej, młodą, naiwną dziewczyną, która nie miała pojęcia, w co się niechcący wplątała.

Jeśli tak, dlaczego nosi buty w nie swoim rozmiarze i za ciasny stanik? Dlaczego kłamie, że zna tylko francuski i angielski? Nie, z pewnością nie pojawiła się na spotkaniu w Mirabel przypadkiem. Przyjechała wykonać zadanie, a on musi jak najszybciej odkryć, co konkretnie jej zlecono.

Zawiązał troczki koszuli, ale nie wszystkie, kilka na dole zostawił.

Będzie się zastanawiała, jak to się stało, ale oczywiście nie dojdzie przyczyny. Spała tak głębokim snem, że mógłby zrobić z nią teraz wszystko i nie natrafiłby na najmniejszy opór.

To, co zrobiłby najchętniej, wymagało jednak udziału drugiej strony, inaczej trudno mówić o przyjemności, a przecież właśnie o to chodziło. No dobrze, nie tylko o przyjemność. Dopiero w łóżku miałby szansę ją poznać, i to lepiej, niż znał ją ktokolwiek inny. Być może była taka niedoświadczona, że nie potrafiła wykorzystać jego dzisiejszych zalotów. Nie szkodzi, on zaczeka.

Uderzy jeszcze raz, kiedy będzie przytomna, świadoma tego, co się z nią dzieje. Przysiadł na łóżku i przyglądał się jej przez chwilę. Mógłby zlikwidować ją teraz, od razu. Tak byłoby najprościej. Potem powiedziałby Hakimowi, że jej nie ufał i takie wyjaśnienie w pełni zadowoliłoby Araba.

Położył dłoń na jej szyi. Delikatna, ciepła skóra, znacznie jaśniejsza od jego własnej. Czuł równy puls, widział, jak dziewczyna oddycha głęboko, spokojnie. Zacisnął na moment palce i szybko je rozprostował, cofnął dłoń.

Potem nie był pewien, dlaczego to zrobił. Zachował się nietypowo, ale ostatnio zdarzało mu się to dosyć często. Stosował inne niż zazwyczaj zasady, ignorując te, które mu wpojono.

Wyciągnął się obok dziewczyny, położył głowę na poduszce. Chloe Underwood pachniała koniakiem, dobrym mydłem i perfumami Chanel - bardzo miła kombinacja.

- Kim jesteś? - szepnął. - I po co tu przyjechałaś?

Oczywiście nie oczekiwał odpowiedzi. Przez najbliższe sześć godzin dziewczyna nawet nie otworzy oczu.

Bastien zaśmiał się cicho i wstał. Czas wracać do swojego pokoju. Na razie niczego więcej się nie dowie. Nie znalazł broni, co wskazywałoby, że panna Chloe Underwood, Amerykanka od dwóch lat przebywająca w Paryżu, tłumaczka konferencyjna, nie przyjechała tu mordować, a tylko zbierać informacje.

Jego w tym głowa, by pozyskane przez nią wiadomości nie wyostały się poza te mury.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chloe zwykle budziła się rześka, radosna jak skowronek, gotowa na rozpoczęcie nowego dnia tuż po otwarciu oczu. Zupełnie inaczej niż rodzice i rodzeństwo. Oni z kolei rozbudzali się długo, z trudem i mieli zwyczaj zgodnie grozić rannemu ptaszkowi straszną śmiercią za jej niewczesne świergoty.

Tego ranka też obudziła się pełna energii, pozytywnie nastawiona do życia. Nie wiedziała tylko, gdzie ją to życie rzuciło. Nie panikuj, powiedziała sobie. Uleganie panice to strata czasu. Leżała chwilę bez ruchu, usiłując skupić myśli.

Prawda, pałac Mirabel. Kretyński pomysł Sylvii, żeby Chloe wzięła za nią zlecenie. Wino do kolacji. Okropnie dużo wina. A wcześniej krótkie sam na sam z Bastienem Toussaintem. A niech to...

Od miesiący z nikim się nie całowała. Nic dziwnego, że jeszcze teraz

czuła wargi Toussainta na swoich ustach. Nie powinna o tym myśleć. On grał, czuła to. W dodatku był bardzo wytrawnym graczem.

A ona zawsze była okropnie wybredna, do tego uparta i zbyt amerykańska, jak mówili jej przyjaciele. To wszystko stanowiło poważną przeszkodę w nawiązaniu niezobowiązującego romansu z Bastienem.

Seks z tym mężczyzną mógłby pozostawić miłe wspomnienia, ale to niewystarczający powód, by od razu wskakiwać mu do łóżka.

Usiadła ostrożnie, oczekując, że zaraz poczuje przeszywający ból w czaszce, na który w pełni sobie zasłużyła nieumiarkowaniem w pić. Jednak ból wcale się nie pojawił. Pokręciła lekko głowę, spodziewając się, że pewnie teraz poczuje zgubne skutki wychylanych przy kolacji kieliszków. Nic. Ani śladu spodziewanego kaca.

Zerknęła na szafkę nocną. Przed snem wypła jeszcze łyk koniaku, tyle pamiętała. Wstawiła się poprzedniego wieczoru, to prawda, ale nie urznęła chyba tak skandalicznie, żeby jej się urwał film. Wypła łyk koniaku, a potem stłukła kieliszek i upadła na podłogę. Tak to zapamiętała.

Tymczasem obudziła się w wielkim, wygodnym łóżku. Kieliszek z resztką koniaku, ledwie kilka kropel na dnie, stał na szafce nocnej.

Dziwne.

Widać wypła więcej, niż się jej wydawało.

Odrzuciła kołdrę, opuściła nogi na dywan... I znieruchomiła. Część troczków przy koszuli nocnej, tych na dole, była rozwiązana. Co się z nią dzieje?

Raczej nic wesołego, stwierdziła z westchnieniem, po czym wzięła

prysznic, ubrała się, spojrzała na pantofle na potwornie wysokich obcasach i jęknęła. Może powinna ogłosić, że poddaje się szczególnemu rodzajowi akupresury i musi chodzić boszo?

Nie, na taki wygłup się nie zdobędzie. Była zbyt poukładana i rozsądna. Z dwojga złego wolała cierpieć, niż robić z siebie wielbicielkę medycyny holistycznej. Przynajmniej tyle mogła uczynić dla swojej, bądź co bądź, lekarskiej rodziny.

Zeszła na dół bez błędzenia, akurat w samą porę, by zjeść szybkie śniadanie i wziąć się do pracy. Goście Mirabel zasiedli przy długim stole konferencyjnym, wszyscy w towarzystwie, asystentek i asystentów, z wyjątkiem von Ruttera, któremu towarzyszyła żona Monique.

Hakim, który przydykował u szczytu stołu, na widok Chloe wskazał wolne miejsce po swojej prawej. Toussainta jeszcze nie było. Może los okaże się dla mnie łaskawy i francuski zdobywca kobiet w ogóle się nie pojawi, pomyślała, siadając i stawiając na stole swoją filiżankę z kawą.

Próżne nadzieje. Bastien pojawił się w chwilę później, też z filiżanką w dłoni, i usiadł na ostatnim wolnym miejscu, czyli obok Chloe.

Nie mogła się skupić na tym, co mówi Hakim. Minuta ciszy dla uczczenia jakiegoś tragicznie zmarłego Augusta Remarque'a. Słyszała już to nazwisko, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie i kiedy, ani w jakich okolicznościach.

Teraz będzie cały czas łamać sobie nad tym głowę. Może powinna po prostu zapytać? Albo wcale nie otwierać ust i udawać, że jej tutaj nie ma.

Przez kilka następnych godzin toczyły się skomplikowane dyskusje na temat tego, jakie produkty żywnościowe sprowadzać z jakich obszarów

w okresie najbliższych kilku miesięcy. Chloe lubiła co prawda pomarańcze, jagnięcinę i kurczaki, ale nie do tego stopnia, by fascynować się nowymi strategiami w imporcie tych smakołyków.

To, co musiała tłumaczyć, było nieznośnie nudne. Liczby zawsze ją usypiały. Nawet drzemiąca w niej niedoszła mistrzyni kuchni pozostawała absolutnie obojętna na problemy zwiększenia bądź zmniejszenia ilości kontraktowanej wieprzowiny i niuansów transportu kolejnych partii kurczaków.

Zebrani natomiast omawiali każdy detal z wypiekami na twarzy. I trudno się dziwić, zważywszy sumy, które padały w euro, funtach i dolarach. Nigdy nie przypuszczała, że w handlu produktami spożywczymi obraca się tak potężnymi pieniędzmi.

Siedziała prawie u szczytu stołu i za każdym razem kiedy zwracała głowę w stronę kolejnej wypowiadającej się osoby, widziała Toussainta, ale on jakby stracił dla niej wszelkie zainteresowanie, jakby przestała istnieć. Posługiwał się angielskim równie dobrze jak francuskim, nie musiała zatem tłumaczyć jego słów. Kiedy zabierał głos, nachylała się nad stołem i udawała, że czyta swoje notatki.

Podczas długiego, nudnego poranka zdarzył się tylko jeden trudny moment. Oto pojawiło się słowo, którego, przy całej swojej biegłości w posługiwaniu się francuskim, nie знаła.

- Co to jest „legolas”? Wiem, że postać o tym imieniu występuje we „Władcy pierścieni” - zapytała wprost.

W sali konferencyjnej zapadła głucha cisza. Gdy ktoś odstawił filiżankę, rozległ się delikatny brzęk porcelany. Towarzystwo wpatrywało

się w Chloe z tak osłupiałymi minami, jakby zapytała, z kim kto spędził ostatnią noc albo gorzej, jakby zapragnęła poznać dokładny stan ich kont bankowych. Z kłopotu wybawił Chloe Bastien, zwracając się, pierwszy raz tego dnia, bezpośrednio do niej:

- Legolas to gatunek owiec - wyjaśnił. – Dla pani rzecz bez większego znaczenia.

Ktoś cicho parsknął na te słowa.

- Proszę nie zadawać pytań, tylko tłumaczyć, panno Underwood - pouczył ją Hakim chłodnym tonem. - Jeśli nie radzi sobie pani, znajdziemy kogoś innego. Nie możemy sobie pozwolić na marnowanie czasu przez pani niekompetencję.

Chloe nigdy nie potrafiła przyjmować ze spokojem publicznej krytyki, poza tym Hakim już wcześniej nie budził jej szczególnej sympatii. Najchętniej wstałaby ze swojego miejsca, wyszła z sali, wsiadła do luksusowej limuzyny, która ją tu przywiozła, i wróciła do Paryża. Byle nie widzieć już więcej na oczy tych handlarzy przerzucających z kontynentu na kontynent banany i tuczniki.

Czyżby? Czowała na sobie spojrzenie Toussainta i doskonale wiedziała, że nie wyjedzie z Mirabel wcześniej, niż to będzie konieczne.

- Przepraszam pana - odpowiedziała po francusku. - Jeśli mam tłumaczyć słowa, których nie rozumiem, dostosuję się do pana polecenia. Pomyślałam przez moment, że nadążanie za sensem rozmowy ułatwiłoby mi zadanie - dokończyła z gryzącą ironią.

- Uważaj, Gilles - odezwała się Monique. - Narazisz się Bastienowi, jeśli będziesz strofował jego panienkę.

Toussaint uniósł nieznacznie głowę.

- Zazdrosna?

- Dość tego! - prychnął Hakim. - Nie mamy czasu na głupie sprzeczki.

Bastien odwrócił się w stronę Hakima, posyłając przy okazji Chloe rozkoszny uśmiech.

- Wybacz, Gilles - powiedział, unosząc dłonie w geście kapitulacji.

- Wiesz, jak strasznie mnie rozprasza towarzystwo pięknych kobiet.

- Wiem, że się rozpraszasz, kiedy masz na to ochotę. Reszta też dobrze cię zna z tej strony. Mamy zbyt ważne sprawy do omówienia, więc skup się i wracajmy do rozmów.

Czy to możliwe, by kaczkę i gęś były aż tak ważne? Chloe przetrawiła to stwierdzenie w milczeniu. Ludzie zwykle żyją w przekonaniu o doniosłości tego, czym się parają. Zupełnie jakby kilka ton fig mniej czy więcej miało zaważyć na losach świata.

Ci tutaj, zebrani przy długim stole sali konferencyjnej Mirabel, zdawali się kompletnie wyzuci z poczucia humoru, ale właściwie co w tym dziwnego. Kiedy mowa o pieniądzach, wszyscy natychmiast poważnieją. Powinna zapanować nad wesołością, która nagle ją ogarnęła.

Hakim podniósł się.

- Przerwa na lunch. Widzę, że w tej chwili nie ma najmniejszego sensu kontynuowanie narady.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Bastien. - Zaspałem i jestem głodny.

- No to się nie najesz - stwierdził Hakim.

Chloe znalazła się między tymi dwoma facetami jak w pułapce.

- Chciałem zamienić z tobą kilka słów.
- Przepraszam. - Chloe usiłowała przecisnąć się między nimi.
- Pani będzie nam potrzebna, panno Underwood. - Hakim położył jej dłoń na ramieniu.

Francuzi lubią dotykać kobiet. Faceci w Karolinie Północnej też, zatem powinna do tego przywyknąć. Takie przyjacielskie gesty to rzecz normalna. Jednak poufałości ze strony Hakima wyjątkowo działały jej na nerwy.

- Oczywiście - przytaknął Bastien, uśmiechnął się do Chloe wyraźnie ubawiony sytuacją i zwrócił do Hakima: - W czym możemy ci pomóc?

- Mam prośbę do panny Underwood. Potrzebuję trochę książek. Moglibyście pojechać po nie razem.

- Trochę książek? - powtórzyła Chloe.

- Dla gości. Nie będziemy przecież cały czas konferować. Książki bardzo się przydadzą w czasie wolnym od obrad. Pani z pewnością będzie wiedziała, co wybrać, pracuje pani przecież w wydawnictwie, ma orientację, co warto przeczytać. Proszę wybrać po kilka pozycji w każdym języku: angielskim, niemieckim, włoskim, francuskim. Jakieś lekkie lektury, przy których można odpocząć.

- Czy pan Toussaint musi mi towarzyszyć? - bąknęła Chloe. - Powinien chyba uczestniczyć w rozmowach.. Nie muszę przecież jechać limuzyną.

- Przykro oni, ale nie pojedziecie limuzyną, jest właśnie w przeglądzie. A pan Toussaint z pewnością chętnie spędzi kilka godzin w to-

warzystwie pięknej kobiety.

Po co kłamał? Nie musiał przecież szukać pretekstów, żeby się jej pozbyć. Mógł jej po prostu podziękować za usługi i koniec.

- Nie chciałbym stracić jakiegoś ważnego fragmentu naszych obrad
- zastrzegł się Bastien.

- Nie martw się. Nie stracisz nic ważnego - uspokoił go Hakim. - Nie podejmiemy żadnej decyzji bez ciebie. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Jeśli zaś chodzi o wybór osoby zawiadującej całością, to i tak musimy czekać na Christopolousa. Po południu będziemy omawiać tylko indywidualne strategie. Możecie spokojnie jechać. Bawcie się dobrze. Zjedzcie lunch w St. Andre. I nie spieszcie się.

Chloe usiłowała wymyślić naprędce jakąś przekonującą wymówkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Skoro tak pan uważa, monsieur Hakim... - To wszystko, na co się zdobyła.

Gilles Hakim uśmiechnął się łaskawie, ale Chloe, zawsze cierpiąca na nadmiar wyobraźni, dojrzała w tym uśmiechu coś złowieszczonego.

- Tak właśnie uważam. Jutro rano wróci pani do pracy, a tymczasem proszę dobrze się bawić, korzystać z wolnego czasu.

- Postaram się, żeby panna Underwood się nie nudziła - zapewnił Bastien, ujął Chloe delikatnie pod ramię i wyprowadził z pokoju.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, szybko odsunęła się od irytującego Francuza na bezpieczną odległość. Poufałości z jego strony może nie były niemiłe, ale tym bardziej należało się wystrzegać jak ognia wszelkiego kontaktu fizycznego z tym człowiekiem.

- Jeśli pożyczysz mi pan swój samochód, pojedę sama - zaproponowała.

- Jeśli pożyczę pani swój samochód, stracę okazję spędzenia z nią tych kilku godzin darowanych nam przez Hakima. Poza tym nie pozwalam nikomu, ale to nikomu, nigdy siadać za kierownicą mojego wozu. Takie małe dziwactwo. Pojedziemy razem. Proszę tylko zmienić buty na wygodniejsze i możemy ruszać. Na pewno przywiozła pani coś poza szpilekami.

Dała by dziesięć lat życia za wygodniejsze buty, ale Sylvia uznała, że kilka par o numer za małych szpilek w zupełności jej wystarczy. Chloe uśmiechnęła się promiennie.

- Te są bardzo wygodne - skłamała. - Możemy jechać, jeśli jest pan gotowy. Im prędzej ruszymy, tym szybciej będziemy z powrotem.

- Racja - mruknął. - Nie wierzę jednak, że te pantofle są wygodne. Nie jest pani ze mną szczerą. - Powiedział to takim tonem, jakby zarzucał jej nieszczerą nie tylko w kwestii obuwia. A może znowu coś sobie wyobraziła i Toussaint mówił tylko o butach.

Okazało się, że ma porsche. Jasne, jakżeby inaczej? - pomyślała Chloe, siadając w fotelu obok kierowcy.

Bastien czekał na nią chwilę, bo musiała pójść na górę po torebkę. Przy okazji przymierzyła wszystkie pantofle, w które zaopatrzyła ją Sylvia, ale pozostałe okazały się jeszcze gorsze niż te, które miała na nogach. W końcu chwyciła płaszcz i wyszła, bez przeszkód docierając na podjazd przed pałacem.

Dzień był wyjątkowo pochmurny, ale Toussaint nie wiedzieć czemu

założył okulary przeciwsłoneczne. Stał oparty niedbale o samochód, rękę założył na piersi i cierpliwie czekał. Miał na sobie jedwabny garnitur, chyba od Armaniego, do tego jedwabną, rozpiętą pod szyją koszulę. Oczy ukryte za ciemnymi szklami, nieprzenikniony wyraz twarzy... cały Toussaint.

Kiedy podeszła, otworzył pełnym galanterii gestem drzwiczki. Wnętrze wozu zalecało się urodą typową dla takich kosztownych cacek. Było śliczne... Rozkoszne... Zdecydowanie zbyt śliczne i zbyt rozkoszne.

A ona nie mogła się wymówić od wspólnej wyprawy po książki. Nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Przycisnęła mocniej do boku luksusową torebkę Sylvii i wsiadła do nisko zawieszzonego sportowego samochodu, nie przyjmując wyciągniętej dłoni Toussainta. Usłyszała, że skwitował śmiechem jej samodzielność, po czym zatrzaskał drzwiczki.

Kabina porsche była rozkoszna, ale maleńka. Toussaint wydawał się wypełniać całe wnętrze, jego sylwetka, w pałacu całkiem normalna, tutaj nabrała jakiejś niezwyklej skali, a przecież nie był ani wyjątkowo wysoki, ani potężnie zbudowany.

Przytłaczał Chloe swoją obecnością. Miał dłuższe nogi, niż myślała, toteż musiał odsunąć swój fotel tak daleko, jak tylko się dało. Usadowił się wygodnie, zerknął na niebo, przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg.

- Nie chce pani zabrać parasolki? - zapytał jeszcze. - Może padać.

Sylvia nie pomyślała o parasolce.

- Miejmy nadzieję, że zdążymy wrócić, zanim się rozpada. Nie zabawimy przecież długo. Kupię kilka książek, tak jak prosił monsieur Hakim, i możemy wracać do Mirabel.

- A co z lunchem? - Toussaint ruszył powoli, kierując się w stronę bramy.

- Nie jestem głodna - skłamała powtórnie. W obecności Bastiena kłamstwa zaczynały wchodzić jej w nawyk. - Zjem coś po powrocie do pałacu.

- Jak sobie pani życzy, Chloe - powiedział aksamitnym głosem. Miał szczupłe, opalone dłonie o długich palcach. Naprawdę piękne.

Nosił obrączkę, a jakże.

- Proszę zapiąć pas.

Chciała zaprotestować, ale może lepiej nie łamać przepisów. Poza tym Europejczycy jeżdżą jak wariaci. Trudno, im szybciej Toussaint będzie jechał, tym szybciej uwolni się od jego towarzystwa. Zapięła pas i wcisnęła się głębiej w fotel.

- Domyślam się, że nie ma pani ochoty ze mną rozmawiać? - zapytał. Rozmawiali cały czas po angielsku, dopiero teraz to sobie uświadomiła.

Nie była w nastroju do pogawędek, czy to po angielsku, czy po francusku. Konwersacja z panem Toussaintem oznaczała flirt, a ona nie zamierzała flirtować z facetem, który nosił obrączkę.

- Jestem zmęczona - oznajmiła, przymykając oczy.

- W takim razie włączę muzykę. - W głośnikach rozległ się po chwili głos Charlesa Aznavoura i Chloe omal nie jęknęła.

Uwielbiała Aznavoura i kiedy słuchała o smutnej Wenecji, robiło się jej ciepło na sercu. Przy piosenkach Aznavoura potrafiła zatracić się całkowicie. Zapominała wtedy o bożym świecie. Oczywiście o Bastienie nie dało się zapomnieć, nawet przy Aznavourze. Nawet kiedy się nie odzywał, był cały czas obecny. Widziała jego profil, czuła subtelny zapach jego wody kolońskiej, słyszała jego oddech.

Szczególnie zapach wody kolońskiej działał jej na zmysły. Powinna go zapytać, co to za woda i posłać taką samą braciom w prezencie. Lepiej nie pytać, zreflektowała się po chwili. Nie chciała, żeby cokolwiek przypominało jej o istnieniu tego człowieka. Oby ten żonaty podrywacz jak najszybciej, bez śladu, raz na zawsze zniknął z jej życia.

To wszystko moja wina, pomyślała z niesmakiem, wsłuchując się w głos Aznavoura, który spowijał ją niczym miękki jedwab.

Marzyły się jej przygody, seks i przemoc, coś, co przydałoby odrobiny barwy jej monotonnemu życiu w Paryżu. Seks już miała - dziękuję bardzo - w postaci przelotnego pocałunku w ciemnym korytarzu. Terasz pozostawało tylko prosić los, żeby nie zgotował jej żadnego spotkania z przemocą.

Ja tylko żartowałam, przemawiała w duchu do niebios, jednocześnie udając, że spokojnie drzemie. Bardzo mi i się podoba moje nudne, monotonne życie w Paryżu. Nie chcę atrakcji. Nigdy nie życz sobie za wiele. Pamiętaj, że niektóre marzenia mogą się spełnić.

Spod przymkniętych powiek zerknęła na Bastiena.

Wpatrywał się w drogę przed sobą, skupiony, pewny siebie, o doskonale panujący nad samochodem mknącym przez francuską prowin-

cję.

Chloe przemknęło przez głowę, że obserwując go ukradkiem, dowie się może czegoś więcej o tym zagadkowym człowieku, ale on wyglądał tak samo jak zawsze. Prosty, mocno zarysowany nos, piękne usta, ciemne włosy opadające na kark, lekko rozbawiona mina, jakby otaczający go świat był jednym wielkim żartem.

- Zmieniła pani zdanie na temat lunchu? - zapytał, nie odwracając głowy.

I tyle jej ukradkowych obserwacji. Wiedział doskonale, że Chloe mu się przygląda i nie zdradził się, nieś drgnęła mu nawet powieka.

Chloe zamknęła z rezygnacją oczy.

- Nie - oznajmiła i w tej samej chwili zaburczało jej cichutko w żołądku.

Zorientował się natychmiast, w którym dokładnie momencie przestała udawać i rzeczywiście zapadła w drzemkę. Rozluźniła mimowiednie palce zaciśnięte dotąd na skórzanym pasku torebki, zaczęła oddychać wolniej, nie przygryzała już nerwowo ust.

Powinien był jej zaproponować, żeby zdjęła pantofle, ale odpowiedziałaby oczywiście, że wszystko w porządku, że wcale jej nie obcierają.

Ciekawe, ile jeszcze kłamstw miała w zanadrzu. Chętnie by się o tym przekonał, gdyby mógł jej poświęcić trochę więcej czasu.

Pierwsza rzecz, jaką musi zrobić, to zadzwonić z automatu do Harry'ego Thomasona, zapytać, czy Komitet wie coś na temat osoby występującej pod nazwiskiem Chloe Underwood. Dowie się przy okazji, jak mają rozegrać sprawę transportu legolasów do Turcji. Bo legolasy to nie były

żadne owce, tylko doskonałe, nowoczesne karabiny z celownikami na podczerwień, niezwykle groźne nawet w rękach mało wprawnego strzelca.

Nie miał złudzeń, jaka będzie odpowiedź Komitetu. Nie utrudniać transportu, niech wysyłają legolasy do Turcji. Komitet czekał na wielkie transakcje, toteż sprzedaż kilkuset, nawet kilku tysięcy karabinów do Turcji nie miała dla ludzi zasiadających w Komitecie większego znaczenia.

Straty uboczne są nieuniknione, to było ich ulubione powiedzenie, ich mantra. Bastien dawno już machnął ręką, przestał się przejmować, skoro było to obojętne nawet jego szefom.

Spojrzał na drzemiącą towarzyszkę podróży. Nie uchowa się długo. Jest zbyt słabo wyszkolona. Tyle że w jej przypadku nie będzie to strata uboczna tylko wypadek przy pracy.

Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale nie chciał być tym, który ją zabije.

RODZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Chloe obudziła się, samochód stał przed jakąś kafejką z kilkoma stolikami na chodniku. Nie miała pojęcia, jak długo spała i nie mogła uwierzyć, że udało się jej usnąć w obecności Bastiena Toussainta. Może to instynkt samozachowawczy? Odgrodziła się w ten sposób od niego.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. - W małym, sennym, potwornie nudnym St. Andre. Księgarnia jest kilka kroków stąd, za rogiem. Lunch może pani zjeść w tej kafejce, jeśli oczywiście pani zgłodnieje. Ja wrócę

za jakieś dwie godziny.

- Jak to? Można wiedzieć, dokąd pan się wybiera?

- Muszę coś załatwić. Przepraszam, jeśli liczyła pani na to, że będę jej towarzyszył, ale naprawdę mam inne sprawy na głowie, choć może wyda się to pani niegrzeczne...

- Na nic nie liczyłam - powiedziała i nie wiedzieć czemu poczuła się lekko zawiedziona. Spojrzała na niebo: ciemne, zaciągnięte chmurami. A samo miasteczko? W szarym świetle zimowego dnia sprawiało wyjątkowo przygnębiające wrażenie.

- Jest pan pewien, że w księgarni będą mieli obcojęzyczne książki?

- zagadnęła niepewnie. - To straszna dziura.

- Hakima nic a nic nie obchodzi, jakie książki pani kupi. I czy w ogóle coś pani wybierze. Szukał pretekstu, żeby się pani pozbyć na kilka godzin. Mnie zresztą też. Jestem pewien, że nawet nie zapyta, z czym wracamy.

Chloe spojrzała zdumiona na Bastiena.

- Nie rozumiem.

- A co tu rozumieć? W ten sposób upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu. - Bastien położył dłonie na kierownicy. Piękne dłonie. Nawet z tą bijącą w oczy obrączką.

Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Ochłodziło się, gwałtowne podmuchy wiatru targały pozbawionymi liści gałęziami drzew.

- Umawiamy się za dwie godziny? - zapytała jeszcze, zerkając na zegarek.

- Mniej więcej. - Ruszył, ledwie zamknęła drzwiczki. Samochód

zniknął w błyskawicznym tempie na pierwszym skrzyżowaniu.

Było po pierwszej. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką Toussaint jechał, mogli być w tej chwili gdzieś w pół drogi do Marsylii. Niedobrze, że nie miała parasolki, bo niebo z minuty na minutę robiło się coraz ciemniejsze.

Dobrze natomiast, że sobie pojechał. Jego towarzystwo potwornie ją denerwowało, nie była przyzwyczajona do takich emocjonalnych huśtawek. Ani do takich zagadkowych facetów. Bo mężczyźni to generalnie istoty o prostej, wręcz prymitywnej konstrukcji. Bastien należał do jakiegoś rzadko występującego podgatunku. Stanowił dla Chloe prawdziwą zagadkę, zupełnie nie potrafiła go rozgryźć.

Nie miała pojęcia, czy rzeczywiście jest Francuzem, czym się naprawdę zajmuje. I czy się nią naprawdę interesuje, czy tylko gra, bo ma w tym jakiś cel. Wiedziała tylko jedno - uwielbiał prowadzić z niedozwoloną prędkością. No i pięknie pachniał.

Ruszyła na poszukiwanie księgarni. Nie mogła zakładać, że zakup książek to tylko pretekst. Dostała od Hakima zlecenie i zamierzała potraktować je z całą powagą.

Znaleźć księgarnię nie było wcale łatwo. Chloe zagadnęła jakąś starszą panią o kwaśnej minie. Ta z pewnością nie udzieliłaby informacji, gdyby pytanie zostało zadane po angielsku. Nawet gdyby znała język, co w prowincjonalnym St. Andre, znając w dodatku awersję Francuzów do języków obcych, było mało prawdopodobne.

Ale Chloe, która uczyła się francuskiego od pierwszej klasy szkoły podstawowej, a chodziła do dobrej prywatnej szkoły, mówiła po francu-

sku z lekkim tylko akcentem. Brano ją na ogół za Belgijkę, nigdy za „okropną” Amerykankę.

Księgarnia okazała się beznadziejna, ale właśnie tego Chloe się spodziewała. Raczej antykwariat niż księgarnia, pełen starych książek w większości wydanych jeszcze przed wojną i stanowiących kiedyś bibliotekę jakiegoś profesora. Tytuły były tak tajemnicze, że nawet Chloe nie była w stanie ich przetłumaczyć.

Znalazła w końcu kilka francuskojęzycznych powieści, o innych nie było co marzyć, i kupiła je. Jeśli goście nimi wzgardzą, sama je przeczyta. Z książkami pod pachą ruszyła w stronę kawiarni, licząc, że po drodze uda się jej kupić jakieś kolorowe czasopisma, które przynajmniej częściowo zrekompensują brak miłej i lekkiej lektury.

Nie znalazła kiosku, żadnego straganu z gazetami, w obskurnej kafejce nie było nawet lokalnego dziennika, ale można było coś zjeść, a Chloe była już bardzo głodna.

Zamówiła bagietkę z brie, do tego mocną kawę, zamiast, jak to miała w zwyczaju, kieliszka wina. Postanowiła nie tykać alkoholu do końca pobytu w Mirabel. Mogła tylko prosić los, by ten pobyt zakończył się jak najszybciej. Marzyła, by znów znaleźć się w swoim małym paryskim mieszkaniu, z kilkoma tysiącami euro na koncie.

Jadła powoli, przeciągając posiłek w nieskończoność i co chwilę zerkając na zegarek. Dwie godziny wkrótce miną. Bastien powinien pojawić się lada moment. Oby przed deszczem.

Zapłaciła i wyszła na ulicę, rozglądając się, czy nie dojrzy nadjeżdżającego porsche. Miasteczko sprawiało wrażenie wymarłego, gwałtowne

podmuchy zimnego wiatru stawały się coraz dokuczliwsze. Odwróciła się w stronę kawiarni i zobaczyła, że drzwi są zamknięte, a w oknie pojawiła się wywieszka „Ferme”.

W tej samej chwili jak na złość zaczęło padać. W pierwszym odruchu chciała zapukać do kawiarni, ale uznała, że nie warto się dobijać, i tak jej nie wpuszczają, skoro zamknęli, ledwie wyszła. Obsługiwali ją jak z łaski, a teraz zapewne udadzą, że nie słyszą pukania. W miasteczku, jak to w tego typu dziurach, najwyraźniej nie lubiano obcych.

Ruszyła szybkim krokiem z powrotem do księgarni, ale i tutaj zastała drzwi zamknięte na głucho. Schowała się we wnęce wejściowej i postawiła kołnierz płaszcza, osłaniając się przed siąpiącym deszczem. Miasteczko było rzeczywiście maleńkie, żadnego innego sklepu czy budynku publicznego w zasięgu wzroku, nic, kompletna pustynia, głucha prowincja.

Deszcz małymi strumykami płynął po kocich łbach, które były bardzo malownicze, ale omal nie skreśliła na nich nogi. Zrobiło się naprawdę zimno. Otoczyła ramiona dłońmi i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zostawiła gdzieś kupione książki.

- Cholera jasna - zaklęła pod nosem.

Jeszcze tego brakowało. Bastien zniknął jak kamień w wodę. Kto wie, czy w ogóle po mnie wróci, pomyślała ze złością. Co za dzień! Utknęła w jakieś podłej, zapomnianej przez Boga miejscinie, której nazwy nawet nie pamiętała. Jeśli postoi jeszcze trochę na deszczu, jak nic przeziębienie się, umrze na zapalenie płuc, a okrutna Sylvia będzie musiała poszukać sobie nowej współlokatorki.

Szarą mżawkę rozdarły światła reflektorów i tuż obok skulonej we wnęce wejściowej Chloe zatrzymało się porsche. Bastien odkręcił szybę.

- Przepraszam za spóźnienie - zawołał radośnie. - Mówiłem pani, że powinna zabrać parasolkę.

- Chrzań się - mruknęła przez zęby, wzięła do ręki pantofle, które zdjęła kilka minut wcześniej, przebiegła do samochodu, wskoczyła do środka i otrząsnęła się jak mokry pies.

Opryskany deszczem Bastien nie zareagował, nie sarknął, psując jej połowę przyjemności.

- Przepraszam - powtórzył. - Gdzie książki? - zainteresował się.

- Zgubiłam.

- Strasznie pani wygląda - powiedział, mierząc ją krytycznym wzrokiem.

Rzeczywiście prezentowała się nieszczęśliwie. Cienka spódnica, której nie zdołała osłonić połami płaszcza, przylgnęła do ud. Poprawiła ją odruchowo, odlepiając wilgotny materiał od ciała. Ukochana spódnica Sylvii. No cóż, droga przyjaciółka sama sobie jest winna, pomyślała Chloe z satysfakcją. W końcu to Sylvia wrobiła ją w ten cholerny wyjazd do Mirabel.

- Zmarzła pani w tym płaszczyku - stwierdził Bastien odkrywczco.

- Owszem, zmarzłam - przytaknęła, szukając zatrzasku pasa. Dłonie drżały jej tak bardzo, że nie mogła go zapiąć i po paru próbach dała sobie spokój, wciskając się głębiej w skórzany fotel.

Bastien nie ruszał. Siedział i przyglądał się Chloe, tak się jej przynajmniej wydawało, bo w samochodzie panował mrok.

- Chce pani jechać do hotelu, przebrać się? - zapytał w końcu.

Oto męska logika. Ciekawe, w co niby miałyby się przebrać!?

- Dziękuję za troskę, ale raczej nie. Proszę po prostu włączyć ogrzewanie, to wystarczy - wycedziła lodowatym głosem.

Bastien wrzucił bieg i ruszył. Jechał z tą samą zabójczą prędkością, co poprzednio, tym razem jednak warunki były znacznie gorsze. Zapadł zmrok, mokra nawierzchnia była śliska, a Chloe przecież nie zdołała zapiąć pasa.

Porsche to zapewne znakomity wóz, ale ogrzewanie miał nie najlepsze i Chloe po półgodzinnej jeździe nie było ani trochę cieplej. Kilka razy ponawiała desperackie próby zapięcia pasa, bo jeśli zdarzy się im wypadek, co przy sposobie prowadzenia prezentowanym przez Bastiena Toussainta było bardzo prawdopodobne, chciała mieć nikłą choćby szansę przeżycia.

Tymczasem zrobiło się późno i w związku z tym zupełnie ciemno. Chloe próbowała skulić się w fotelu, zniknąć, a najlepiej - stać się niewidzialną dla Bastiena. Już myślała, że rzeczywiście zapomniał o niej, kiedy niespodziewanie zatrzymał samochód na poboczu, przy jakimś żywopłocie. Tym razem zapalił światło w kabinie.

Stali w szczerym polu, droga była wyludniona, nie przejeżdżały żadne samochody, nikt ich nie mijał, nikt wcześniej nie wyprzedzał. Wokół pusto i ciemno, że oko wykol.

Chloe poczuła się mocno nieswojo. Oto znalazła się na pełnym odludziu sam na sam z człowiekiem, o którym nic nie wiedziała i któremu instynktownie nie ufała. W słabym, ledwie rozpraszającym mrok światła

samochodowej lampki Bastien wyglądał naprawdę groźnie. Znikł gdzieś cały jego urok oraz galanteria.

- Co pani do diabła wyprawia?

- Próbuję zapiąć pas - powiedziała drżącym lekko głosem. - Jedzie pan za szybko.

- Idiotka - mruknął i zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, przechylił się, dotykając jej przy okazji, chwycił coś z tylnego siedzenia, co okazało się białą koszulą, po czym ujął Chloe pod brodę i zaczął wycierać jej twarz. - Wygląda pani jak szop pracz. Cały makijaż się rozmazał.

- Wspaniale - mruknęła i próbowała zabrać mu koszulę. - Sama to zrobię.

Bastien cofnął rękę.

- Proszę siedzieć spokojnie - nakazał i zaczął delikatnie wycierać rozmazany tusz wokół oczu. Koszula pachniała nim, jego wodą kolońską, papierosami, które palił. Pachniała jak on, jak jego skóra... Skąd ona właściwie wie, jak pachnie jego skóra?

Upuścił koszulę, ale ciągle trzymał Chloe za brodę.

- Już znacznie lepiej. Teraz wygląda pani po prostu trochę tajemniczo. Pomyślałam, że spędziliśmy popołudnie razem w łóżku. Co nie byłoby wcale takie głupie, gdyby udało się pani pozbyć typowo amerykańskiej pruderii.

Próbowała cofnąć głowę, ale Bastien nie zwolnił uścisku.

- Tak czy inaczej nie spędziliśmy popołudnia w łóżku - sarknęła.

- Wielka szkoda. Czuje się pani zawiedziona? Możemy to jeszcze nadrobić. Zatrzymać się, na przykład, w jakimś przydrożnym hoteliku...

Hakim z pewnością nie czeka na nas, chodząc od okna do okna.

- Dziękuję, raczej nie skorzystam z propozycji - powiedziała z całą uprzejmością, na jaką było ją stać i jaką jej wpojono w domu.

Bastien siedział przez chwilę bez ruchu. W dalszym ciągu trzymał ją pod brodę i wpatrywał się w jej oczy tym swoim przenikliwym, nieodgadnionym, mrocznym spojrzeniem, z którego nic nie można było wyczytać. Chloe wstrzymała oddech. Co prawda nic nie mogła wyczytać z jego spojrzenia, ale wiedziała doskonale, co się stanie.

- Błąd - stwierdził i zanim zdążyła zapytać, co ma na myśli, pocałował ją.

Nie bez kozery nazywają taki pocałunek francuskim, zdążyła jeszcze pomyśleć Chloe resztkami świadomości. Bastien był absolutnym mistrzem w tej kategorii. Wiedziała, że powinna go odepchnąć, ale nie zrobiła tego. Rozchyliła usta, chociaż zdawała sobie sprawę, że postępuje jak skończona idiotka.

Ale... z drugiej strony, czy jeden niewinny pocałunek może wyrządzić komuś krzywdę? Szczególnie gdy człowiek całuje się z kimś tak biegłym w tej sztuce, jak Bastien Toussaint? W ciasnym samochodzie nie mogli raczej posunąć się do działań bardziej występnych, a po powrocie do Mirabel będzie trzymać się od Bastiena Toussainta na bezpieczną odległość. Musi się tylko pilnować i okazać odrobinę silnej woli, a teraz pozwoli sobie na pocałunek...

Bastien uniósł głowę i Chloe zobaczyła w jego ciemnych oczach wesołe iskierki.

- Podoba ci się to, Chloe - powiedział. - Możesz oddać pocałunek.

Nie widzę przeszkód.

- Chyba już... chyba już ustaliliśmy, że to nie jest najmądrzejszy pomysł - szepnęła bez większego przekonania, postanawiając chytrze zwalić całą winę na deszcz, ziąb i mrok.

- Owszem - zgodził się Bastien skwapliwie - ale mądre pomysły mają to do siebie, że są okropnie nudne.

Tym razem pocałunek był intensywniejszy. Już nie uwodził, lecz żądał, a Chloe gotowa była wyjść temu naprzeciw.

- Dlaczego to robimy? - szepnęła, kiedy Bastien na moment odchylił głowę. To było wszystko, na co potrafiła się zdobyć.

- Głupie pytanie. Dlatego, że chcemy. Dlatego, że cię pragnę. Wystarczy, żebyś powiedziała „nie”. Jednak doskonale wiesz, że tego nie powiesz, bo pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie. Nie próbuj zaprzeczać, i tak ci nie uwierzę. Chcesz, żebym całował, żebym cię pieścił, prawda?

Czy chciała? Przede wszystkim chciała zaprzeczyć. Powiedzieć mu, że jest zadufanym głupkiem, próżnym jak diabli, że ma źle w głowie, a ona z kimś takim woli nie mieć do czynienia...

- Pocałuj mnie, Chloe - szepnął i Chloe oddała pocałunek.

Lubiła się całować. Uwielbiała to, a całowanie się z Bastienem miało w sobie coś niemal orgiastycznego. Nie musiał nawet dotykać jej uda, bez tego doprowadzał ją do wrzenia.

Z naprzeciwka wyłonił się pędzący samochód. Zatrąbił wściekle, o włos wyminął zaparkowane porsche i zniknął w mroku równie nagle, jak się pojawił. To wystarczyło, by Chloe ocknęła się ze zmysłowych unie-

sień. Szybko odsunęła się od Bastiena, zła, że pali się światło, w którym tak dokładnie się widzą.

Bo Bastien obserwował ją uważnie. Przez chwilę siedział bez ruchu, nic nie mówił, wpatrywał się tylko w jej oczy.

- Jeśli przesuniesz się jeszcze trochę, wypadniesz z samochodu - stwierdził w końcu.

- Może nie byłoby to takie złe wyjście.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Wątpię, zważywszy, jak leje. Odpręż się, rozluźnij. Powiedziałem, że cię nie dotknę, jeśli nie będziesz chciała. Wystarczy jedno krótkie „nie” i zastosuję się do twojego życzenia.

- Nie chcę, żebyś mnie dotykał. - Nigdy w życiu nie wypowiedziała równie monstrualnego kłamstwa. Okłamywała nie tyle siebie, co własne ciało, a jej ciało, owszem, pragnęło Bastiena. Mózg mówił, że to facet nie dla niej, ale ciało miało własną politykę i najwyraźniej brało właśnie rozbrat z mózgiem.

- Skoro tak mówisz, niech tak będzie - zgodził się Bastien bez większych oporów. - Zapnij pas.

Chloe, nie do końca oprzytomniała po wstrząsającym pocałunku, podjęła beznadziejną walkę z opornym pasem. Bastien przyglądał się jej wysiłkom, nie spiesząc z pomocą, jakby chciał się upewnić, jak bardzo ją wzburzył czy też wytrącił z równowagi. W końcu ulitował się i zaplął pas. Kiedy jego palce musnęły ją w trakcie tej operacji, drgnęła nerwowo.

- Tylko jeśli wyrazisz zgodę, Chloe - przypomniał jej uspokajającym

głosem, po czym zgasił światło, przekręcił kluczyk i wrzucił bieg.

Na szczęście nie posunęliśmy się dalej, myślała, wciskając się głębiej w fotel. Bóg wie, do czego by doszło, co by jej strzeliło do głowy, gdyby nie opatrnościowy samochód i głośne trąbienie, które przywołało ją do rzeczywistości.

Ciągle jeszcze czuła dotyk dłoni Bastiena na swoim udzie. Powinna absolutnie wyrzucić ten incydent z pamięci, odgrodzić się od Bastiena lodowym murem, takim porządnym, którego nie stopią żadne żądze, żadne niewczesne porywy.

- Dobry w tym jesteś, panie Toussaint - powiedziała po dłuższej chwili i zabrzmiało to, ku jej radości, bardzo rzeczowo, uprzejmie oraz spokojnie. - Nie powinieneś czuć się urażony moim „nie”. A jeśli się czujesz, masz widać za dużo testosteronu albo cierpisz na przerost męskiej ambicji, co w zasadzie na jedno wychodzi. To takie straszne, żyć ze świadomością, że któraś cię nie chciała? - zakończyła krótką przemowę.

Widziała jego profil w słabej poświacie padającej z deski rozdzielczej, ale nie potrafiła powiedzieć, czy go zirytowała.

- Chcesz mnie przekonać, że jestem ci zupełnie obojętny? Nie próbuj. Potrafię wyczuć, kiedy kobieta jest mną zainteresowana, a kiedy ma mnie w nosie. Nie bardzo rozumiem twoje opory, ale potrafię z godnością przyjąć odmowę. Są inne kobiety. Zawsze są jakieś inne kobiety - stwierdził sentencjonalnie, acz niekoniecznie z obiecywaną godnością.

Nie tego oczekiwała, ale też Bastien Toussaint był facetem kompletnie nieprzewidywalnym.

- Tak, powinieneś zdecydowanie zająć się kimś, kto ma mniejsze

opory - poradziła jadowicie. - Kogo łatwiej uwieść.

- Myślę, że ciebie mógłbym całkiem łatwo uwieść, gdybym zechciał.

Obraziła się na tę uwagę. „Gdybym zechciał”. To znaczy, że mu się po prostu nie chce. Mógłby się trochę wysilić... Dlaczego mu się nie chce? Uważa, że jest nieładna? Nieciekawa?

Nie dała po sobie poznać, jak ją to ubodło.

- To twoja opinia, masz do niej prawo. Nie będę wyprowadzała cię z błędu - powiedziała. - Dam ci tylko dobrą radę. Następnym razem, jak będziesz chciał kogoś uwieść, wybierz do tego trochę wygodniejsze miejsce niż przednie siedzenia porsche. Niespecjalnie nadaje się do uprawiania ćwiczeń seksualnych.

Bastien uśmiechnął się bezczelnie.

- Zapewniam cię, Chloe, że to doskonałe miejsce. Sprawdzone w praktyce.

Kolejna obraźliwa uwaga, ale niezwykle podniecająca, przynajmniej tak zabrzmiała w uszach Chloe. To chyba objaw nadmiernego wychłodzenia organizmu, pomyślała z niesmakiem.

- Wracajmy do pałacu - powiedziała, rezygnując z dalszej potyczki.

Bastien był rzeczywiście dobry, a ona najzwyczajniej w świecie miała na niego ochotę, czego z miejsca się domyślił. Odwracanie kota ogonem nie miało już najmniejszego sensu.

A on? Mocno wątpiła, czy rzeczywiście interesuje go jej skromna osoba. Ktoś taki jak Bastien woli zapewne egzotyczne motyle w typie Monique von Rutter albo wytworną madame Lambert. Wątpliwe, by za-

przątał sobie głowę pospolitą Amerykanką.

Wszystko jedno. Zastanawianie się nad gustami Bastiena Toussainta nie miało większego sensu. Niezależnie od tego, co ten facet myśli, jakie ma wobec niej plany, powinna trzymać się od niego z daleka, tak będzie dla niej najbezpieczniej. Widziała przecież na własne oczy minionego wieczoru, co to za typ. Kiedy dała mu odprawę, w pięć minut zakrzętał się wokół Monique von Rutter. Teraz też z pewnością poszuka sobie innego obiektu.

Resztę drogi przebyli, nie odzywając się do siebie ani słowem.

Kiedy zatrzymał się przed bocznym wejściem do pałacu, zerknęła na zegarek. Była niemal pewna, że stanął. Ledwie wpół do siódmej. Przed nimi długi zimowy wieczór. Chloe marzyła tylko o jednym - wziąć teraz gorącą kąpiel i wskoczyć do łóżka.

Jakoś nie wierzyła, że uda się jej zrealizować ten nęcący plan. Bastien zgasił silnik, nachylił się i odpiął jej pas.

- Pomyślałem, że będziesz wolała wejść tędy niż przez główny hol. Stąd masz blisko do swojego pokoju. Weź prysznic i przebierz się, zanim ktoś cię zobaczy i zacznie zadawać krępujące pytania.

- Dlaczego krępujące? - zachnęła się. - Nie zrobiłam nic złego, nie mam się czego wstydzić. - Ledwie wypowiedziała te słowa, pożałowała ich. Nie miała się czego wstydzić, to prawda, ale całując się z Bastieniem, postąpiła po prostu głupio. Być może uczyniłaby coś jeszcze głupszego, gdyby nie samochód, który niespodziewanie wychynął z mroków.

- Tak uważasz? - podchwycił Bastien. - W takim razie pójdę z tobą i dokończymy nasze sprawy.

Na szczęście zachowała jeszcze resztki rozumu.

- Dziękuję - oznajmiła spokojnie. - Dokończyliśmy już nasze sprawy.

- Na pewno? - Uśmiechnął się znowu tym swoim bezczelnym uśmiechem i Chloe miała ochotę go uderzyć. Nachylił się do niej, jakby zamierzał ją ponownie pocałować, ale tylko otworzył drzwiczki. - Do zobaczenia przy kolacji.

Chwyła pantofle, torebkę i wysiadła z samochodu. Obejrzała się jeszcze, ale w ciemnym wnętrzu samochodu nie mogła dojrzeć miny Bastiena.

- Dziękuję za wycieczkę - powiedziała i zatrzasnęła drzwiczki trochę zbyt mocno.

Nie była pewna, ale Bastien chyba jeszcze się zaśmiał i odjechał z piskiem opon.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bastien nie lubił się mylić. Uważał się za znawcę ludzi, prawidłowo oceniał ludzkie charaktery i nie pamiętał, by intuicja kiedyś go zawiodła. A teraz zaczynał powątpiewać w swoje przeczucia co do panny Chloe Underwood.

Wszystko wskazywało na to, że jest niebezpieczną agentką. Trudno było zakładać inną możliwość. Wręcz nie sposób. Albo miał do czynienia z bardzo dobrą, doskonałą agentką, albo ze skończoną niedojdą, której nikt nie powinien zlecać żadnego zadania. Nie mógł się zdecydować,

która z tych ewentualności jest bliższa prawdy.

Na kolację zeszła spóźniona. Nic dziwnego. Trzymał się od niej z daleka, nie odzywał się do niej. Ona też niewiele mówiła, niewiele jadła, starała się omijać wzrokiem Bastiena. W innych okolicznościach, w innej sytuacji, uznałby to za zabawne, ale w tej chwili nic go nie bawiło.

Wyglądała tego wieczoru znacznie skromniej niż zaraz po przyjeździe - włosy skręcone po deszczu, minimalny makijaż. I lekko nabrzmiałe usta. Czyżby całował ją aż z taką pasją? Widać tak, ale ona okazała nie mniejszy zapał i kto wie, do czego by doszło, gdyby nie przeszkodził im ten cholerny samochód.

Gdyby się z nią przespał, może zdołałby się dowiedzieć czegoś więcej. W dalszym ciągu miał taki zamiar. Bastien Toussaint nie rezygnował tak łatwo, kiedy coś sobie postanowił.

Monique zaatakowała Chloe niczym ruszająca na łów barakuda, która od dawna nic nie jadła. Bastien obserwował w milczeniu, jak zagaduje tłumaczkę głosem, którego słodycz mogła zmylić tylko osobę żyjącą w błogim przekonaniu, że świat jest piękny, a ludzie z natury dobrzy i życzliwi bliźnim.

Chloe przyjmowała zaczepki Monique spokojnie, nie tracąc czujności, odpowiadała monosylabami i nie tykała wina. Niedobrze; Bastien liczył, że alkohol ułatwi mu zadanie.

Nie szkodzi. Nie był przecież facetem, który idzie na łatwiznę.

- Francuzi są okropni, nie sądzi pani? - mówiła Monique. - Są tak zainteresowani wyeksponowaniem własnych możliwości i umiejętności, że przyjemność kobiety schodzi na dalszy plan. Co ja mówię, w ogóle

przestaje się liczyć wobec ich samczych popisów. Okropnie próżni! Weźmy chodźmy Bastiena. Tylko ktoś strasznie płytki i próżny może się tak stroić jak on.

Chloe zerknęła w jego stronę, po czym wbiła spojrzenie w swój talerz z nieruszoną niemal jedzeniem. Nie odpowiedziała. Biedna Monique, pomyślał Bastien, obracając w palcach kieliszek. Powinien jej chyba pomóc.

- Pozwoli pani, baronowo, że wyjaśnię pewną kardynalną kwestię - zaczął, przeciągając głoski. - Mężczyzna, który ma obsesję na punkcie swojej sprawności seksualnej, który chce uchodzić za doskonałego kochanka, w pierwszym rzędzie będzie dbał o przyjemność partnerki. To chyba oczywiste i logiczne, prawda?

Chloe poczuła, że się czerwieni. Nie podnosiła wzroku, ale była pewna, że wszyscy siedzący przy stole zauważyli ten rumieniec.

Monique ochoczo podchwyciła temat.

- Być może - przytaknęła. - Dopóki kobieta nie zorientuje się, że jest dla mężczyzny przedmiotem, narzędziem zaspokojenia próżności, a jej rozkosz wyłącznie potwierdzeniem jego seksualnej sprawności. To nie ma nic wspólnego z dostrzeganiem potrzeb kobiety.

Bastien wzruszył ramionami.

- Co za różnica? Dopóki kobieta jest zadowolona, nie ma powodu wgłębiać się w intencje.

- A ty potrafisz zadowolić kobietę - zagruchała Monique i dodała trochę zbyt pospiesznie: - Tak w każdym razie słyszałam.

Bastiena ta wymiana poglądów przestała bawić. Wszyscy goście

świetnie wiedzieli, że sypia z Monique, nie wyłączając barona. Wszyscy, z wyjątkiem nieświadomej niczego panny Underwood.

Za dwa dni mieli się rozjechać każde w swoją stronę, a do tej pory nic nie ustalili. Nie wybrali nowego szefa grupy i nie zrobią tego, dopóki nie pojawi się Christos. Zwlekał z przyjazdem, najprawdopodobniej wysłał na zwiady Chloe, żeby wybadała nastroje, a ci głupcy tutaj nie zdawali sobie sprawy, w jak delikatnej sytuacji się znaleźli. I kim naprawdę jest ich amerykańska tłumaczka.

Na obrady organizacji, której działania musiały pozostać okryte tajemnicą, przeniknęła obca osoba, toteż gierki Monique były w tej chwili zupełnie nie na miejscu. Niechby zajęła się kimś innym, zostawiając jego i Chloe w spokoju, ale nikogo takiego nie miała pod ręką. Hakim wolał chłopców, madame Lambert była damą z zasadami, Ricetti gejem, a Otoniemu nie przyszłoby do głowy zdradzić zostawioną w Japonii żonę. Pozostawał tylko baron, ale ten dawno znudził się kapryśnej Monique.

- Powinniśmy jeszcze popracować dziś wieczorem - odezwał się Hakim, który podobnie jak Bastien miał dość popisów pani baronowej. - Jesteśmy już spóźnieni z programem naszych obrad. Nie możemy dłużej czekać na pana Christopolousa. Musimy ustalić jeszcze mnóstwo spraw, określić nowe strefy wpływów, zastanowić się, jak zareagować na zabójstwo Remarque'a, wreszcie wybrać nowego szefa. To kwestie ogromnej wagi, nie wolno nam marnować czasu.

Ach, Chloe, weź się w garść, pomyślał Bastien, kiedy spojrzała zaskoczona na Hakima. Doskonale wiedział, co teraz myślała. Dlaczego obrady grupki kupców handlujących indykami są naszpikowane „kwestiami

ogromnej wagi"? Dlaczego ich dotychczasowy szef został zamordowany? Czy była aż tak naiwna, czy aż tak przebiegła?

- Zatem do roboty - przytaknął baron.

- Ci, którzy muszą, do roboty. - Hakim spojrział na Chloe. - Pani dziękujemy, panno Underwood. Dzisiaj nie będzie nam już pani potrzebna.

Chloe wstała od stołu.

- Przepraszam, ale nie przywiozłam książek - powiedziała.

- Jakich książek?

- Tych, po które pan mnie posłał.

Hakim machnął lekceważąco dłonią.

- Nieważne. Przeniesiemy się teraz do sali konferencyjnej, a pani zapewne będzie chciała udać się do swojego pokoju.

Nie mógł jaśniej sformułować polecenia, w którym kryła się, jak zwykle u Hakima, zawołowana między słowami pogróżka. Jednak Chloe udała pierwszą naiwną.

- Czy jest tu gdzieś komputer, z którego mogłabym skorzystać? - zapytała słodko. - Chciałam sprawdzić pocztę.

Zapadła głucha cisza. Bastien odchylił się w krześle, ciekaw, jak też Hakim rozwiąże tę kwestię. Ku jego zaskoczeniu Hakim kiwnął głową.

- Jest komputer. Na pierwszym piętrze, w bibliotece. Tuż obok schodów. Proszę korzystać z niego wedle własnego uznania.

- Chodzi tylko o sprawdzenie poczty.

Nikt się nie podniósł, kiedy wychodziła. Wynajętej tłumaczce nie

należą się żadne przejawy kurtuazji, pomyślał Bastien, powściągnąjąc chęć poderwania się z krzesła. Jeśli panna Underwood chce rzeczywiście jedynie sprawdzić pocztę, to on jest primabaleriną moskiewskiego Teatru Wielkiego. Ciekawe, czy będzie pamiętała o wyczyszczeniu przeglądarki internetowej i zatarciu śladów swojej wędrówki po sieci.

Ledwie zamknęła za sobą cicho drzwi, podniosła się wrzawa. Pierwszy odezwał się baron von Rutter, w swoim ojczystym języku:

- Bardzo niedobrze się stało, że została z nami - zawyrokował niezadowolonym głosem. - Poradzilibyśmy sobie doskonale bez tłumaczki. Po co nam tutaj obca osoba?

- Dziewczyna, którą wynająłem i która miała pierwotnie przyjechać, to postrzelona osóbką, tak pochłonięta sobą, że zupełnie nie zwraca uwagi na otoczenie - odpowiedział Hakim, także po niemiecku. - Tej zupełnie nie znam.

- Nie znasz, a jednak zgodziłeś się, żeby została? - skrzywiła się Monique. - Ty, zawsze taki ostrożny i przezorny? Powinieneś się jej pozbyć, i to jak najszybciej.

- Pozbędę się jej, jeśli zajdzie taka konieczność. - Hakim nie lubił, gdy ktoś mu mówił, co powinien robić. Tym bardziej teraz, kiedy czuł, że przyszła jego chwila i miał szansę przejąć rządy w kartelu. - Wiesz doskonale, że kiedy trzeba podjąć decyzję, nigdy się nie waham. Nie lubię jednak działać pochopnie.

Gdyby ta Amerykanka znikła bez śladu, mógłby się zrobić szum, zaczęłoby się węszenie. Chcę mieć pewność, że nikt jej nie będzie szukał albo że jest zupełnie niegroźna. Jak już będę wiedział, na czym sto-

ję, rozwiążę ostatecznie sprawę panny Underwood.

- Mówcie przynajmniej po francusku albo angielsku, jeśli nie możecie po włosku - zgłosił pretensję Ricetti. - O czym rozmawiacie?

- Zastanawiamy się, czy panna Underwood może stanowić dla nas zagrożenie - wyjaśniła Monique ze słodkim uśmiechem po włosku, którym to językiem władała doskonale. - A jeśli tak, jak się jej zgrabnie pozbyć.

- Zabić i sfingować wypadek samochodowy - błysnął oryginalnym pomysłem Ricetti.

- No nie wiem - zastanowił się Hakim. - Musiałbym poświęcić swojego daimlera, żeby zaaranżować wypadek. Szofera też byłoby mi szkoda, bo jest naprawdę świetny.

- Zabić i kwita - odezwał się pan Otomi. - Jeśli się boicie, każę mojemu asystentowi sprzątnąć dziewczynę. Tracimy tylko czas na głupstwa, zamiast zająć się naszymi sprawami. Chciałbym się dowiedzieć, jakim sposobem przierzucimy cztery tuziny legolasów do Turcji, nie wzbudzając przy tym żadnych podejrzeń.

- To już twój problem, Otomi - powiedział Bastien. - Ja chciałbym wiedzieć, kto sfinansuje kontrakt. A możecie mi wierzyć, że towar jest pierwsza klasa. Prawdziwe osiągnięcie amerykańskiej myśli technicznej.

- Nie wierzymy ci, Bastien - ostudziła go madame Lambert. - Tutaj nikt nikomu nie wierzy. Dlatego tak dobrze się nam współpracuje. Mówiąc poważnie, kontrolujemy znaczną część światowego rynku handlu bronią. Wzajemne zaufanie zupełnie nam niepotrzebne.

- Tak, masz rację, część światowego rynku - podchwycił Bastien - ale nie cały. Jeszcze nie. Gdzie jest do diabła ten Christos? Nie podoba mi się, że każe nam na siebie czekać. Irytuje mnie ten facet. O nim powinniśmy porozmawiać, a nie o tej dziewczynie, która ma w sobie tyle przebiegłości co królik.

Monique wybuchła śmiechem.

- Rzeczywiście, ma w sobie coś z króliczka. Wielkie oczy i ruchliwy nosek. Nie wiemy, czy udaje tylko głupią, czy to prawdziwa idiotka. Tak na wszelki wypadek, w naszym dobrze pojętym interesie, nie czekałabym, aż przyjdzie nam przekonać się o tym na własnej skórze. Gdyby Christos tu był, powiedziałby to samo.

- Ale Christosa na razie nie ma, a my marnujemy czas na dyskusje o dziewczynie - powiedział Hakim z wyraźnym niezadowoleniem. - Bastien, zajmij się nią. Dowiedz się czegoś więcej. Nie chcę, żeby policja zaczęła się nami interesować z jej powodu, no i nie mam ochoty tracić czasu na próżne dysputy. Przejdziemy teraz do propozycji Riccettiego i zastanowimy się, jak podzielić wpływy na Bliskim Wschodzie. Będziesz miał dość czasu, żeby ustalić, czy dziewczyna jest niebezpieczna. Jeśli uznasz, że tak, zlikwiduj ją i wracaj na obrady.

Bastien uniósł brew.

- Dlaczego akurat na mnie spada to zadanie? - zapytał z niesmakiem. - Spędziłem z nią pół dnia i niczego się nie dowiedziałem.

- Trzeba było mocniej ją przycisnąć. Spędzasz z nią najwięcej czasu, masz zatem ułatwione zadanie.

- Poza tym ona na ciebie leci - dodała Monique. - Ślepy by to za-

uważył.

Nie próbował zaprzeczać. Ślepy by zauważył, że dziewczyna jest na niego uczulona. Dopiół powoli swoje wino i wstał od stołu.

-Cała przyjemność po mojej stronie - mruknął jeszcze pod nosem i wyszedł, wsuwając niedbałym gestem ręce do kieszeni.

W bibliotece na piętrze jej nie znalazł, ale komputer był włączony, nie przeszedł jeszcze w stan czuwania, co wskazywało, że musiała z niego przed chwilą korzystać. Oczywiście nie pomyślała o wykasowaniu historii odwiedzanych stron i teraz Bastien mógł z łatwością odtworzyć jej wędrówkę w sieci.

Sprawdzała hasło „legolas” i znalazła, a jakże, odpowiednią stronę, z której mogła się dowiedzieć, że to nie tylko postać z „Władcy pierścieni”, ale przy okazji bardzo niebezpieczna oraz nielegalna broń. Sprawdziła też nazwiska części gości Mirabel, między innymi jego.

Doskonale wiedział, co mogła znaleźć. Bastien Toussaint, lat trzydzieści cztery, żonaty, bezdzietny, prawdopodobnie mający powiązania z różnymi organizacjami terrorystycznymi, czego nigdy mu nie udowodniono, podejrzewany o nielegalny handel narkotykami i bronią, czego również mu nie udowodniono. Zamieszany w śmierć trzech agentów Interpolu, uważany za niezwykle niebezpiecznego.

Jeśli została odpowiednio przygotowana do akcji, te informacje nie powinny być dla niej nowiną. Jeśli dopiero dzisiaj objawiła się jej prawda o Bastienie, będzie mu teraz trudno zbliżyć się do niej i sprawdzić, dlaczego tak naprawdę pojawiła się w Mirabel.

Pomimo wszystko zamierzał wybadać, na jak duży opór natrafi, i

przekonać się, czy rzeczywiście jest taki dobry w sztuce uwodzenia, jak twierdziła Monique. Dość podchodów. Nadszedł czas zdecydowanego działania.

Chloe była przerażona. Siedziała na środku swojego pięknego pokoju i płakała jak bóbr. Nałożony przed kolacją makijaż musiał spłynąć ze łzami i teraz pewnie znowu wyglądała jak szop pracz. Tylko że tym razem Bastien Toussaint nie wytrze czarnych smug swoją koszulą. Bastien Toussaint już się do niej nie zbliży.

Muszę się stąd wydostać, myślała w panice. Wdepnęła w prawdziwe gniazdo żmij. Powinna była od razu się domyślić, że coś jest nie tak, ale rodzice zbyt często oskarżali ją o nadmiernie wybujałą fantazję, dlatego w końcu w to uwierzyła. W dodatku nałogowo pochłaniała powieści fantasy oraz thrillery, co raczej nie umacniało jej w trzeźwym spojrzeniu na rzeczywistość.

Tym razem jednak niebezpieczeństwo było jak najbardziej realne. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak łatwo uwierzyła, że ma do czynienia z handlarzami bydła i drobiu. Czy baronowa Monique von Rutter kupowałyby kreacje od najlepszych projektantów oraz brylanty, gdyby czerpała zyski z importu nieprzetworzonej soi?

- Idiotka - powiedziała głośno pod własnym adresem. Powinna jak najszybciej stąd zniknąć, zanim sami postanowią się jej pozbyć.

Wychodząc z jadalni, usłyszała jeszcze, że baron wymienia jej nazwisko. Pobiegnęła do biblioteki, chciała wyszukać informacje w sieci, zanim spróbują ją powstrzymać. Baron von Rutter to miły starszy pan, nie pozwoli zrobić jej krzywdy. Chyba że biedak nie wie, co naprawdę dzieje

się w Mirabel.

Wyciągnęła walizkę z dna przepastnej szafy i zaczęła do niej wrzucać luksusowe ciuchy Sylvii.

Hakimowi powie, że dostała maila z domu. Jej babcia ciężko zachorowała, rodzina prosi, żeby pierwszym samolotem wracała do domu. Może nawet powiedzieć, że już zarezerwowała bilet na najbliższy lot do Nowego Jorku.

Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu wpadła w panikę.

Włożyła jedyną skromną suknię, w jaką wyposażyła ją Sylvia. Za to pod spodem miała czarną koronkową bieliznę, której nie powstydzilaby się paryska kokota. Na myśl o za ciasnych pantoflach znowu zebrało się jej na płacz.

Trudno, założy nawet najciaśniejsze, musi, jeśli jej życie miłe. Postara się nie okazywać przerażenia. Nigdy nie była dobrą aktorką, ale tym razem zagra, bo stawka była zbyt wysoka.

Po prostu potraktuj całą rzecz jak przedstawienie, powtarzała sobie. Tak jak Blanche Dubois w „Tramwaju zwanym pożądaniem”. Nie, powinna raczej pomyśleć o bardziej zaradnej i przedsiębiorczej bohaterce. O kimś niezależnym i sprytnym. Nie mogła liczyć na niczyją pomoc, niczyje zrozumienie.

Wrzucała rzeczy do walizki, nie składając ich. Wszystko jedno, w jakim stanie je dowiezie do domu. Zebrała kosmetyki i przybory toaletowe z półki w łazience i wróciła z nimi do pokoju.

- Wybierasz się dokądś? - zagadnął Bastien Toussaint od drzwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Chloe Underwood ma taką minę, jakbym wszedł do jej pokoju uzbrojony w siekiere, pomyślał Bastien. Była zapłakana i śmiertelnie przerażona, co wskazywałoby na jej niewinność. Żadna agentka, tylko zwykła dziewczyna, która zupełnym przypadkiem trafiła do Mirabel.

Niestety Bastien nie wierzył w przypadki.

To tak, jak w gabinecie luster. Nie wiesz, nie jesteś w stanie powiedzieć, co jest rzeczywistością, a co jej powielającym się w nieskończoność odbiciem. Czy Chloe Underwood jest niewinną dziewczyną? A może jednak fatalnie wyszkoloną agentką? A może doskonałą agentką, która udaje niewinną panienkę? Zwykłą niedojdą?

Istniał tylko jeden sposób, by dociec prawdy. Nie ma sensu uciekać się do przemocy. Jeśli jest agentką, nauczono ją znosić ból. W ten sposób niczego się o niej nie dowie. Jeśli postanowi milczeć, nie powie ani słowa. Były inne metody, znacznie przyjemniejsze. Zamknął drzwi, a na twarzy Chloe odmalowało się jeszcze większe przerażenie, o ile to w ogóle możliwe.

Wiedział doskonale, gdzie są ulokowane kamery, sprawdził ich rozmieszczenie poprzedniego wieczoru. Obejmowały właściwie cały pokój, także łazienkę. Nawet jeśli w tej chwili nie mieli publiczności, to każde ich słowo, każdy gest zostanie uwieczniony dla potomności. Musi dobrze to rozegrać, bo Hakima nie łatwo zwieść.

Jeden kąt, z niewielką sofą w stylu Ludwika XV, pozostawał poza zasięgiem kamer. Doskonałe miejsce.

Chloe stała bez ruchu na środku pokoju, dopiero kiedy postąpił w jej stronę, drgnęła i cofnęła się o krok. Wydawało się jej, że wie już, z kim ma do czynienia i do czego Toussaint jest zdolny. Cóż, nie wiedziała nawet połowy.

Podszedł do komody, otworzył ją i włączył stojący w niej telewizor, ustawił głoś na cały regulator, potem wyszukał stację nadającą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ostre porno. Pokój wypełniły jęki i posapywania aktorów.

- Co się dzieje? - zapytała Chloe, odwracając wzrok od wielkiego, płaskiego ekranu, na którym dwóch panów obsługiwało właśnie jedną panią, robiąc przy tym dość hałasu, by zagłuszyć rozmowę.

Bastien bez słowa zdjął marynarkę i rzucił ją na fotel. Stał tak, że kamera go nie widziała, a dźwięki z telewizora skutecznie tłumili jego głos.

- Podejdź tutaj - polecił.

Równie dobrze mógł jej zaproponować, żeby rzuciła się z dachu wieżowca. Chloe pokręciła stanowczo głową.

- Nie wiem, po co przyszedłeś, ale chcę, żebyś wyszedł.

- Podejdź tutaj.

Wahała się przez chwilę, ale była równie podniecona, co wystraszona. W końcu zrobiła kilka kroków i zatrzymała się na bezpieczną odległość od Bastiena, w zasięgu obiektywu kamery.

- Nie przepadam za pornosami - oznajmiła głosem, który miał zabrzmieć chłodno, tymczasem zdradzał napięcie.

- Nietrudno się domyślić. W końcu większość Amerykanów to

potomkowie purytanów i seks wprawia was w zażenowanie.

- Nie mam żadnych problemów, jeśli chodzi o seks - zachnęła się, zapominając na moment o strachu, do czego właśnie zmierzał Bastien. - Nie jestem głupią Amerykanką, która chowa w podświadomości freudowskie urazy, boi się stracić dziewictwo i szuka pomocy u psychoanalityków - srożyła się.

- W takim razie podejdź.

Nie zdawała sobie sprawy, że Bastien odsuwa się tak, by wyciągnąć ją poza zasięg obiektywu kamery. Chyba w ogóle nie wiedziała, że w każdym pokoju są zainstalowane kamery. Stała przed nim z wysuniętą brodą, wyprostowana, jak ktoś gotujący się do walki.

- Nie boję się ciebie.

- Przeciwnie, bardzo się boisz. I na tym polega cała zabawa. - Położył jej dłoń na karku i nachylił się ku niej, spojrzał w szeroko rozwarte, wypełnione łękiem oczy. I poczuł... Właśnie, co poczuł? Litość? Wahanie? Żal? Na żadne z tych uczuć nie mógł sobie w tej chwili pozwolić.

Pocałował ją. Świetnie, że musiał to zrobić. Trudno o lepszy pretekst niż ten, który kazał mu tak postąpić. Wciągnął ją głębiej w róg pokoju, gdzie stała kanapa w stylu Ludwika XV.

- Rozepnij suknię - poprosił. Sam nie mógł sobie poradzić.

Myślał, że będzie protestowała, ale nie powiedziała słowa. Rozpięła suknię, rozchyliła jej poły i Bastien zobaczył luksusową bieliznę, jaką można dostać tylko w najdroższych paryskich butikach. Skromnej tłumaczki z pewnością nie byłoby stać na takie zbytki. Jeszcze jedno kłam-

stwo? Mistyfikacja?

Pocałował ją ponownie, przytulając do piersi, a Chloe chętnie oddała pocałunek. W to, że nie ma problemów z seksem, o czym przed chwilą go zapewniała, gotów był uwierzyć.

Z telewizora dochodziły tymczasem wymowne, głośne jęki oraz pomruki, rzeczywistość zaczynała mieszać się z filmową fikcją...

- Zdejmij bieliznę - poprosił Bastien.

Chloe szeroko otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Przecież to chyba oczywiste, czym się zajmujemy. Zdejmij bieliznę.

Chloe zamarła na moment, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Zostaw mnie - syknęła i chciała go odepchnąć, ale było za późno.

Za późno było już w chwili, gdy przekroczył próg jej pokoju. Być może nawet wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, zaraz po jej przyjeździe do Mirabel.

Bielizna była tak pomyślana, by można było bez trudu się jej pozbyć. Bastien chwycił za stanik, pociągnął i zerwał.

- Ani myślę. - Masz być twardy, bezlitosny, napomniał się w myślach, przyciągając Chloe do siebie. Wykonywał zadanie, coś, co musiał zrobić. Pocałował ją raz jeszcze. Dłonie Chloe próbowały go odepchnąć, ale usta reagowały na pocałunek.

Teraz naprawdę było o wiele za późno, żeby się wycofać...

- Kim jesteś? - zapytał w jakimś momencie.

- Chloe... - szepnęła zdławionym głosem, poddając się rozkoszy, z

przymkniętymi oczami, odchyłoną do tyłu głową.

Wszedł w nią i szybko się wycofał, zanim zdołała go zatrzymać. Krzyknęła cicho, ale Bastien był bezlitosny. Musisz być nieugięty, powtarzał w myślach.

- To nie twoje ubrania - powiedział cicho. - Twierdzisz, że znasz tylko francuski i angielski, ale to nieprawda, doskonale rozumiesz po włosku i niemiecku, być może władasz jeszcze innymi językami. Nie przyjechałaś ot tak, po prostu tłumaczyć nasze rozmowy, jesteś tutaj z jakiegoś innego powodu. Jakie dostałaś zlecenie? Masz kogoś zlikwidować?

- Proszę!

Wszedł w nią znowu, igrał z nią, robił, co chciał. Chloe była na granicy orgazmu.

- Czego chcesz? - dręczył ją, wiedząc, że wydobędzie prawdę.

Miała łzy w oczach, drżała cała.

- Chcę ciebie - szepnęła i Bastien uwierzył.

Przestał myśleć, spekulować. Był zmęczony graniem. Dokończył, co zaczął, odsunął się od Chloe, zapiał spodnie. Jak ostatni drań, prymitywny macho. Taki właśnie był, tak postępował. Dawno się z tym pogodził, nie próbował nic zmieniać.

Patrzyła na niego jak na upiora, a on nagle zapragnął wziąć ją w ramiona, pocieszyć, utulić. Zdawała się taka biedna, zagubiona, całkowicie dezorientowana. To, co przed chwilą zrobił, było dla niej kompletnym zaskoczeniem.

Nie mógł sobie pozwolić na żadne czułości. Zapiał jej suknię, prze-

wiązał paskiem w talii. Tyle mógł uczynić, zanim znowu zobaczą ich obiektywy zainstalowanych w pokoju kamer.

Bastienowi pozostawało uwierzyć, że Chloe Underwood jest tą osobą, za którą się podawała. Nieświadomą niczego dziewczyną, która uwikłała się przypadkiem w niebezpieczną sytuację.

A skoro tak, to on musi teraz z łajdaka zamienić się w „dobrego faceta”. Rozproszy podejrzenia Hakima. Wyczyści historię przeglądanych stron w internecie, o czym Chloe zapomniała, i przekona pozostałych, że nie muszą się jej obawiać, bo jest zupełnie niegroźna.

Pocałował ją zdawkowo w usta i rzucił beztroskim tonem:

- Było bardzo miło, skarbie. Szkoda, że nie mamy więcej czasu.

Patrzyła na niego przez chwilę, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. W końcu uniosła dłoń i wymierzyła mu policzek, z całych sił, na odlew.

Na Bastienie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nie wiedział, co to żal, kac moralny, skrupuły. Uśmiechnął się kącikiem ust, chwycił marynarkę z fotela i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Chloe oparła się o ścianę. Czowała się tak osłabiona, że nie bardzo mogła stać na własnych nogach. Powoli osunęła się na podłogę.

Trzęsła się cała. Zamknęła oczy, podciągnęła kolana pod brodę, otoczyła ramiona dłońmi, ale nie była w stanie powstrzymać drżenia.

Telewizor cały czas był włączony, z głośników dochodziły jęki aktorów gimnastykujących się w najrozmaitszych konfiguracjach.

Otworzyła na powrót oczy, popatrzyła na bieliznę leżącą na parkiecie, na sofę, na której przed chwilą kochała się z Bastieniem.

Ogarnęły ją nudności. Czowała obrzydzenie na myśl o tym, co zaszło.

Nie rozumiała samej siebie. Nie potrafiła pojąć, dlaczego nie powiedziała „nie”. Po prostu nie powiedziała... Nie było żadnego wyjaśnienia, żadnych tłumaczeń, żadnych usprawiedliwień. I nie miało znaczenia, jak Bastien by zareagował, czy uszanowałby jej sprzeciw.

A najgorsze, że podobało się jej to, co zrobili.

Nie, złe określenie. Bastien wykorzystał ją, manipulował nią, bawił się. Tu nie było nic, co mogłoby się podobać. Jednak doprowadził ją mimo wszystko do orgazmu. A może właśnie dlatego? Straszne.

Nie miała przecież skrzywionej psychiki, nie tęskniła za takim traktowaniem. Nie była chora, zboczona, nie potrzebowała takich podniet.

Dlaczego zatem pozwoliła mu na takie zachowanie? Rozum mówił jej „nie”, a jednak oddawała pocałunki Bastiena. Dlaczego się z nim kochała, wiedząc doskonale, z kim ma do czynienia?

I kolejne pytanie: dlaczego do niej przyszedł? Mogła sobie powiedzieć, że to czysta biologia. Rodzice, gdyby ich spytała, a nigdy nie spyta, bo jeszcze nie zwariowała, wyjaśniliby jej, że to zupełnie normalna reakcja fizjologiczna. Że nie powinna się wstydzić, czuć do siebie wstrętu.

Problem tkwił jednak znacznie głębiej. Nie napawało jej wstrętem, że miała najwspanialszy orgazm w życiu, i to w sytuacji bardzo dalekiej od romantycznych uniesień. Nie tego się wstydziła, takie podejście do sprawy nawet nie przyszłoby jej do głowy.

Okropne, wręcz nie do pojęcia było natomiast to, że miała ogromną ochotę powtórzyć doświadczenie.

Bastien usiadł przy komputerze. Otworzył przeglądarkę internetową

i rozwinął menu historii odwiedzanych stron. Zawsze miał wyjątkową zdolność lokowania swoich myśli, uczuć, całego życia w oddzielnych szufladkach. Zaczęło się to w dzieciństwie, kiedy wędrował z matką po całym świecie. Nie był w stanie nadążyć za jej tempem życia, potrzebą ciągłych zmian.

Jeśli człowiek potrafi się zasklepić, nie czuje bólu. Jest głuchy na głos cierpienia, nie słyszy krzyków umierających, nie czuje zapachu krwi, przestaje liczyć zmarłych. Zamyka się, skupia myśli na jednej rzeczy, a cała reszta przestaje istnieć, toczy się gdzieś obok, swoim trybem. Nie dotyka cię i nie dotyczy.

Znał się na komputerach, potrafił kilkoma kliknięciami myszki rozwiązać większość problemów, nad którymi ktoś inny biedziłby się kilka kwadransów. Wiedział, że ma niewiele czasu, musi działać szybko. Nie potrafił tylko powiedzieć, czy komputer w bibliotece nie jest przypadkiem kontrolowany, a logi zapisywane na innej maszynie.

Wystarczy wprowadzić maleńki program, by każde naciśnięcie klawisza klawiatury czy myszki było zdalnie rejestrowane. Tak jak rejestrowano przy pomocy ukrytych kamer wszystko, co działo się w pokojach gości Mirabel.

Jeśli tak było, to poszukiwania Chloe zostały odnotowane i kasowanie historii odwiedzanych stron niewiele pomoże. Jeśli nie, wystarczy, że wyczyści historię, co jest śmiesznie prostą operacją, i nikt nie będzie wiedział, jakich informacji Chloe szukała w sieci.

Tyle mógł dla niej zrobić. I tylko tyle, jeśli nie chciał narazić się na niebezpieczeństwo. Poza tym na każdej wojnie giną niewinni cywile.

Chloe po prostu znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Podświetlił adresy odwiedzanych stron, miał już kliknąć polecenie „Usuń”, kiedy usłyszał czyjeś kroki. Nie musiał się odwracać, doskonale wiedział, że to Hakim i że nie pojawia się w bibliotece bez przyczyny.

Bastien nie zdjął dłoni z myszki. Jedno kliknięcie, i adresy odwiedzanych stron znikną. Chloe będzie miała szansę wyjść cało z opresji.

- Czego się dowiedziałeś o naszej miss Underwood, Bastien? - zagadnął Hakim, zapalając grube kubańskie cygaro.

- Jest czysta. Nikt jej tu nie przysłał z żadną misją. Według mojego rozeznania to rzeczywiście tłumaczka. Amerykanka mieszkająca w Paryżu.

- A to pechowo się składa. Dla niej oczywiście. Możesz mi powiedzieć, ile ona wie?

Bastien wahał się chwilę, po czym zdjął dłoń z myszki i odwrócił monitor tak, by Hakim mógł zobaczyć ekran.

- Wszystko - powiedział z kamiennym spokojem.

Hakim nachylił się nad ekranem. Interesowały go głównie słowa kluczowe, według których Chloe przeszukiwała sieć.

- Niedobrze. Fatalnie. Dla niej oczywiście. Można się było tego spodziewać. Zajmę się nią. Jestem w tym dobry. Baron był strasznie niezadowolony, że kamery was nie widzą. Znam cię na tyle, by wiedzieć, że zrobiłeś to specjalnie. Nieładnie się zachowałeś, Toussaint, pozbawiając barona jednej z jego małych, nikomu nie wadzących przyjemności.

- Nie byłem w nastroju, by sprawiać przyjemność baronowi.

- Jeszcze niedawno inaczej to widziałeś. Kiedy interesowałeś się Monique... Tylko nie próbuj zaprzeczać i nie mów mi, że nie wiedziałeś o kamerach. Ty zawsze wiesz, gdzie są kamery. Dlaczego dzisiaj zachowałeś się inaczej?

Pytanie zostało rzucone niby od niechcienia, ale obojętny ton głosu Hakima nie zwiódł Bastiena.

- Seks z Monique to zupełnie inna historia. Jeśli on chciał patrzeć, a ona godziła się, żeby ją oglądał, to wyłącznie ich sprawa.

- Ale ta panienka to twoja sprawa, tak? Nie życzyłeś sobie, żeby podziwiał wasze popisy? Mam rozumieć, że ją chronisz? Że znalazłeś dla niej miejsce w swoim skutym lodem sercu? - ironizował Hakim.

Bastien odwrócił się powoli, zmierzył Hakima nieprzeniknionym wzrokiem, a Arab wzruszył ramionami.

- Głupie pytanie. Wybacz mi, Toussaint. Kto jak kto, ale ja akurat powinienem wiedzieć, że ty nie bawisz się w sentymenty. Chcesz popatrzeć, jak będę wyprawiał pannę Underwood w daleką podróż?

Bastien kliknął myszką i adresy stron odwiedzanych przez Chloe znikły bezpowrotnie z ekranu i z dysku.

- Niespecjalnie. Jesteś pewien, że to najlepsze rozwiązanie? Amerykanie nie lubią, kiedy obywatele ich wielkiego kraju znikają bez śladu. Podniesie się szum, zaczną poszukiwania. Może być nieprzyjemnie.

- Nie mamy wyjścia. Fatalnie dla miss Underwood, ale niepotrzebnie wtykała nos w nasze sprawy. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, jak mówi stare przysłowie. Dziewczyna nie zniknie bez śladu. Moi ludzie coś zaaranżują. Kraksa samochodowa, inny nieszczęśliwy wypo-

dek...

- To nie w twoim stylu. Ty lubisz broń palną, ogień, metal, mocne efekty, a tu nagle słyszysz o banalnym wypadku samochodowym.

- Miło, że dbasz o moje upodobania, ale nie martw się, panuję nad sytuacją. Pożar też byłby niezły. Podpalimy samochód, ciało się zwęgli, nikt jej nie rozpozna. To najlepsze rozwiązanie tego problemu.

- Bardzo praktyczne - przytaknął Bastien.

- Na pewno się nie przyłączysz? - zapytał Hakim. - Zapraszam.

- Ja już nacieszyłem się panną Underwood - stwierdził Bastien głosem wypranym z emocji. - Teraz twoja kolej.

Dołączył do pozostałych gości, którzy tymczasem zdążyli przebieść się do salonu na kawę i likiery. Flirtował trochę z Monique, a baron popatrywał na niego z wyraźną urazą, reszta natomiast zachowywała się tak, jakby nie zauważyła jego nieobecności. Podobnie nikt nie zwracał uwagi, że teraz, dla odmiany, zniknął Hakim.

Ale też, jak sam to powiedział przed chwilą w bibliotece, ciekawość to pierwszy stopień do piekła, a ludzie należący do ich elitarnej organizacji mieli wyjątkowo wyostrzony instynkt samozachowawczy. Wiedzieli tylko to, co powinni wiedzieć i liczyli na osławioną dyskrecję Hakima. Ostatecznie w ich rzemiośle dyskrecja była najważniejsza.

Bastien zerknął na zegarek. Rozstał się z Hakimem mniej więcej przed godziną. Czy Chloe jeszcze żyje? Pragnął, by było inaczej. Hakim uchodził za bardzo kreatywnego i pomysłowego sadystę. Potrafił odwlekać wykonanie egzekucji o wiele godzin, czasami dni, lubił znęcać się

nad swoimi ofiarami, a litość była mu obca.

Monique dała Bastienowi wyraźnie do zrozumienia, że zamierza odwiedzić go tej nocy, jakby nic sobie nie robiła z odprawy, którą dostała poprzedniego wieczoru. Baron oczywiście będzie nalegał, choćby dlatego, by zrekompensować sobie zawód, jaki sprawił mu Bastien, chowając się z Chloe przed kamerami i pozbawiając tym samym podglądacza jego ulubionej rozrywki.

Bastien oczywiście obsłuży Monique, z właściwą sobie biegłością w sztuce, acz bez krzty zaangażowania. Gdyby był Hakimem, myśl o cierpieniach Chloe mogłaby być dla niego podniętą, ale on prosił los, by dziewczyna miała w miarę szybką i bezbolesną śmierć.

Siedział w salonie tak długo, jak się dało, nie miał ochoty wracać do siebie na górę. Chciał, żeby już było po wszystkim.

Nie mógł jej uratować, nic dla niej zrobić, nie narażając przy tym własnej głowy. Poza tym, co znaczyło jedno życie wobec tysięcy, setek tysięcy istnień, które można uratować, rozbijając tę grupę handlarzy bronią. O ile taki będzie finał, bo Thomason był bardziej zainteresowany monitorowaniem działalności kartelu niż jego likwidacją.

Takie właśnie jest życie, pełne obliczeń i zgniłych kompromisów. Dawno się z tym pogodził i nie zamierzał teraz płakać nad rozlanym mlekiem. Koniec i kropka.

Pokój Chloe, na domiar wszystkiego, znajdował się tuż obok jego pokoju. Tylko oni dwoje mieszkali w tym skrzydle pałacu. Idąc korytarzem, zobaczył, że pokojówka sprząta właśnie pokój Chloe. Zajrzał tam od niechcienia, ale nie dojrzał nic szczególnego, żadnych śladów walki,

przemocy. Hakim musiał zabrać ją w jakieś inne miejsce.

- Gdzie panna Underwood? - zapytał pokojówkę, która słała łóżko. Był ciekaw, jak też Hakim wytłumaczył zniknięcie Chloe.

- Musiała nagle wyjechać, monsieur Toussaint - odparła dziewczyna. - Pan Hakim mówił, że zmarł ktoś z jej rodziny. Wyjechała tak nagle, że nawet nie zabrała swoich rzeczy. Mamy je spakować i odesłać.

Zmarł ktoś z rodziny. Oczywiście. Jasne. Ona sama. Pokiwał tylko głową i poszedł do swojego pokoju.

Kiedy był pod prysznicem, wydało mu się, że słyszy jej krzyk. Natychmiast zakręcił wodę, ale musiał się chyba przesłyszeć, w każdym razie krzyk się nie powtórzył, w pałacu panowała absolutna cisza.

Jeśli Chloe jeszcze żyła, Hakim z pewnością umieścił ją w takim miejscu, by nikt nie mógł słyszeć jej krzyków. Prawdopodobnie ulokował ją w nieodrestaurowanym skrzydle, które, choć było w opłakanym stanie, zostało wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny oraz dźwiękochłonne zabezpieczenia. Nikt nie usłyszy Chloe. Poza tym znając Hakima, można było zakładać, że doprowadził ją do stanu, w którym nie miałyby siły nawet jęknąć, o krzykach nie wspominając.

Po prostu powinien zapomnieć o Chloe Underwood. Żal, współczucie, litość - to nie leżało w naturze Bastiena, nie znał tych uczuć.

Przebrał się szybko. Włożył wygodne czarne spodnie, czarną bawełnianą koszulkę, związał włosy na karku, wsunął miękkie sportowe buty i ruszył do drzwi.

Było trochę po północy. Niedługo pojawi się zapewne Monique, będzie go szukać. Zastanawiał się, czy nie wyłączyć kamer w swoim

pokoju, choćby na przekór baronowi, ale zrezygnował z tego zamiaru. Nie powinien przesadzać. Facet, którego grał, lubił i cenił publiczność.

Wyszedł ostrożnie na pusty korytarz. Pokojówka już poszła, zostawiając drzwi do pokoju Chloe otwarte. Wszelkie ślady pobytu miss Underwood w Mirabel zostały zatarte, amerykańska tłumaczka znikła, jakby nigdy nie istniała. On też powinien o niej zapomnieć, ot, jeszcze jedna przypadkowa ofiara działalności kartelu.

Ale nie, nie potrafił zapomnieć. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo wielu lat podjął zupełnie irracjonalną, może nawet emocjonalną decyzję. Mimo że był człowiekiem wypranym z wszelkich uczuć.

Postanowił odnaleźć Chloe.

Zamknął za sobą drzwi jej pokoju i ruszył w stronę nieużywanego, nieodrestaurowanego skrzydła pałacu. Jeśli jeszcze żyła, będzie mógł przynajmniej ponaglić Hakima. Może to sentymentalne, ale nie chciał, żeby cierpiała. Nie miał szans jej uratować, lecz mógł oszczędzić jej cierpień. Odezwały się w nim jakieś ludzkie uczucia.

Znalazł ją, zapłakaną, skuloną w kącie pokoju, który Hakim lubił wykorzystywać do przesłuchań. Żyła, tak, ale to jej ostatnie godziny, pomyślał chłodno, wchodząc do środka. Hakim posłał mu zdumione spojrzenie.

- Co ty tutaj u licha robisz, Toussaint? Mówiłeś przecież, że miss Underwood już cię nie interesuje. Nie jestem pewien, czy cieszy mnie twoja obecność w tym miejscu.

Hakim był w samej koszuli. Zdjął marynarkę, krawat, podwinął rękawy i wyraźnie podniecony podgrzewał ostrze małego sztyletu w pło-

mieniu świecy.

Bastien poczuł woń przypalanego ciała. Spojrzał na Chloe. Musiała się przebrać po jego wyjściu, a przed przyjściem Hakima, bo miała teraz na sobie ciemne spodnie i T-shirt. O ile można użyć określenia „miała na sobie”. Nogawki spodni były rozcięte, rozdarta koszulka zsunięta tak, że odsłaniała ramiona i biały, zwykły stanik, w niczym nie przypominający luksusowej bielizny, w której Bastien widział ją jeszcze niedawno.

Bez trudu dało się dostrzec ślady tortur zaaplikowanych dziewczynie przez Hakima. Miała drobne cięte rany i jakby tego było mało, przypaloną w kilku miejscach skórę. Hakim najwyraźniej rozkoszował się zadawaniem jej bólu. Nie była w szoku, ale niewiele jej do tego stanu brakowało. Nie patrzyła na Bastiena, po prostu skuliła się w kącie. Zaciśnęła powieki i tak trwała bez ruchu, z głową opartą o ścianę. Z oczu płynęły jej łzy.

- Nie będę psuł ci przyjemności, Gilles - odezwał się Bastien. - Chciałem tylko popatrzeć na mistrza w akcji.

Chloe otworzyła oczy i spojrzała wreszcie na Bastiena. A on po raz pierwszy zobaczył siebie takim, jakim musiała widzieć go Chloe. Takim, jakim był, czy też jakim się stał przez lata.

- Ależ nie krępuj się, Bastien - zachęcił go Hakim. - W przeciwieństwie do ciebie bardzo lubię mieć publiczność. Ładna jest ta nasza panna Underwood, prawda? - podszedł do niej i dotknął jej włosów rozpalonym nożem. Rozległo się nieprzyjemne skwierczenie i przypalony kosmyk upadł na podłogę.

- Bardzo ładna - przytaknął Bastien, nie spuszczać z niej wzroku.

Hakim nie okaleczył jeszcze jej twarzy, tę przyjemność zostawił sobie na później. Bastien nigdy nie widział Araba w akcji, ale słyszał wystarczająco dużo opowieści, by wiedzieć, co nastąpi.

Nie mógł nic uczynić, żeby go powstrzymać. Nie powinien był tutaj przychodzić, oglądać jej w takim stanie, ale zwykł robić to, co do niego należy.

- Baron pytał o ciebie - powiedział niespodziewanie. - Wynikły jakiś problem z Irańczykami.

- Z nimi zawsze są problemy - mruknął Hakim niechętnie. - Coś poważnego?

- Chyba tak. Sprawa jest na tyle poważna, że powinieneś z nim porozmawiać teraz, nie czekać do rana.

- Nie ma tak poważnych spraw, które nie mogłyby poczekać do rana - stwierdził Hakim sentencjonalnie i przeciągnął nożem po ramieniu Chloe, nacinając skórę. Zniosła ból w milczeniu, zacisnęła tylko usta. - Widzisz, jaka potulna? Potulna i bardzo pojętna. Wyjaśniłem jej, że jak będzie krzyczeć, wcisnę jej ten nóż między nogi. Gościła tam już dzisiaj ciebie, to powinno chyba wystarczyć jak na jeden wieczór.

Bastien nic nie powiedział, a Chloe znowu zamknęła oczy. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest blada.

- Myślisz, że da się coś zrobić, żeby przestała płakać? - zagadnął Hakim rozmarzonym tonem. - Mógłbym wydłubać jej oczy.

Chloe drgnęła gwałtownie i na powrót znieruchomiła.

- Idź najpierw do barona - podsunął Bastien. - Przyjechaliśmy tutaj jednak pracować, nie bawić się.

Hakim wydał usta, jak dziecko, które siłą zaganiają do obowiązków.

- Masz rację - przyznał. - W końcu to nie ostatnia okazja do zabawy. Mało to chodzi po świecie ładnych dziewcząt, które wtykają nos w nie swoje sprawy? Skończę z nią i pójdę pogadać z baronem.

Chloe nie mogła się ruszyć, nawet gdyby chciała. Próbowwała uciekać Hakimowi wcześniej, ale tak ją w odwecie skatował, że zemdląca i ocknęła się dopiero w tym pustym pokoju, kiedy poczuła na skórze rozpalony nóż.

Nie była w stanie trzeźwo myśleć, rozumować, nie potrafiła już ocenić swojego położenia. Wiedziała tylko, że zginie niechybnie z rąk tego potwora, sadysty lubującego się w zadawaniu bólu. Pogodziła się z faktami, nawet już nie próbowała szukać wyjścia z sytuacji. Przestała wierzyć w szczęśliwe zakończenie sprawy. Kiedy już zupełnie upadła na duchu, w pokoju pojawił się Bastien.

Nie wierzyła oczywiście, że przyszedł ją uratować. Nie miała żadnych złudzeń. Był równie podły i okrutny, na swój własny sposób, jak Hakim. W pewnym sensie był gorszy od Hakima, bo skrywał zło pod maską człowieka kulturalnego, szarmanckiego, pełnego galanterii.

Dobrze, że zmasakrują jej ciało, myślała obojętnie, jak o kimś obcym, wpatrując się tępo w kosmyki swoich włosów leżące na podłodze. Głupio byłoby leżeć w otwartej trumnie z postrzępioną fryzurą.

Musi być w szoku, skoro takie idiotyczne myśli przychodzą jej do głowy. Rodzice będą niepokieszeni. Od samego początku byli przeciwni jej wyjazdowi do Paryża. Chcieli, żeby została w domu, w Stanach,

skończyła studia medyczne i była lekarką, jak reszta rodziny, ale ona nie słuchała ich rad. Bała się widoku krwi, a teraz musi patrzeć na własną krew. Przynajmniej rodzice będą mieli tę wątpliwą satysfakcję, że słusznie odradzali jej wyjazd.

Najgorzej wyjdzie na tym Sylvia. Straci część swoich wspaniałych ciuchów i będzie musiała sama płacić astronomiczny czynsz za maleńką mansardę. Policja zacznie ją przesłuchiwać, a francuska policja jest okropna, najgorsza na świecie, zaś życie Sylvii w Paryżu pełne było tajemnic, o których władze raczej nie powinny wiedzieć. Dobrze jej tak, dostanie za swoje, monologowała Chloe w duchu. Należy się jej trochę kłopotów za to, że posłała swoją najlepszą przyjaciółkę na śmierć.

Oczywiście nie zrobiła tego specjalnie, ale gdyby sama przyjechała do Mirabel, tak jak to było zaplanowane, nic by się nie stało. Sylvii nie interesowało nic poza jej własną osobą, była wręcz patologicznie egocentryczna. Ona nie wylądowałaby w tej koszarnej izbie tortur i żaden potwór-sadysta nie przykładalby jej rozpalonego noża do ciała, prowadząc przy tym towarzyską pogawędkę z drugim, jeszcze gorszym potworem i łotrem.

Postanowiła, że nie będzie krzyczeć. Przygryzała wargę tak mocno, że czuła na języku słony smak krwi. Hakim ciął i przypalał jej ciało, a ona znosiła to w absolutnej ciszy, nie wydając z siebie żadnego odgłosu.

- Skończę z nią teraz - powiedział Hakim, chwytając ją za włosy i przykładając jej nóż do gardła. - Zaczekaj na mnie w bibliotece, przyjdę za chwilę.

Chloe zamknęła oczy, szykując się na finał. Wreszcie będzie po wszystkim, zapadnie się w czarną czeluść, przestanie cokolwiek czuć, uwolni się od bólu. Odchyliła głowę, żeby ułatwić Hakimowi zadanie i usłyszała jego tubalny śmiech.

- Widzisz, jaki jestem dobry, Bastien? Sprawiam, że czekają na śmierć, pragną jej - powiedział i nachylił się bardziej.

Usłyszała jeszcze dziwny odgłos, jakby korek wyskoczył z butelki, a potem poczuła, że przygniata ją jakiś ciężar i że skąpana jest w lepkiej krwi. Czowała jej zapach, zmieszany z kwaśnym odorem potu... Zupełnie inaczej wyobrażała sobie śmierć, ale przynajmniej nie bolało. Unieruchomiona, sparaliżowana czekała spokojnie, aż spowije ją mrok, błogosławiona ciemność.

A potem ciężar ustąpił, zniknął i znowu mogła oddychać. Ostrożnie otworzyła oczy i zobaczyła tuż obok siebie rozciągnięte na podłodze ciało Hakima w kałuży krwi, która z pewnością nie była jej.

Bastien Toussaint stał nad nią z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Jedną dłoń wyciągał do niej, w drugiej trzymał pistolet.

- Życie albo śmierć, Chloe. Wybór należy do ciebie.

Podowała mu rękę i podniosła się z podłogi.

Chyba tylko siłą woli była w stanie utrzymać się na nogach. Bolało ją wszystko, każdy mięsień, każdy centymetr ciała pokiereszowanego przez Hakima. Ale Hakim leżał teraz martwy u jej stóp, a ona żyła. I wcale nie miała ochoty umierać.

- Bocznyymi schodami przedostaniemy się w pobliże garaży. Po drodze będziemy musieli uważać na ochronę i na psy. Nie odzywaj się

ani słowem i rób wszystko, co ci powiem, bo inaczej cię zastrzelę i dalej pójdę sam.

Skinęła głową, nie była w stanie dobyć głosu z gardła. Toussaint był tak spokojny, nieporuszony, jakby wcale przed chwilą nie zabił człowieka i nie szykował się na zabicie jeszcze kilku po drodze, o ile zajdzie taka potrzeba. O dziwo odnajdywała w sobie podobny chłód, jakby znikły wszelkie emocje, jakby przestała cokolwiek odczuwać.

Ujął ją mocno pod ramię i pociągnął za sobą. Z trudem dotrzymywała mu kroku, tak bardzo była oszołomiona, obolała i osłabiona, ale nie próbowała nawet prosić, żeby zwolnił. W odpowiedzi pewnie przyłożyłby jej pistolet do skroni i strzelił.

Zeszła za nim niepewnie po wąskich, nieoświetlonych schodach i po chwili znaleźli się na zewnątrz. Mroźne, nocne powietrze w pierwszej chwili przyprawiło ją o szok, a potem wzięła głęboki oddech, szczęśliwa, że może oddychać, że zostawiła daleko za sobą zapach prochu i krwi.

Usłyszała z daleka czyjeś głosy i Bastien pociągnął ją w cień. Oboje przywarli do muru, nasłuchując zbliżających się kroków. To strażnicy robili obchód, na razie nieświadomi tego, że dzieje się coś niedobrego.

- Może będę musiał ich zastrzelić - szepnął Bastien ledwie słyszalnie, nachylając głowę do jej ucha. - Nie zmuszaj mnie, żebym obszedł się tak samo z tobą.

Chloe powoli skinęła głową i odszepnęła trochę głośniej:

- Przyrzeknij mi jedno... - zaczęła, ale Bastien położył jej rękę na ustach, mimo że strażnicy byli już na tyle daleko, że nie mogli ich słyszeć.

- Cicho - warknął, upewnił się, czy od patrolu dzieli ich bezpieczna odległość, i zapytał: - Co mam ci przyrzec?

- Że nie zastrzelisz psów.

Przez chwilę patrzył na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, a potem w jego oczach pojawiło się coś, co w innych okolicznościach i w odniesieniu do innego człowieka można by nazwać rozbawieniem. Ale oni nie mieli czasu na zabawę.

- Postaram się - mruknął, chwycił ją za rękę i zmusił do biegu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wszystko wydawało się zupełnie nierealne. Hakim zadbał, by teren pałacu był dobrze oświetlony i teraz musieli przebiegać z cienia do cienia, by bezpiecznie pokonać rozległy trawnik. Bastien zdawał się instynktownie wyczuwać drogę, a Chloe podążała za nim chyba tylko dzięki żelaznej sile woli. Starła się nie myśleć o tym, co zaszło, przez co musiała przejść. Rzeczywistość dawno gdzieś znikła, zastąpił ją hollywoodzki film, senny koszmar, z którego można i trzeba się obudzić.

Ale to nie był sen, tylko właśnie rzeczywistość w całej swojej nagiej, przerażającej ohydzie. Wyjechała z domu, zostawiła rodzinę i sprzeniewierzyła się rodzinnej tradycji, bo nie potrafiła patrzeć na ból, śmierć i krew, a teraz miała na ciele krew zabitego człowieka.

Bastien zostawił ją dwa razy. Czekwała na niego posłusznie, skryta w mroku, odrętwiała, a kiedy wracał, zaczęli przekradać się dalej. W końcu dotarli do czekającego przy garażach porsche. Chloe dobiegała do

samochodu, zdobywając się na ostatni sprint i mobilizując całą energię, jaka jej pozostała, po czym zupełnie opadła z sił i Bastien musiał ją własnoręcznie wepchnąć do wozu, usadowić w fotelu, jakby miał do czynienia z kolejnymi zwłokami.

Natychmiast zamknęła oczy i poczuła, że pogrąża się w ciemnościach. Czarna kurtyna oddzieliła ją od świata.

Słyszała, jak Bastien zapina pas bezpieczeństwa i miała ochotę parsknąć śmiechem. Och, cóż za ostrożność, jaka dbałość o przepisy u bezwzględnego mordercy. Zapiął też jej pas. Drgnęła, kiedy poczuła dotknięcie jego dłoni, gorsze niż dotknięcie rozżarzonego sztyletu, ale natychmiast usztywniła ciało. Nie otworzyła nawet oczu. Chciała o wszystkim zapomnieć, odciąć się od tego, przez co przeszła.

Bastien jechał bardzo szybko, każda minuta oddalała ich od Mirabel, od niebezpieczeństwa, od śmierci. Włączył radio i z głośników popłynęła piosenka, przebój sprzed kilku lat, o dziewczynie, która ma oczy jak rewolwery i zabija spojrzeniem. Jakże odpowiedni tekst, zważywszy zaistniałe okoliczności.

Nie potrafiła odciąć się od przeżytego koszmaru, zapomnieć. Spojrzała na Toussainta i powiedziała:

- Zabiłeś dzisiaj człowieka.
- Zabiłem dzisiaj dwóch ludzi. Kiedy zostawiłem cię na chwilę, poderżnąłem gardło jednemu ze strażników. Ale nie skrzywdziłem żadnego psa, tak jak obiecałem.

Chloe przeraziły jego słowa.

- Jak możesz sobie żartować z czegoś takiego?

- Żartem było to, że nie pozwoliłaś mi zabić psów. Byłoby nam znacznie łatwiej wydostać się z pałacu, ale uszanowałem twój sentymentalny kaprys. - Bastien wziął zakręt z wprawą kierowcy rajdowego. Niby rozmawiał z Chloe, ale całą uwagę skupiał na prowadzeniu wozu.

Nie wiedziała, kto był gorszy: Hakim, człowiek, któremu zabijanie sprawiało autentyczną przyjemność, czy Bastien, który nie czuł absolutnie nic.

- Spróbuj zasnąć - odezwał się po chwili. - Mamy przed sobą długą drogę, a tobie na dziś wystarczy wrażeń. Obudzę cię, jak zatrzymamy się gdzieś na jedzenie.

- Nic nie przełknę. Nie mogę nawet myśleć o jedzeniu. - Chloe wzdrygnęła się. Ciągle jeszcze czuła zapach krwi i czegoś, czego teraz nie umiała nazwać.

- Jak sobie życzysz. Może masz rację. Moim zdaniem Amerykanki za dużo jedzą.

Nie obraziła się za tę uwagę. Gdyby obok niej siedział ktoś inny, pomyślałaby, że powiedział to specjalnie, żeby wyrwać ją z odrętwienia, w które zapadła po dzisiejszych przejściach, ale Bastiena nie mogło przecież obchodzić, co ona czuje.

Powinna go zapytać, dokąd jadą, ale nie mogła wykrzesać z siebie nawet tyle energii. W gruncie rzeczy było jej absolutnie wszystko jedno, dokąd ją wiezie. Mógł robić, co mu się podobało. Byle jej nie dotykał, a jeśli już, to tylko po to, żeby zabić. Woląла raczej zginąć, niż znowu uprawiać seks z tym zimnokrwistym potworem.

- Zdrzemnij się - powtórzył łagodnym głosem, chociaż myślał, że

stać go na łagodność, wydawała się zupełnie kuriozalna.

Głos w radio śpiewał „c'est foutu”, wszystko spieprzone. Nie mogła nie zgodzić się z piosenkarzem. Wszystko spieprzone, powtórzyła w myślach, zamknęła oczy i wreszcie udało się jej zapaść w niebyt.

Kiedy wreszcie zasnęła, Bastien mógł się jej przyjrzeć uważniej. Nawet w mroku rozpraszonym tylko poblaskiem z deski rozdzielczej wyglądała opłakanie. Płytkie nacięcia i oparzenia na ramionach, blada twarz, rozmazany makijaż, ubranie poplamione krwią. Robiła wrażenie zupełnie bezbronnej, ale on zdążył się już przekonać, że potrafi być naprawdę twarda. Przeżyła, co samo w sobie było cudem. Jakoś zniosła twórczą działalność Hakima.

Hakim był sadystą niezwykle kreatywnym, a przy tym metodycznym. Zakazywał swoim ofiarom krzyczeć, a potem powoli, krok po kroku doprowadzał je do momentu, kiedy już nie mogły się powstrzymać i z ich gardeł wyrywał się niehumaniczny odgłos. Wtedy zwykle kończył z nimi. Chloe udało się powstrzymać od krzyku. Miała krew wokół ust, opuchniętą wargę, ale zachowała milczenie.

Chyba że opuchlizna była pozostałością po jego pocałunkach. Nie obszedł się z Chloe zbyt delikatnie, ale dopiął swego. Dowiedział się, czego chciał, uzyskał informacje. A potem coś go podkusiło i wszystko schrząnił, wtykając nos tam, gdzie nie powinien. Zamiast zaakceptować fakt, że na wojnie często giną niewinni, postanowił przeszkodzić Hakimowi, pokrzyżować mu szyki.

Może był już po prostu zmęczony „nieprzewidzianymi stratami”.

Może chciał uratować chociaż jedno życie. Może był już tak wypalony, że igrał teraz ze śmiercią, przekreślając jednym głupim kaprysem całą swoją misję.

Chloe wyglądała strasznie. Właściwie trudno było uwierzyć, że mógł dla niej przekreślić cokolwiek, a co dopiero misję, do której przygotowywał się przez kilka lat.

Powinien znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mogliby odechnąć. Doprowadziłby Chloe do porządku, opatrzył rany, zaaplikował coś na uspokojenie, a potem wsadził w pierwszy samolot do Stanów.

To wszystko w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Najpierw musi jednak dotrzeć do jednej ze swoich kryjówek, zająć się Chloe i zastanowić nad sytuacją. Nie wiadomo, jak Komitet zareaguje na tak skandaliczną niesubordynację. Pewnie tam na górze uznają, że najwyższy czas go usunąć. Przestał być użyteczny, bo przecież agent, który kieruje się impulsami, nie może być użyteczny. Góra nie dawała nikomu drugiej szansy. Nigdy.

Hakim był co prawda przeznaczony na odstrzał, ale jeszcze nie teraz. Jak by nie patrzeć na sprawę, Bastien Toussaint schrzanił jedno z najważniejszych zleceń. Nie osiągnął wyznaczonego celu. Thomason będzie wściekły. Wszystko jedno. Bastien chciał, żeby to się już skończyło. Nie obchodziło go nawet ratowanie własnego tyłka. Pragnął tylko wyprawić Chloe z powrotem do domu, upewnić się, że jest bezpieczna. Potem mogą go zabić.

Była znacznie silniejsza, bardziej odporna, niż przypuszczał. Nad ranem z jej twarzy znikła chorobliwa bladość, spała spokojnie.

Jechali na północ, kierując się na Normandię, po czym Bastien zawrócił, tak by wjechać do Paryża nie od południa, lecz od północnego zachodu. Kluczył, chcąc zmylić ewentualną pogoń, acz było mało prawdopodobne, że ktoś ich ściga. Mogło minąć jeszcze parę godzin, zanim goście Mirabel odkryją ciało Hakima i zauważą nieobecność Bastiena.

Zastanawiał się, czy nie porzucić swojego wozu i ukraść jakiś inny, ale Chloe spała tak spokojnie, że nie chciał jej budzić. Kiedy dotrą do Paryża, ukryje samochód. Pozostawało tylko liczyć na szczęście i wierzyć, że mają kilka bezcennych godzin przewagi.

Wystarczająco dużo czasu, by wyekspediować Chloe do Stanów.

Zatrzymał się w jakimś niewielkim miasteczku przy wjeździe do stolicy, kupił buty dla Chloe, coś do picia i bagietki z pasztetem, które wyglądały na pozbawione wszelkiego smaku, ale to również było mu całkowicie obojętne. Nie miał ochoty na jedzenie, Chloe zapewne też nie, niemniej obydwoje powinni się posilić.

Kawa była taka, jaką lubił, mocna i słodka. Trzymał papierowy kubek w jednej dłoni, drugą prowadził przez puste jeszcze o tej porze ulice Paryża. Na miejsce schronienia wybrał amerykański hotel, drogi i niczym się nie wyróżniający, może poza horrendalnymi cenami. Często z niego korzystał, gdy musiał zniknąć, przycząć się, przeczekać niebezpieczeństwo. Czuł się tutaj bezpieczny, pomimo to nie mógł lekceważyć zagrożenia. Prędzej czy później ktoś wreszcie wpadnie na ich trop.

Liczył, że mają kilka godzin czasu, zanim zrobi się wokół nich góra. Należało opatrzyć rany Chloe, nakarmić ją, doprowadzić do porządku i zaaplikować coś na uspokojenie.

Nie wiedział jeszcze, co jej powie. Trudno będzie przekonać dziewczynę, że to wszystko tylko jej się przyśniło. Po sennych koszmarach nie zostają człowiekowi ślady od przypalania rozżarzoną żelazką i postrzępione włosy. Znowu była blada, pod lewym okiem pojawił się siniak... Wyglądała naprawdę żałośnie.

Zaparkował samochód na wykupionym miejscu w podziemnym garażu i wyłączył silnik. O tej porze było tu zupełnie pusto. Za późno na przybywających gości, za wcześnie na wyjeżdżających. Nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania, mogli dostać się do pokoju hotelowego, który od pewnego czasu opłacał. Zawsze tak postępował w czasie wykonywania ryzykownych zleceń, wiedząc, że kryjówka może być w każdej chwili potrzebna.

Chloe otworzyła oczy i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem, ale kiedy się nachylił, żeby zapiąć guziki koszuli, którą dał jej zaraz po tym, jak wsiedli do samochodu, szarpnęła się gwałtownie, jakby spodziewała się ciosu.

- Chciałem tylko poprawić ci koszulę - wyjaśnił. - Nie możesz tak wejść do hotelu.

- Gdzie my jesteśmy?

- W hotelu „MacLean”. Mam tutaj wynajęty pokój na takie okazje, jak dzisiejsza.

- Takie okazje, jak dzisiejsza? - powtórzyła bezmyślnie. - Chcesz powiedzieć, że wcześniej zdarzało ci się coś podobnego?

- Owszem. - Zdarzało mu się. Bywał demaskowany, czasami cierpieli z tego powodu niewinni ludzie, przypadkowo uwikłani w niebez-

pieczne sytuacje. Dawniej, gdy musiał uciekać, myślał wyłącznie o ratowaniu własnego tyłka, innych pozostawiając samym sobie. Po raz pierwszy postąpił inaczej. - Zapnij koszulę - poprosił. - I włóż buty, które ci kupiłem. Powinny być dobre. Pospiesz się, każda minuta działa na naszą niekorzyść.

Bastien wysiadł z samochodu, Chloe dołączyła do niego po chwili i ruszyli powoli do windy. W ciasnej kabinie czuć było czosnkiem i spalinami. Chloe wcisnęła się w kąt i wbiła wzrok w podłogę.

Bastien poszedł za jej wzrokiem. Proste, czarne mokasyny, które kupił w sklepie przy stacji benzynowej, zdawały się pasować na Chloe i wyglądały jako tako, za to spodnie z pociętymi nogawkami przedstawiały dość niecodzienny widok. Postrzępione włosy pachniały w dalszym ciągu spalenizną.

- Cholera - mruknął, kiedy winda zatrzymała się po drodze. Stał tak, by zasłonić Chloe przed ciekawskim spojrzeniem tego, kto zamierzał wsiąść. Wtulił jej głowę w swoje ramię, a gdy się szarpnęła, ścisnął mocno jej dłoń i szepnął po niemiecku:

- Udawajmy, że jesteśmy kochankami. - Zrozumiała go, oczywiście, tak jak przypuszczał, chociaż ciągle jeszcze winna mu była wyjaśnienie, dlaczego po przyjeździe do Mirabel nie chciała się zdradzić, że zna również ten język.

Do windy wsiadł jakiś pan w średnim wieku, ubrany w garnitur. Na widok tulącej się pary dyskretnie odwrócił wzrok, a Bastien przyciągnął Chloe jeszcze bliżej do siebie. Miał ochotę ją pocałować, ale wiedział, że nie powinien przesadzać, tym bardziej w obecności obcego człowie-

ka. Wystarczyło, że poczuła jego erekcję, a musiała poczuć, bo spojrziała na niego z odrazą. Ma mnie za kawał wyjątkowego drania, pomyślał.

Ledwie mężczyzna wysiadł, Chloe z całych sił odepchnęła Bastiena.

- Nigdy więcej mnie nie dotykaj - powiedziała i w jej głosie zabrzmiała pogróżka.

- Nie bądź dzieckiem - prychnął rozeźlony. - Próbuję ratować ci życie, chociaż nie wiem, po jaką cholere. W każdym razie radzę ci, nie stawiaj się, bądź cicho i stosuj się do moich poleceń. Jeśli zechcę, wezmę cię na środku katedry Notre Dame i nie przeszkodzą mi nawet tłumy zwiedzających. Jasne?

- Po moim trupie.

- Dokładnie.

Wysiedli na ostatnim piętrze. Na korytarzu nie było nikogo. W windzie Bastien zastanawiał się, czy nie powinien poderżnąć gardła przygodnemu świadkowi, ale doszedł do wniosku, że istnieje małe prawdopodobieństwo, by jego wrogowie mieli trafić na trop uciekinierów, przepytując wszystkich gości wszystkich paryskich hoteli. Tylko idiota mógłby wybrać taką metodę poszukiwań, to raz.

Dwa, zwłoki w windzie byłyby o wiele wyraźniejszym tropem niż żywy biznesmen, który bladym świtem nie wiadomo po co wszedł do windy. Po trzecie, Chloe zaczęłaby krzyczeć. Uff. Musi być naprawdę zmęczony, jeśli takie kretyńskie myśli chodzą mu po głowie. On, który miał się zawsze za chłodnego profesjonalistę...

- Mój pokój jest na samym końcu korytarza - poinformował Chloe

uprzejmie, na co posłała mu spojrzenie pełne lęku i nienawiści.

To dobrze. Strach i nienawiść dodadzą jej energii, której teraz bardzo potrzebowała, będą działały jak akumulator. O wiele gorzej, gdyby zapadła w kompletne odretwienie. Bastien dawno się przekonał, że nienawiść bywa bardzo użyteczna i teraz tę wiedzę zamierzał spożytkować z dobrym skutkiem. Złość i nienawiść będą napędzać wyczerpany organizm.

Puścił ją przodem i podążał krok za nią, pozbawionym charakteru korytarzem, jakich tysiące widuje się w tysiącach hoteli na całym świecie. Zawahała się, gdy otworzył drzwi, i musiał ją lekko popchnąć. Znowu posłała mu pełne nienawiści spojrzenie, tak jadowite, że mniej odporny facet podkuliłby ogon.

- Idź do łazienki i zdejmij te ciuchy - poprosił grzecznie.

- Pieprz się.

Bastien zaśmiał się.

- Masz pokiereszowane ręce i nogi, Chloe. Trzeba opatrzyć rany, musisz odpocząć. Możesz mi wierzyć, nie mam żadnych niecznych intencji. Chcę tylko doprowadzić cię do stanu używalności i jeszcze dziś wieczorem wyprawić do domu.

Nie wyglądała na przekonaną.

- Wyprawić? Do domu? - powtórzyła z powątpiewaniem.

- Tak. Zamierzam wsadzić cię do samolotu do Stanów. Gdzie mieszkasz?

- W Karolinie Północnej.

- To blisko Nowego Jorku?

- Nie.

- Dolecisz do Nowego Jorku, a resztę podróży będziesz musiała zorganizować sobie sama. Ważne, żebyś jak najszybciej opuściła Francję, dopiero wtedy będziesz w miarę bezpieczna. Tutaj w każdej chwili możesz zostać zabita przez jakiegoś utalentowanego fachowca.

- A ja myślałam, że będą raczej próbowali uśmiercić ciebie, nie mnie.

- Mnie też, oczywiście. To swoją drogą. W każdym, kto się ze mną zetknie, prędzej czy później budzi się instynkt mordercy.

- Potrafię to zrozumieć.

Bastien nie silił się na oburzoną minę.

- Zdejmiesz wreszcie te ciuchy, czy mam ci pomóc?

- Zrobię to sama - oznajmiła sztywno. - Gdzie jest sypialnia?

Wskazał podwójne drzwi za swoimi plecami.

- Tam. Przyjdę do ciebie za chwilę.

- Nie pójdę z tobą po raz drugi do łóżka. Wykluczone - zachnęła się Chloe.

Niech się wścieka, pomyślał Bastien, to też doda jej sił.

- Do łóżka? - zdziwił się. - Nie przypominam sobie, żebyśmy poszli z sobą do łóżka.

Potrafiła się czerwienić. Patrzył zafascynowany, jak rumieniec oblewa jej policzki. Myślał, że dawno wyrosła z takich reakcji. Zrobiło mu się jej żal.

- Nieważne, Chloe - powiedział ugodowym głosem. - Nie zamierzam z tobą spać. Nie będę cię napastował. Opatrzę tylko twoje rany,

poza tym nie tknę cię palcem.

Rzeczowe, chłodne podejście tylko pogarszało sytuację, widział to po minie Chloe, ale w tej chwili miał większe powody do zmartwienia niż przejmowanie się jej nastrojami. Musiał ją opatrzyć, nakarmić, ubrać i odesłać do domu. Będzie miał więcej szczęścia niż rozumu, jeśli do wieczora go nie znajdą. Być w ruchu, przemieszczać się - nic mądrzejszego w tej chwili nie potrafił wymyślić. Najpierw należało zająć się Chloe. Przecież muszą jak najszybciej wynieść się z hotelu, zanim ktoś ich namierzy.

Siedziała na łóżku owinięta prześcieradłem, niczym pacjentka czekająca na badanie w gabinecie ginekologa. Kiedy usiadł obok niej, próbowała się odsunąć.

- Nie bądź dziecinna, Chloe - ofuknął ją.

Spojrzała na brązową buteleczkę, którą trzymał w dłoni, na waciki w drugiej.

- Co to takiego? - zapytała nieufnie. - Nie byłeś przecież w aptece.

- Nie, nie byłem. To z mojej apteczki. Świetny środek, po prostu doskonały i bardzo drogi. Na wagę złota. Przyspiesza gojenie. Za kilka dni większość śladów, którymi naznaczył cię Hakim, powinna zniknąć, nie pozostawiając blizn.

- Skąd to masz?

- Tajemnica - powiedział i zwilżył wacik zielonym płynem. - Ma tylko jeden mankament.

- Jaki.

- Potwornie piecze - uprzedził lojalnie i dotknął pierwszego nacię-

cia na ramieniu Chloe.

Szarpnęła się, był prawie pewien, że krzyknie. Wybrał hotel „MacLean” z kilku powodów, między innymi dlatego, że solidne ściany nie przepuszczały dźwięków. Nie chciał, by ktoś usłyszał krzyki Chloe, ale ona tylko cicho syknęła, zacisnęła usta i usztywniła ciało, czekając na kolejne uderzenie bólu.

- Są skuteczniejsze metody panowania nad bólem - powiedział łagodnie, smarując kolejne rany. - Im bardziej z nim walczysz, tym staje się bardziej nieznośny. Powinnaś się rozluźnić, pogodzić z nim. Spróbuj. Zobaczysz, poczujesz się jak w odmiennym stanie świadomości, jakby to ktoś inny cierpiał, nie ty. To znacznie lepszy sposób.

- Tak dużo wiesz o bólu? - Słowa ledwo dobywały się z jej ust.

- Wystarczająco dużo. Oddychaj głęboko. Tak, jak każą oddychać przy porodzie. Głębokie, rytmiczne wdechy i wydechy. Spróbuj się odprężyć.

- Nie mogę - wycodziła.

- To spróbuję cię czymś zająć - zaproponował i Chloe znowu się nastroszyła.

- Nawet nie...

- Wiem, wiem. „Nawet nie próbuj mnie dotykać”. Znam już tę frazę.

- Skończył opatrywać jedno ramię i zabrał się za drugie. - W takim razie rozmawiaj ze mną. Powiedz mi, jak trafiłaś do Mirabel.

- Mówiłam ci już. Zgodziłam się zastąpić moją przyjaciółkę. Mieszkamy razem. Wynajmujemy mansardę. Obiecała swojemu facetowi, że spędzą razem weekend. Wzięłam za nią zlecenie. Nie miałam poję-

cia, dokąd jadę i dla jakich kanałi będę pracować.

- Teraz już wiesz. I dlatego stałaś się niebezpieczna. Skąd znasz aż tyle języków? Większość Amerykanek zna tylko angielski, a i to nie najlepiej.

Posłała mu pełne niesmaku spojrzenia za ten głupi dowcip. Tak łatwo było przewidzieć jej reakcje, tak łatwo prowokować je i bawić się nimi. Wystarczyło, by rzucił lekceważącą uwagę na temat Amerykanek, i Chloe natychmiast zapomniała o bólu. On zawsze lubił kobiety wyrafinowane, skomplikowane i nieprzewidywalne. A jednak, nie wiedzieć dlaczego, polubił Chloe.

Przez moment myślał już, że nic nie odpowie, zbędzie go wzgardliwym milczeniem.

- Mam po prostu wrodzony talent - wycedziła, walcząc z bólem. - Chodziłam do drogich prywatnych szkół, rodziców było stać na taki luksus. Francuskiego zaczęłam uczyć się w przedszkolu.

- To wyjaśnia, dlaczego masz taki dobry akcent. A jak było z pozostałymi?

- Uczyłam się w szkole, potem na studiach. Skończyłam języki nowożytny w Mount Holyoke. Dużo podróżowałam z rodzicami. Znam nawet łacinę.

- Mało nowożytny język, śmiem zauważyć. Połóż się, posmaruję ci nogi.

Chloe, zmęczona walką z bólem, wyczerpana, nie miała siły kłócić się z Bastienem, protestować. Wyciągnęła się posłusznie na łóżku. Rany na nogach były mniej liczne niż na ramionach. Bastien swoim poja-

wieniem się przeszkodził Hakimowi dokończyć dzieło.

- Nie szkodzi. Mówiłam ci, że mam talent. Również do martwych języków.

- To dlaczego pracujesz u jakiegoś marnego wydawcy, o którym nikt nigdy nie słyszał? Mogłabyś znacznie lepiej i drożej sprzedawać swoje umiejętności.

- Lubię moje życie. Wolę tłumaczyć książki dla dzieci u marnego wydawcy, niż tłumaczyć rozmowy dotyczące nielegalnego handlu bronią.

Bastien skończył aplikować swój cudowny medykament, odstawił buteleczkę i nachylił się nad Chloe.

- Oto zdanie, którego nie powinnaś była w ogóle wypowiedzieć, moja droga. Zapomnij o wszystkim, co usłyszałaś i czego się dowiedziałaś w ciągu ostatnich dwóch dni. Wymaż to raz na zawsze z pamięci. Masz do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi, bestiami nie znającymi zmiłowania, gotowymi na wszystko.

Widziałaś ich twarze, znasz nazwiska, to wystarczy, żeby się bać. Zachowujesz się czasami całkiem nedorzecznie, ale jesteś mądrą dziewczyną i przy odrobinie wysiłku bez trudu mogłabyś rozszyfrować, co kryje się pod transportami kurczaków, tusz wołowych, oleju sojowego i daktyli.

Nie czuła się dobrze, kiedy tak nachylał się nad nią i cedził słowa, patrząc jej prosto w oczy, chociaż nawet jej nie dotykał. Ale Bastienowi było najzupełniej obojętne, że Chloe najchętniej posłałaby go teraz do wszystkich diabłów.

- Zapomnij o wszystkim, moja droga - powtórzył z naciskiem. - Bo

w przeciwnym wypadku nawet nie zdążysz pożałować, że masz zbyt dobrą pamięć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chloe wpatrywała się w niego bez słowa. Leżała wyciągnięta bezbronne na jakimś łóżku w jakimś paryskim hotelu, okryta tylko prześcieradłem... Nie dalej jak minionego wieczoru kochała się z tym facetem. Kilka, kilkanaście godzin temu? Cholera, straciła poczucie czasu, nie wiedziała nawet, która w tej chwili może być godzina. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, unieść się i odepchnąć natręta.

Miał na wpół przymknięte oczy i przemknęła jej przez głowę wcale nie taka absurdalna myśl, że ten potwór znowu zamierza ją pocałować.

Nie, nie zamierzał. Wręcz przeciwnie, bo oto odsunął się na bezpieczną odległość, podniósł z łóżka.

- Wezmę prysznic, a potem pomyślę, jak zdobyć dla ciebie nowy paszport.

- Nie potrzebuję nowego paszportu.

Bastien pokręcił głową.

- Jeśli będziesz podróżowała pod swoim nazwiskiem, nigdy nie dotrzesz do domu. Wiem, co robię, Chloe, a ty po prostu słuchaj mnie, nie dyskutuj, a może uda ci się wyjść z tego galimatiasu z życiem.

Nie nadążała za tokiem jego myśli.

- Kim ty do diabła jesteś? Kim, czym?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

- Nie musisz wiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedziała. Spróbuj się przespać. Musisz odzyskać siły.

Nie zadowolila jej ta odpowiedź, ale nie miała siły dłużej dyskutować, domagać się wyjaśnień. Rzeczywiście czuła się zmęczona, osłabiona i sen wydawał się jej teraz o wiele ważniejszą rzeczą niż dochodzenie prawdy o Bastienie.

- Skoro tak mówisz - mruknęła.

- Co takiego? Zgadzasz się ze mną? Nie wierzę własnym uszom.

- Idź do diabła.

- To już brzmi bardziej znajomo. Spróbuj zasnąć. Potem będziesz miała więcej sił, by znów ciskać we mnie obelgami.

Sen nie nadszedł od razu. Nie chciała pamiętać minionego dnia, a jednak obrazy wracały. Wyprawa z Bastieniem do St. Andre, jego wizyta w jej pokoju, ostry, brutalny seks i, najgorsze ze wszystkiego, ciężar przygniatającego ją ciała Hakima...

Zadawał jej cierpienia, torturował, zamierzał ją zabić, a ona życzyła mu śmierci. Dotąd uważała się za bardzo łagodną istotę. Chyba raczej sama wolałaby zginąć, niż kogoś skrzywdzić, ale kiedy ważyła się sprawa jej życia, kiedy znalazła się w sytuacji ostatecznej, wszystkie szlachetne uczucia okazały się funta kłaków warte. Gdyby miała dość odwagi, zabiłaby Hakima własnymi rękami i zrobiłaby to z największą satysfakcją.

Może tak, może nie.

W tej chwili nie wiedziała już, co jest prawdą, co złudzeniem. Słyszała szum wody pod prysznicem, czuła zapach mydła i wody kolońskiej, której używał Bastien. Ponętny, subtelny, trudny do nazwania...

niemal erotyczny. Nie lubiła pachnących mężczyzn.

Odgłos wody ucichł, po chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wparował Bastien, zupełnie nagi, nawet bez ręcznika na biodrach. Spojrzała na niego zdumiona, szybko odwróciła głowę i zamknęła oczy.

Bastien parsknął śmiechem.

- Peszy cię widok nagiego mężczyzny, Chloe?

Nie odpowiedziała i nie otworzyła oczu. Słyszała, jak Bastien wysuwa szuflady, ubiera się, potem otwiera drzwi. Już prawie na powrót zasypiała, gdy poczuła, że siada obok niej na łóżku. Dopiero teraz uniosła powieki.

Był już w spodniach, rozpiętej koszuli i wyglądał w miarę przyzwoicie. Dziwne. Uprawiała z nim seks, a nie wiedziała, czy ma owłosioną klatkę piersiową. Nie był owłosiony. Miał gładką, złocistą skórę. Znowu zamknęła oczy. Nie chciała na niego patrzeć, ucieszyłaby się, gdyby zniknął bez śladu.

Okrył ją dokładniej kołdrą.

- Śpij, Chloe. Musisz wytrzymać z tym mazidłem jeszcze cztery godziny, potem będziesz mogła je zmyć, tymczasem pozwól, by lekarstwo działało.

W pierwszej chwili zamierzała zbyć go milczeniem, ale nie wytrzymała:

- Żadne lekarstwo na świecie nie usunie w ciągu czterech godzin śladów, które zostawił Hakim.

- Psychicznym nie, fizyczne tak. W każdym razie złagodzi ból. A to, czy będziesz potrafiła uwolnić się od złych wspomnień, zależy wy-

łącznie od ciebie.

- Ode mnie? - Chloe próbowała usiąść na łóżku, ale Bastien pchnął ją bez ceregieli, tak że opadła na powrót na poduszki.

- Owszem, od ciebie - powtórzył twardo. - Jesteś młoda, silna, bystra. Masz wszystkie dane, by zapomnieć.

- Proszę, proszę. Jakiś ty wrażliwy - powiedziała z przekąsem.

- Praktyczny - poprawił ją. - Zadawał ci rany, przypalał żelazem, ale nie zgwałcił.

- Nie, ty go wyręczyłeś.

Bastien zaklął paskudnie, słowami, których nie powinna znać, nawet przy swojej biegłości lingwistycznej, a jednak znała.

- Skoro tak to ujmujesz... Musiała mnie dotknąć chwilowa głuchota, bo nie pamiętam, żebyś powiedziała „nie”.

Oboje doskonale wiedzieli, jak było. Nie odezwała się, i w chwilę później Bastien wstał z łóżka. Dopiero teraz zorientowała się, że przez chwilę wstrzymywała oddech, prawie pewna, że zaraz jej dotknie. Kiedy wstał, zaczerpnęła powietrza.

- Wrócę za dwie, trzy godziny. Nie wpuszczaj nikogo, nie odbieraj telefonów, nie zbliżaj się do okien. Nie sądzę, by ktoś już ustalił gdzie się ukryliśmy, ale lepiej dmuchać na zimne. Z pewnością będą cię szukali.

Odwróciła głowę bez słowa. Pragnęła, żeby sobie już poszedł, wyniósł się. Boże, jeśli on powie jeszcze jedno słowo, chyba zacznie krzyżać. Usłyszała, jak zamyka za sobą drzwi prowadzące na korytarz, potem szcęk zamka. Powoli otworzyła oczy. Była sama. Wreszcie.

W jego łóżku, co prawda, ale sama.

Usiadła powoli, oczekując fali bólu przeszywającego całe ciało, ból jednak, szczęśliwie, nie odezwał się. Lekarstwo, cokolwiek to było, skutkowało. Dotknęła ostrożnie ramienia. Na ranach utworzyła się elastyczna warstwa przypominająca żel. Odrzuciła kołdrę, którą była okryta, wstała. Nadal ani śladu bólu.

Pewnie jakieś radioaktywne świństwo, pomyślała i wzdrygnęła się. Nie ufała Toussaintowi, ale czuła, że raczej odzyskuje siły, niż je traci. Na tyle, by wynieść się z hotelu, zanim on wróci.

Jej ubranie nie nadawało się do niczego. Kupa łachmanów, w których nie mogła pokazać się na ulicy. Jego rzeczy za nic nie chciała włożyć, z dwojga złego wolałaby wyjść stąd nago. Instynkt samozachowawczy wziął jednak górę. Jeśli tylko w ten sposób mogła uciec od Toussainta, trudno, ubierze się w jego ciuchy...

Wszystko czarne. Tego mogła się spodziewać. Nie dość, że potwór, to jeszcze pretensjonalny. Jedyne spodnie, które od biedy mogła włożyć, stanowiły dół pizamy. Jak większość Francuzów Toussaint nie miał wcale bioder, a ona owszem, miała, całkiem krągłe.

Ale, ale... Toussaint nie był Francuzem. Nie potrafiła powiedzieć, skąd ta pewność, ale wiedziała, że przecucie jej nie myli. Miał doskonały akcent, sposób bycia Francuza, wszystko zdawało się potwierdzać informacje, które znalazła w sieci. Syn producenta broni z Marsylii. Nic dziwnego, że zajął się handlem. Od przemysłu zbrojeniowego do nielegalnej sprzedaży broni niedaleka droga.

Żonaty syn producenta broni, poprawiła się w myślach, wkładając

koszulę z delikatnego jedwabiu. Znowu moment oczekiwania na ból, ale nic nie poczuła. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę - pochmurny dzień, chlapa, deszcz ze śniegiem. Właściwie za wcześnie było jeszcze na śnieg, ale od kiedy jej świat stanął na głowie, Chloe nic już nie dziwiło.

Przetrzęsnęła cały apartament w poszukiwaniu pieniędzy, ale nie znalazła ani grosza, natrafiła natomiast na małą torebkę z białym proszkiem, prawdopodobnie kokainą albo heroiną, to akurat niewiele ją obchodziło. Niestety ani śladu pieniędzy, za które mogłaby kupić bilet na metro. Pozostawało jej iść pieszo, orientując się według Sekwany i majaczącej na tle szarego nieba wieży Eiffła. Bocznymi uliczkami i zaułkami dotrze jakoś na Marais, gdzie wynajmowały z Sylvią ciasną mansardę.

W każdym razie nie zamierzała tkwić w hotelu, czekając na powrót Toussainta. Chwyciła jego płaszcz, długi, czarny trencz z mięciutkiego kaszmiru, pachnący wodą kolońską tego drania. W pierwszej chwili miała ochotę odrzucić płaszcz z powodu zapachu, ale przemogła się i owinęła delikatną wełną, mówiąc sobie, że nie czas teraz na teatralne gesty.

Przecięgnęła dłonią po włosach. Były poprzypalane, postrzępione, ale nic nie mogła na to poradzić. Kiedy dotrze do domu, Sylvia na pewno coś wymyśli.

Mówił co prawda, że nie powinna wracać do swojego mieszkania, bo to zbyt niebezpieczne, ale zdążyła już poznać go na tyle, by nie wierzyć ani jednemu słowu tego podłego kłamcy. To on był niebezpieczny, a nie powrót do domu. Poza tym nikt nie znał jej adresu. Sylvia odnajmowała mansardę od jednego ze swoich byłych kochanków i ani ona, ani Chloe nie figurowały na liście lokatorów.

Poczta Chloe przychodziła do wydawnictwa, nadal korzystała z amerykańskiego numeru komórki i naprawdę mało prawdopodobne, by ktokolwiek mógł ją wytropić w wielkim Paryżu, chyba że bardzo by się starał, a nie sądziła, by była warta aż takiego zachodu.

Co nie oznaczało, że nie zamierza wrócić jak najszybciej do Ameryki. Owszem, za grosz nie ufała Bastienowi, ale w ciągu ostatniej doby wystarczająco dużo przeszła i dość zobaczyła, by zrozumieć, że los zetknął ją z bardzo niebezpiecznymi ludźmi. Jeśli Toussaint był tym „dobrym”, to wolała nie przekonywać się na własnej skórze, jacy w takim razie są ci źli.

Najbezpieczniej będzie się czuła w górach Karoliny Północnej, w towarzystwie swojej nadopiekuńczej rodziny. Paryż stracił dla niej cały urok. Szła powoli ulicami, z opuszczoną głową, w ponurym nastroju, owijając się szczelnie płaszczem przed wilgotnym chłodem.

Stopy drętwiały jej z zimna, ale buty przynajmniej nie uwierały. Zabawne, że pomyślał o tym, by zatrzymać się po drodze i kupić jej buty. Nie była w stanie zgadnąć, co myślał, czym się kierował i nie chciała nawet próbować. Pragnęła tylko jednego - uciec od Toussainta, wrócić do domu i raz na zawsze zapomnieć o Mirabel oraz o wszystkim, co się tam wydarzyło.

Była głodna, potwornie głodna. Nawet myśl o Hakimie nie łagodziła tego odczucia. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni miała coś w ustach, a dłużej już nie była w stanie funkcjonować na samej adrenalinie. Posili się, jak dotrze do domu. W domu czekało na nią jedzenie i ciepłe łóżko.

A jutro wsiądzie w pierwszy samolot, w którym będzie wolne miejsce, i wróci do Stanów. I następnym razem posłucha rodziców, kiedy będą jej tłumaczyć, że nie powinna rozbijać się po świecie.

Lekka mżawka zmieniła się w regularną śnieżycę. Chloe zatrzymała się na moment, oparła o mur. Musiała zaczerpnąć tchu, odsapnąć chwilę. Ludzie spieszyli się, pochłonięci własnymi sprawami, mijali ją z opuszczonym wzrokiem, nikt nie zwracał uwagi na dziewczynę w zbyt obszernym płaszczu kaszmirowym i czarnych spodniach od piżamy.

Otuliła się szczelniej płaszczem, starając się nie zwracać uwagi na delikatny zapach wody kolońskiej i ruszyła ociężale w dalszą drogę. Powoli zmierzchało, a ona chciała wrócić do domu przed zapadnięciem ciemności.

Bastien zmitrężył dłużej, niż przypuszczał. Franc nie robił problemów, szczególnie kiedy Bastien dał mu do zrozumienia, że potrafi być hojny. Dokumenty miały być gotowe na szóstą.

Zamierzał odebrać je, odwoząc Chloe na lotnisko, wtedy też Franc będzie mógł zrobić zdjęcie i wkleić je do paszportu. Cała operacja powinna zająć nie więcej niż kilka minut.

Chloe poleci Air France, kilka minut przed północą. Kiedy wsadzi ją do samolotu, będzie mógł wreszcie odetchnąć z ulgą i zająć się swoimi sprawami. Hakim zginął wcześniej, niż powinien, ale nie było to wielkie nieszczęście. Christos w ogóle się nie pokazał.

Przy odrobinie szczęścia Bastien miał szansę uratować jeszcze skórę, musiał tylko pozbyć się Chloe. Nie wiedział, dlaczego tak mu zależy, żeby wróciła bezpiecznie do Stanów, nigdy nie kierował się sentymentami.

tami.

Ot, jeszcze jeden kaprys, wybryk, z którego trudno mu będzie wytłumaczyć się przed Komitetem. Coś wymyśli, w każdym razie na pewno nie powie im prawdy. Wstąpił do jakiegoś baru i zamówił whisky z wodą sodową. Mżawka przeszła w śnieg. Bastien usiadł przy oknie i zapatrzył się w szarą ulicę. Czekał.

Facet, który usiadł naprzeciwko niego, wyglądał na brytyjskiego urzędnika. Nadęty, banalny, pozbawiony wyobraźni przedstawiciel klasy średniej w średnim wieku. Harry Thomason.

Pod tuzinkowym wyglądem krył się bezlitosny, precyzyjny człowiek-automat, żelazną ręką zarządzający Komitetem. Otrząsnął płatki śniegu z płaszcza, położył na stoliku gazetę, zamówił filiżankę kawy i dopiero wówczas spojrzał na Bastiena.

- Coś ty zrobił, Jean-Paul?

Bastien zapalił papierosa, pierwszego od dwóch dni, smakując dramatyzm sytuacji. Harry, jak wszyscy inni, z którymi stykał się w swojej robocie, nie znał jego prawdziwego imienia. Jean-Paul... tak się nazywał pewien milutki prosiak, ulubieniec ciotki Cecylii.

To było bardzo dobrze wychowane zwierzątko, ma się rozumieć. W ich rodzinie nie tolerowano by innego. Ciotka Cecylia podróżowała ze swoim wietnamskim wieprzkiem po całym świecie; Jean-Paul stawał w najlepszych hotelach Europy i Azji, aż pewnego razu zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach w czasie jednej z niezliczonych podróży, w których specjalizowały się ciotka i jego matka.

Tym razem wybrały się do Birmy. Bastien często się zastanawiał, czy

biedny Jean-Paul nie skończył przypadkiem w garnku jakiegoś birmańskiego smakosza. Może los w ten sposób ukarał świniaka, który pomimo doskonałych manier ugryzł kiedyś Bastiena w tyłek.

Bastien sam był sobie winien. Miał wtedy dwanaście lat, był znużony, nieposłuszny, generalnie miał dość ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce, czuł się jak część bagażu Cecylii i Marcie.

Świniak był bardziej rozpieszczony niż on, dlatego Bastien postanowił trochę go podrażnić, kiedy ulubieniec ciotki drzemał sobie smacznie na swoim wyściełanym futrem posłaniu. I tak świniak ugryzł Bastiena w pupę, zaskarbiając sobie tym samym u chłopca szacunek.

Cecylia przestała interesować się świniakiem na jakiś czas przed jego tragicznym zaginięciem, podobnie jak matka Bastiena przestała interesować się swoim jedynym dzieckiem, i to chyba zaraz po jego urodzeniu.

Dawała mu wszelkimi sposobami do zrozumienia, że sam się wprosił na ten świat, bez jej zachęty. Kochanek zabronił jej dokonać aborcji, a kiedy dowiedział się, że to nie on jest ojcem i spakował walizki, było już za późno na przeprowadzenie zabiegu. Biedna Marcie musiała donosić niechcianą ciążę.

Zawsze się zastanawiał, dlaczego zaraz po porodzie nie wyrzuciła go po prostu do kontenera ze śmieciami. Nawet tyle nie potrafiła dla niego zrobić w tę listopadową noc trzydzieści dwa lata temu. Może odezwały się w niej jakieś uczucia? Szkoda tylko, że tak szybko pierzchły.

A może po prostu nie miała sił pozbyć się dziecka. Poród był bardzo ciężki, zaraz potem została poddana operacji, usunięto jej macicę i jajni-

ki. Ledwie przeżyła, ale miała przynajmniej pewność, że już nigdy nie znajdzie w ciąży.

Czasami fantazjowała i opowiadała, jak to w szpitalu, kiedy otarła się o śmierć, próbowała targować się z Bogiem, w którego jakoby wierzyła. Jeśli przeżyje, będzie dobrą matką...

Oczywiście nie dotrzymała obietnicy. Była fatalną matką. Bastiena wychowywały raczej, jeśli w ogóle można mówić o wychowaniu, hotelowe pokojówki. Kiedy miał piętnaście lat, zwiął z przyjaciółką Marcie, kobietą dwa razy starszą od niego, która miała ciało nastolatki i serce...

Cóż, miała serce. Kochała go. Była chyba pierwszą osobą, która go kochała. Rozstał się z nią w Maroku, dwa lata później. Po prostu odszedł, kiedy poszła na zakupy, kupić kolejne prezenty dla niego. Lubiała go stroić w eleganckie rzeczy. Wcześniej nauczył się doceniać wytworne ubrania, jedwabne garnitury. Umarła kilka lat później, ale wiadomość o jej śmierci niewiele go obeszała.

Został zwerbowany, gdy miał dwadzieścia kilka lat, przez człowieka bardzo podobnego do Harry'ego Thomasona, zimnego drania, który doskonale wyczuł, że Bastien może być mu użyteczny, o ile zostanie odpowiednio wyszkolony. I został odpowiednio wyszkolony, a jakże.

Polityka, moralność nic dla niego nie znaczyły. Pracował niby dla „dobrej” strony, ale szybko się przekonał, że między „dobrą” a „złą” stroną nie ma w zasadzie żadnej różnicy. Po obydwu padały trupy i nikt nie próbował nawet liczyć niewinnych ofiar, ludzi, których przypadkowo porwał wir wydarzeń. Nikt się nimi nie przejmował, on też nie, prawdę mówiąc.

Chloe Underwood była przedziwnym wyjątkiem, pierwszą i jedyną osobą, którą postanowił się zaopiekować, zanim skrzywdzą ją ludzie pokroju Harry'ego Thomsona.

- Co się wydarzyło w Mirabel?

Tego Bastien najbardziej nienawidził w Harrym. Facet nigdy nie przeklinał, nawet w sytuacjach, kiedy każdy miałby ochotę bluznąć stekiem śmierdzących wyzwisk.

- Wszystko poszło nie tak. Co mogę ci powiedzieć? - Zgasił papierosa. Przestał mu nagle smakować.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało z dziewczyną? Co to za jedna?

- Dziewczyna?

- Nie udawaj głupka, Jean-Paul. Nie byłeś jedynym agentem w Mirabel. Ta mała Amerykanka, dla kogo pracowała? I co się z nią stało?

Bastien wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, co ty. Według mnie wynajął ją baron. Być może dla rozrywki. Wiesz, jak lubi patrzeć, kiedy Monique uprawia seks z kobietami.

Harry zmarszczył nos z niesmakiem.

- Nie próbowałaś się dowiedzieć, kto to jest?

- Owszem, próbowałem, szefie - wycedził, wiedząc, że Harry nie znosi, kiedy nazywa się go „szefem”. - Nic nie powiedziała. Nie udało mi się nic z niej wyciągnąć.

Harry przyglądał mu się długą chwilę bez słowa.

- Jeśli tobie nie udało się nic z niej wyciągnąć, to znaczy, że nie było nic do wyciągnięcia. Mogę powiedzieć o tobie jedno, jesteś najlepszym

specem od przesłuchań, jakiego mamy. Lepszym niż ktokolwiek z przeciwnej strony, nawet nieboszczyk Gilles Hakim. On za bardzo lubował się w tej robocie. Powiedz mi, co się przydarzyło naszemu staremu przyjacielowi i co stało się z dziewczyną?

- Nie żyją. - Zapalił kolejnego papierosa. Nie miał ochoty palić, nawet gitany były pozbawione smaku, ale papieros dawał mu zajęcie.

- Zabiłeś oboje?

- Tylko Hakima. On zdążył wcześniej wykończyć dziewczynę.

- Co stało się z jej ciałem?

Bastien wypuścił kilka kółek dymu.

- Niewiele zostało po tym, jak Hakim się do niej dorwał.

- Rozumiem. - Harry upił łyk kawy. Nie palił, nie pił i chyba z nikim nie uprawiał seksu, na ile Bastien miał rozeznanie w jego obyczajach. Był jak maszyna. Człowiek-automat. Bastiena szkolono na kogoś podobnego. - Trochę za wcześnie - ciągnął - ale jeszcze nic straconego. Hakim i tak był przeznaczony na odstrzał, natomiast Bastien Toussaint nadal jest nam potrzebny. Cała wesoła ekipa z Mirabel zjeżdża do Paryża dokończyć rozmowy. Przewidujemy, że dołączy do nich spóźniający się Christos. Zaczekasz tu na nich.

- Myślisz, że nadal będą chcieli ze mną rozmawiać? Nie będą się zastanawiać, dlaczego zabiłem Hakima?

- Znają ciebie, dobrze znali Hakima. Nad czym mieliby się zastanawiać? Dla nich liczą się tylko uzgodnienia, nowy podział strefy wpływów i wybór nowego szefa. Być może wybraliby Hakima, bo ten sukinyś potrafił harować za dziesięciu. Teraz prawie pewnym kandydatem

jest Christos. A ty musisz uniemożliwić jego wybór.

- Nad śmiercią Hakima być może przejdą do porządku dziennego, ale Christos ma za sobą zbyt potężną organizację. Jego śmierć wywoła reperkusje.

- I wtedy ty zginiesz - odparł Thomason.

Bastien nawet nie mrugnął.

- Tak?

- To bardzo proste. Robiłeś już takie rzeczy wcześniej, a nawet gdybyś nie robił, nie pozbawiłbym cię tej przyjemności. Kiedy wybiorą Christosa, zaczniesz się burzyć, przyłożysz mu lufę do skroni, strzelisz, a wtedy ktoś, kogo już podstawiliśmy, zabije ciebie. Będziesz miał pod koszulą pojemnik wypełniony krwią. Kiedy usłyszysz strzał, zwalisz się jak kłoda na ziemię. To oznacza, że musisz załatwić Christosa jedną kulką.

- Zawsze celnie strzelałem.

- To prawda. Bastien Toussaint zginie, a ty, jeśli będę w dobrym humorze, pojedziesz sobie odpocząć na południe Francji przed następną misją.

Bastien zapalił kolejnego papierosa, na którego nie miał najmniejszej ochoty.

- A kartel?

- Po śmierci Hakima i Christosa zapewne wybiorą barona, a jego łatwo kontrolować. Nie chcemy zamykać ich sklepiku. Ktoś przecież musi sprzedawać broń terrorystom. Niech to będą ludzie z kartelu, których ruchy jesteśmy w stanie monitorować. Przez nich docieramy do kupujących, znamy ich plany.

- W kwietniu dostarczyłem detonatory do Syrii. Zginęły siedemdziesiąt trzy osoby, w tym siedemnaścioro dzieci. - Bastien powiedział to obojętnym tonem, ale Thomason zrozumiał przesłanie.

- Nie mów mi, że nie śpisz przez to po nocach. Na wojnie jak na wojnie, mój chłopcze. To są ofiary walki z terroryzmem. Zaczynasz robić się sentymentalny, Jean-Paul. Znasz arytmetykę równie dobrze jak ja. Siedemdziesiąt trzy ofiary i tysiące potencjalnie uratowanych. Czasami człowiek staje przed takimi właśnie wyborami.

- Naturalnie - przytaknął Bastien, wydmuchując dym.

- Ufam ci, Jean-Paul. Wiem, że nigdy nie przyszłoby ci do głowy okłamać mnie. Skoro mówisz, że dziewczyna nie żyje, to znaczy, że tak jest. Po co miałbyś kłamać? Znam cię tyle lat i nigdy nie widziałem, byś dał się ponieść emocjom. Żadnych słabości. Jesteś jak maszyna. Doskonała, niezawodna maszyna.

- Nawet maszyna musi czasem odpocząć. Niech ktoś inny wykona tę robotę, a ja zniknę. Jensen jest dobry, niech on zajmie się Christosem.

- Dlaczego?

- Czuję się zmęczony.

- W naszym fachu nie ma czegoś takiego jak zmęczenie, czas wolny, odpoczynek. Jest tylko jedna droga, żeby się wycofać. Ta, w którą wyprawiłeś Hakima.

- Czy to groźba? - Bastien powoli, metodycznie zdusił niedopałek papierosa.

- Nie, to tylko stwierdzenie faktu. Kartel spotyka się jutro w hotelu

„Denis”, Christos ma przyjechać pojutrze. Reszta należy do ciebie, mój chłopcze. Ufam, że zrobisz, co trzeba.

- Czyżby?

- Nie denerwuj mnie, Jean-Paul. Doskonale wiesz, ile od tego zależy. - Thomason wstał od stolika, złożył starannie gazetę.

- Los wolnego świata? Jak zawsze. - Bastien nie podniósł się na pożegnanie. - Nie raz i nie dwa słyszeliśmy ten refren. Dobro większości ważniejsze od dobra mniejszości, ple, ple. Obejrzałeś za dużo odcinków „Star Trek”.

- Myślałem, że to z „Wojen gwiazdnych” - zmartwił się Harry.

- Wiem, o co toczy się gra.

- Postaraj się w takim razie nie zapominać o tym.

Bastien spojrział na Harry'ego. Jego czas się kończył. Było mu wszystko jedno, co dalej. I tak szczęściło mu się znacznie dłużej, niż przewidywał. Koło fortuny w końcu się obróciło. Kiedy spadnie pierwszy śnieg, będzie po nim. Zaraz, właśnie spadł pierwszy śnieg.

Zanim go dostaną w swoje ręce, zdąży poderżnąć gardło Harry'emu Thomasonowi. To będzie jego rozliczenie z „szefem”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chloe oczywiście znikła. Wiedział to, zanim wszedł do windy, ale pomimo wszystko pojechał na górę, żeby się upewnić. W pokoju było ciemno i potwornie zimno; Chloe zostawiła otwarte okno i teraz we wnętrzu hulał przeciąg, na parapecie osiadały płatki śniegu.

Bastien zamknął okno, zaciągnął zasłony i dopiero wtedy zapalił światło. Nie wiedział, czy jest obserwowany, ale wolał nie ryzykować.

Drzwi nie nosiły śladów włamania, w pokoju nie dostrzegł też śladów walki. Zostawiła swoje ubranie, brakowało natomiast jego płaszcza, no i musiała wziąć coś z jego garderoby, bo ktoś przerzucił zawartość komody, buszował w szafie. Porywacze raczej nie zawracaliby sobie głowy takimi drobiazgami. Jacy porywacze... Gdyby ktoś złożył jej wizytę, Bastien znalazłby w pokoju zwłoki Chloe.

Co oznaczało, że opuściła hotel z własnej inicjatywy. I tu kończyła się jego odpowiedzialność. Ostrzegł ją. Kierowany jakąś głupią donkiszoterią chciał ratować jej życie. Ryzykując przy okazji, że się zdemaszkuje przed ludźmi kartelu. A ona związała, mając w nosie jego przestrogi. Bardzo mądrze.

Musiała bardzo dokładnie przeszukać cały apartament, co go trochę zdziwiło. Co spodziewała się znaleźć? Może jednak dał się nabrać? Może jednak była agentką działającą na czyjeś zlecenie? Przypomniawszy sobie wyraz jej twarzy, kiedy szczytowała; w takiej chwili, wtedy, nic by przed nim nie ukryła. Harry Thomason miał rację. Jean-Paul z każdego potrafił wydobyć prawdę, jeśli mu na tym zależało.

Znalazła narkotyki, ale ich nie tknęła. Miał zawsze pod ręką jedną, dwie torebki, była to forma wynagrodzenia dla informatorów, na których pieniądze nie robiły wrażenia. Oczywiście za zdobytą w łatwy sposób kasę każdy mógł sobie kupić działkę, ale widok dyskretnie podsuwanego białego proszku czynił niekiedy cuda.

Wsunął narkotyki do kieszeni, na wszelki wypadek, gdyby miały mu

się przydać w najbliższych godzinach, po czym starannie wytarł wszystkie powierzchnie, na których Chloe mogła pozostawić swoje odciski.

Gdyby był bardziej dokładny, można rzec obsesyjnie dokładny, powinien puścić z dymem swój apartament. Nikt by nie ucierpiał, bo zajmował lokum na ostatnim piętrze, goście i personel hotelu zdążyliby się bezpiecznie ewakuować z zagrożonego pożarem budynku.

Ale ogień mógłby niepotrzebnie zwrócić uwagę na tajemniczego lokatora. Lepiej było po prostu zamknąć za sobą drzwi, zniknąć i spróbować zapomnieć o Chloe Underwood i czekającym ją losie, bo sama tak zdecydowała.

Wyszedł na ulicę, postawił kołnierz kurtki, osłaniając się przed wiatrem i śniegiem, oraz klnąc na czym świat stoi na swojego kłopotliwego gościa. Chloe nie tylko nie posłuchała jego poleceń, w dodatku zwędziła mu ciepły wełniany płaszcz. Ruszył przed siebie pieszo, nie chciał brać samochodu. Zbyt wielu ludzi znało ten wóz.

Zbliżała się północ, kiedy wszedł do zadymionego baru przy rue de Rosiers, trzeciego już, do którego wstępował po drodze. Zjadł kolację w pobliżu Opery, potem zajrzał do kasyna, w którym bywał czasem jako Bastien Toussaint, a teraz trafił do podłej dziury na Marais, która ostała się jakimś cudem pomimo forsownego pomadowania, jakiemu poddawano od kilkunastu lat całą dzielnicę wokół reprezentacyjnego Centrum Pompidou.

- Jak się masz, Etienne! - przywitał go barman, kiedy Bastien przeciskał się przez tłum gości. - Co cię sprowadza? Dawno cię nie widziałem. Kiedy to zaglądałeś do nas ostatnio? Ze dwa lata temu? Już my-

ślałem, że nie żyjesz.

- Trudno mnie utłuc - powiedział, machinalnie przyjmując gardłowy marsylski akcent, jakim posługiwał się Etienne. - A co u ciebie, Fernand? Barman wzruszył ramionami.

- Jakoś leci. Czego się napijesz? Ciągłe gustujesz w rosyjskiej wódce?

Prawdę powiedziawszy, Bastien nigdy nie lubił wódki, ale skinął głową, usiadł przy barze i wyciągnął papierosa.

- Widzę, że zmieniłeś gatunek. – Fernand wskazał gitany. - Myślałem, że palisz tylko amerykańskie.

To jedno z tych głupich niedopatrzeń, przez które człowiek może stracić życie, pomyślał Bastien, jakby tknięty przeczuciem. Zaczynał popełniać błędy. Niedobrze.

- Przerzuciłem się na francuskie - powiedział lekkim tonem. - Nie lubię się przyzwyczajać.

- To pamiętam. - Barman nalał mu wódki, Bastien wychylił ją jednym haustem i podsunął Fernandowi pusty kieliszek do napełnienia. - Nic się nie zmieniłeś. Coś porabiał przez te dwa lata?

- Nie ma o czym opowiadać. Zawsze to samo. Człowiek żyje, bo musi. - W rzeczywistości wyglądał zupełnie inaczej niż Etienne, w którego wcielał się kilka lat wcześniej.

Tamten był robotnikiem, nosił dzinsy i skórzane kurtki, strzygł się krótko, zwykle nosił kilkudniowy zarost. Wszystko zależało od wyglądu, sposobu bycia, mówienia, gestykulacji. Mógł być Bastienem, Etienne'em, Jeanem-Paulem, Svenem, Frankiem, kimkolwiek...

Wystarczyło dobrać odpowiednie ciuchy, fryzurę, zmienić nieco akcent i pojawiała się nowa postać, której wiarygodności nikomu nie przyszłoby nawet do głowy kwestionować.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co cię sprowadza - nalegał Fernand. - Jest sprawa do załatwienia?

Fernand handlował trochę narkotykami oraz ciekawymi informacjami, czasami prał brudne pieniądze, ale dzisiaj nie mógł w żaden sposób pomóc Bastienowi.

- Nie można już wpaść na jednego, odwiedzić starego przyjaciela? - zbył go Bastien.

- To nie w twoim stylu.

Bastien spojrział w okno. Śnieg ciągle padał. Duże płatki, powoli wirując, opadały na mokry trotuar wyludnionej o tej porze ulicy. Ci, którzy jeszcze nie spali, kryli się przed śnieżną chlapą w ciepłych, zacisznych wnętrzach. Tylko mnie nie wiedzieć jakie лихо nosi w zimną, wietrzną noc po pustym Paryżu, pomyślał z rozbawieniem.

- Chodzi o kobietę, Fernand - powiedział i uśmiechnął się uśmiechem pełnym politowania dla własnej głupoty. - Byłem u pewnej damy, tutaj niedaleko, trochę się przemówiliśmy i postanowiłem wpaść do ciebie na drinka, zanim do niej wrócę.

- Rozumiem. - Fernand wreszcie poczuł się poinformowany. - Mówisz, że mieszka w okolicy? Może ją znam?

- Możliwe. To Włozka - zmyślił szybko Bastien. - Niewysoka, pulchna i strasznie kłótniwa, oto moja Marcella. Może czasami zagłąda do ciebie? Chyba przyprawia mi rogi. Przysięga, że poza mną nie ma ni-

kogo, ale czy to można ufać kobiecie?

- Co prawda, to prawda. Nie kojarzę jej. Gdzie ona dokładnie mieszka?

Chloe wynajmowała maleńkie mieszkanie dwie ulice dalej. Bastien znalazł jej adres w dwie godziny po tym, jak zjawiała się w Mirabel. Inni mogli zdobyć go równie łatwo. Chloe miała chyba na tyle rozumu, by trzymać się z dala od własnego mieszkania, gdzie w pierwszym rzędzie złożą wizytę ci, którzy na nią polują.

Okazałaby się na tyle lekkomyślna, żeby tam pójść? Bastien nie dałby sobie ręki uciąć. Jeśli chodzi o Chloe, niczego już nie był pewien. Ale też nie musiał. Niech sama się o siebie martwi. On zrobił, co w jego mocy, żeby ją ratować. Nawet więcej.

I nie wiedzieć po co siedział teraz w barze o dwie ulice od jej mieszkania. Skoro już tu dotarł, może się tam pofatygować, sprawdzić, czy Chloe jest w domu. Jeśli jej nie zastanie, spokojnie wymaże ją z pamięci. Już powinien był to zrobić, ale łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Nie lubił niewyjaśnionych sytuacji, a zniknięcie Chloe pozostawiło zbyt wiele znaków zapytania.

Fernand przyglądał mu się ciekawie, wręcz natrętnie. Nie na darmo handlował informacjami. Chciał wydobyć z Bastiena jak najwięcej. Zbierał najbardziej banalne plotki, bo nigdy nie wiadomo, na czym i kiedy można zarobić.

Bastien wymienił jakąś ulicę położoną w przeciwnym kierunku.

- Powinienem się zwijać, zanim moja pani zacznie mnie szukać.
- Pewnie będziesz teraz częściej zaglądał, skoro twoja przyjaciół-

ka mieszka w pobliżu. - Fernand potrafił być naprawdę namolny.

- U ciebie zawsze znajdę bezpieczne schronienie - oznajmił z emfazą i dotknął kantem dłoni gardła, czyniąc powszechnie znany gest.

- Dobranoc, mój stary.

Po wyjściu z baru skrył się w cieniu. Widział, jak Fernand wybiega za nim, stara się wypatrzeć, w którą stronę poszedł. Biedny handlarz informacjami nie miał pojęcia, że od Bastiena dzieli go zaledwie kilka metrów. Rozejrzał się w lewo, w prawo, pobiegł do najbliższego rogu i zaraz wrócił, klnąc szpetnie, po czym wyciągnął komórkę.

Bastien ledwie mógł dosłyszeć, co tamten mówi do telefonu, ale wystarczyło tych kilka słów, które wyłapał, by zrozumieć, że pierścień wokół niego się zacieśnia. Jeszcze jeden taki błąd i będzie po nim. Najgorsze, że nic sobie z tego nie robił. Wszystko jedno, dla kogo Fernand pracował. Znał przynajmniej pół tuzina ludzi, którzy chętnie zobaczyliby Bastiena w trumnie.

Barman zamknął telefon, ponownie się rozejrzał, splunął na trotuar i wrócił do lokalu. Niedługo powinien się pojawić jego rozmówca.

Ale to też nie miało znaczenia. Ktokolwiek się pojawi, za pięć minut czy za piętnaście, nie znajdzie już Bastiena. Nie potrzebował wiele czasu, by sprawdzić mieszkanie Chloe. A potem, jeśli nie jest samobójcą, pójdzie do swojego mieszkania na St-Germain-de-Pres i znowu wejdzie w skórę Bastiena Toussainta. A panna Chloe Underwood niech robi, co jej się żywnie podoba.

Sylvia i Chloe wynajmowały maleńkie mieszkanko na ostatnim piętrze kamienicy w biedniejszej części Marais. Na parterze mieściła się

trafika i mieszkanie kioskarza, na pierwszym piętrze mieszkało jakieś starsze małżeństwo, które lata emerytury spędzało na podróżach, na poddaszu znajdowała się mansarda i strych.

Kiedy Chloe dotarła wreszcie pod dom, w żadnym oknie nie paliło się światło. Przypalone włosy, wilgotne teraz od śniegu, śmierdziały okropnie. Zaraz po wejściu do mieszkania zamierzała wziąć kąpiel i porządnie się wyszorować od stóp do głów, nie omijając posmarowanych tajemniczym zielonym płynem ran. Dawno minęły przepisane cztery godziny.

Otulona w płaszcz Bastiena przeszła przez Paryż bez problemów, nikt nie zwracał na nią uwagi.

Bastien...

Za dwadzieścia lat wspomni go może i będzie zachodzić w głowę, co w nią wstąpiło. Najchętniej powiedziałaaby sobie, że była pod wpływem środków odurzających, zrzuciłaby winę na „czynniki zewnętrzne”, „okoliczności”, byle uwolnić się od odpowiedzialności. Nie mogła.

Owszem, była odurzona, ale nie narkotykami, tylko...

Nie rozumiała zupełnie, co się z nią dzieje. Znudzona, tęskniła za przygodą. Dokładniej mówiąc, tęskniła za seksem i przemocą, no i dostała, co chciała. Uważaj, żeby twoje życzenie się nie spełniło. Stare, mądre chińskie powiedzenie. A może chodziło o zupełnie inne: Obyś żyła w ciekawych czasach?

Wszystko jedno. Teraz marzyła o kąpeli i ciepłym łóżku. Wykapie się, wyśpi i jutro wsiądzie do samolotu, by po kilkunastu godzinach znaleźć się pod opiekuńczymi skrzydłami kochanych rodziców. Wróci do

swojej cudownie nudnej egzystencji. Czy można chcieć czegoś więcej?

Nagle uświadomiła sobie, że nie ma kluczy ani do bramy, ani do mieszkania. Omal nie jęknęła na cały głos. Bolały ją nogi, cuchnęła jak zmoknięty pies, była wyczerpana, przemarznięta i potwornie głodna.

Na policję nie mogła pójść. Zaczęliby zadawać pytania, na które wolą nie udzielać odpowiedzi. Pozostawała ambasada, ale od tej dzieliły ją dobre dwa kilometry, a ona nie była pewna, czy uszłaby jeszcze kilka metrów nocnymi ulicami Paryża, w wietrze i deszczu ze śniegiem. Szczęście jej sprzyjało, bo ktoś nie domknął bramy.

Weszła do sieni, wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło i natychmiast ją cofnęła. Lepiej nie zwracać niczyjej uwagi swoją obecnością. Znała przecież świetnie drogę, trafi na ich piętę z zamkniętymi oczami.

Mało prawdopodobne, by ktoś ustalił, gdzie mieszka, ale Bastien posiał w jej głowie niepokój. Tak, pokonanie schodów po ciemku będzie znacznie bezpieczniejszą metodą dotarcia do mieszkania, zdecydowała.

Drzwi mansardy zastała, oczywiście, zamknięte, ale Sylvia na wszelki wypadek zostawiała zawsze klucz na parapecie w korytarzu, przyzwyczajona do tego, że Chloe gubi swój z męczącą regularnością. Weszła do mieszkania i owionęło ją zimne powietrze.

Zamknęła drzwi, oparła się o nie i powoli wypuściła powietrze z płuc. Nie było jej w domu ledwie dwie doby. Dwie noce. Sylvia spędzała długi, upojny weekend z kochankiem w Raphael. Nic dziwnego, że jeszcze nie wróciła. Tym lepiej.

Chloe, nie zapalając światła, przeszła do łazienki, włączyła piecyk gazowy, puściła wodę do wanny, po czym uchyliła drzwi do sypialni Sylvii, zerknęła tylko na łóżko i cofnęła się natychmiast. Nawet w słabej poświacie księżyca można było dostrzec, że panuje tu totalny nieład, jak po wybuchu bomby.

Sylvia wyrzuciła chyba całą zawartość szafy na środek pokoju, pakując walizkę dla przyjaciółki, która z jej inicjatywy miała spędzić kilka uroczych dni w wiejskim pałacu. Nie ucieszy się raczej na wiadomość, że wszystkie rzeczy, w które wyposażyla Chloe, przepadły.

Nie szkodzi. Kiedy wróci, a znając ją, można było spokojnie zakładać, że jej weekend przeciągnie się do tygodnia albo dłużej, nie zostanie już przyjaciółki. Chloe zaraz po przyjeździe do Stanów zamierzała przesłać jej jakieś pieniądze, tak by Sylvia mogła powetować sobie straty w garderobie oraz płacić czynsz bez uszczerbku dla własnej kieszeni, zanim nie znajdzie nowej współlokatorki.

Chloe nie dysponowała nigdy oszałamiającymi sumami, za to jej rodzice zarabiali tyle, że nie wiedzieli, co robić z pieniędzmi. Uszczęśliwieni, że marnotrawne dziecko wróciło na łono rodziny, będą posyłać Sylvii tyle, że nie będzie musiała o nic się martwić.

Nie patrząc w lustro, zrzuciła z siebie ciuchy Bastiena i weszła do wanny, pewna, że za chwilę poczuje piekący ból, ale cudowny medykament działał nadal. Z rozkoszą zanurzyła się w ciepłej wodzie. Zamknęła oczy, szczęśliwa, że wreszcie ma koszmar za sobą.

W końcu woda wystygła i trzeba było wrócić do rzeczywistości. Chloe wyszła z wanny, nie spoglądając w lustro. Wolała nie sprawdzać,

jak wygląda jej ciało po spotkaniu z Hakiem i ozdrowieńczych zabiegach Bastiena. Dopiero kiedy owinęła się ręcznikiem, zerknęła, w jakim stanie są jej włosy. Wyglądała koszmarnie, a że na pomoc Sylvii, ze zrozumiałych względów nie miała co liczyć, musiała uporać się sama ze spustoszeniem na głowie.

Znalazła nożyczki i zaczęła wyrównywać to, co jeszcze miała na głowie po kuracji rozgrzanym sztyletem. Kolejne kosmyki opadały do umywalki, a jej stanęła przed oczami Melanie Griffith w „Pracującej dziewczynie”, która w porywie determinacji ścina włosy i z banalnej sekretarki o rozpaczliwie prowincjonalnym wyglądzie zmienia się, za dotknięciem czarodziejskich nożyczek, w wyrafinowaną nowojorską kobietę sukcesu. Nic z tego.

Odłożyła nożyczki, zanim zdążyła oszpeciść się do końca. Jak wyschną, będą prezentować się odrobinę lepiej. Fryzjer matki załamię najpierw ręce z rozpaczy, a potem zakasze rękawy i za kilka dni Chloe będzie wyglądała jak Melanie Griffith po transformacji w światową ślicznotkę. Na razie przypominała kota, który wpadł do beczki z deszczówką.

W mieszkaniu zrobiło się na tyle ciepło, że mogła uchylić trochę okno, żeby wywietrzyć. Potem wyciągnęła najcieplejszą koszulę nocną, jaką posiadała - długie, zapinane pod szyję flanelowe cudactwo, którego widok doprowadzał Sywzię do drgawek. Ale Sylvii nie było, nie mogła się naśmiewać z flanelowego worka, a Chloe potrzebowała dzisiaj czegoś bardzo miękkiego i ciepłego, co by ją otuliło jak bezpieczny kokon.

Nie znalazła nic do jedzenia poza płatkami owsianymi i serem. Zja-

dła dwie miski, popiła kieliszkiem wina i wsunęła się pod kołdrę. Marzyła o łóżku, o długim, spokojnym, krzepiącym śnie.

I tu okazała bezbrzeżną naiwność. Ledwie zasnęła, zaczęły ją męczyć koszmary. Znowu widziała pochyloną nad sobą twarz Hakima, słyszała jego łagodny głos, straszniejszy niż najstraszniejsza wściekłość, czuła na ciele rozżarzone ostrze noża.

W jej koszmarach nic nie było w stanie powstrzymać Hakima przed zadawaniem kolejnych tortur. Nie przestawał znęcać się nad nią. Umierała, żegnana jego pełnym aprobaty uśmiechem. Jej męki obserwował Bastien, który siedział w fotelu przypominającym tron, otoczony wianuszkami kobiet. Sączył powoli whisky i patrzył, jak uchodzi z niej życie, jak wykrwawia się na śmierć.

Wiedziała jednak, w jakimś zakamarku świadomości, który nie śnił, że to tylko mara, że to nie dzieje się naprawdę. Jednak sen trwał. Już się nie wykrwawiała, nie umierała. Leżała w białym, przystrojonym koronkami łożu, Bastien na niej, w niej. Kochał się z nią powoli, każdy ruch wykonywał z rozmysłem, doprowadzając ją w końcu do spazmu rozkoszy.

Było jej gorąco. Zimno. Kołdra zdawała się zbyt ciężka. Zbyt lekka. A ona cały czas czuła obecność Bastiena. Był tuż obok, blisko. Nozdrza drażnił zapach jego wody kolońskiej. Nie chciała śnić. Nie chciała pamiętać. Pragnęła zapaść się w ciemność i spać spokojnym snem bez koszmarów.

Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił czwartą. Powinna wstać, zamknąć okno, ale w końcu rozgrzała się, uspokoiła i czuła, że teraz zdoła wreszcie zasnąć. Kiedy już się wyśpi, wypocznie, nabierze

sił, zastanowi się, co dalej, będzie w stanie stawić czoła rzeczywistości. Teraz chciała tylko zawinąć się w kołdrę i ukryć przed samą sobą.

Coś było nie tak. Nic dziwnego. W jej życiu prawie wszystko było nie tak. Jutro... jutro spojrzy na świat z większym optymizmem.

Obróciła się, wyciągnęła dłoń spod kołdry i zaczęła szukać płaszcza Bastiena. Chciała się nim okryć, a pamiętała, że przewiesiła go przez oparcie krzesła, które stało tuż obok łóżka. Płaszcz nie było, w każdym razie nie mogła wyczuć dłonią miękkiej wełny.

Otworzyła oczy i w księżycowej poświacie dojrzała... nie płaszcz, lecz jego właściciela. Siedział nieruchomo na podłodze, oparty o ścianę i przyglądał się jej uważnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W pierwszej chwili pomyślała, że nadal śni, że to tylko senna mara.

- Masz szczęście, że jeszcze żyjesz - odezwała się senna mara. Ten niski, miękki głos brzmiał aż nazbyt realnie.

Nie zamierzała się z nim sprzeczać co do prawdziwości tego stwierdzenia, choć miała wielką ochotę. Leżała bez ruchu, licząc na to, że mara zniknie, rozwieje się bez śladu. Ale Bastien ani myślał się rozwiewać. Siedział obok łóżka i sprawiał, niestety, wrażenie człowieka z krwi i kości.

- Jak tutaj wszedłeś?

Siedział sobie wygodnie, nogi wyciągnął przed siebie, ręce założył na piersi, oparty plecami o ścianę.

- Mówiłem ci, że znajdą cię bez wysiłku. Byłem szybszy, ale oni mogą pojawić się tu lada moment. Będą nas mieli w ręku.

- Nas?

Przechylił lekko głowę i spojrzał na nią spod oka.

- Nie lubię zostawiać niedokończonych spraw. Jeden samolot już przepuściłaś. Polecisz następnym, choćbym miał cię obezwładnić, związać, zapakować do kufra i tak wyekspediować za ocean.

Chciała zapalić lampkę nocną, ale powstrzymał ją, chwytając za nadgarstek. Chloe szarpnęła się, przewracając przy okazji lampkę.

- Obejdziemy się bez światła - syknął. - Jedna mądra rzecz, którą zrobiłaś, to że nie zapaliłaś światła po powrocie do domu. Jeśli będą chcieli skończyć z tobą, zrobią to i po ciemku, ale nie ma sensu ułatwiać im zadania.

- Skąd wiesz, że nie zapalałam światła?

- Byłem pod twoim domem, zanim tu dotarłaś. Wyglądałaś jak dziewczynka z zapalkami. Pomyślałem, że kilka godzin snu dobrze ci zrobi, ale zwinęłaś mój płaszcz i przemarzłem na kość.

- Prawdziwa tragedia.

Nie pytała go, co widział, w którym momencie wszedł do mieszkania. Miała nadzieję, że nie przyglądał się, jak bierze kąpiel, obcina włosy... Wolą nie wiedzieć.

Poczęstował się winem. Butelka i kieliszek stały na podłodze, w zasięgu jego ręki. Nie wiedziała, jak długo tu siedział. I jak długo spała.

- Czemu zmieniłeś zdanie? - Podciągnęła kołdrę pod brodę i usiadła, przesuając się w róg łóżka, jak najdalej od Bastiena.

- Zmieniłem zdanie? W jakiej kwestii? - Bastien nie zrozumiał pytania.

- W kwestii mojej osoby. Spędziłam sporo czasu z Hakimem. To był nadzwyczaj rozmowny człowiek. Lubił gawędzić, zadając tortury. To od ciebie się dowiedział, czego szukałam w internecie. Gdyby nie twoje informacje, myślałby, że jestem, kim jestem.

- Myślałby, że jesteś, kim jesteś? Hakim od początku ci nie ufał i moje informacje nie miały żadnego wpływu na jego decyzje. Nie mogłem nic zrobić. A to, że pokazałem mu, czego szukałaś w sieci, tylko przyspieszyło sprawę.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego potem postanowiłeś mnie ratować.

- Wcale nie postanowiłem cię ratować.

- To po co przyszedłeś do tego pustego pokoju w starym skrzydle? Popatrzeć, jak mnie pan Hakim żywcem przypieka?

Bastien wzruszył ramionami.

- Byłem zdziwiony, że jeszcze żyjesz. Hakim musiał wyjątkowo dobrze się bawić, skoro tak odwlekał finał. Prawie cię nie tknął.

- Prawie mnie nie tknął!?! - Chloe krzyknęła tak głośno, że Bastien zerwał się, dobiegł do niej, przyparł do ściany i zasłonił jej usta dłonią. Nie tak dawno przypierał ją w innym pokoju, do innej ściany. Zastanawiała się, co teraz zrobi, a wszystkiego mogła się po nim spodziewać.

- Nie podnoś głosu - syknął, zbliżając twarz do jej twarzy. - Postaraj się zachowywać rozsądnie, chociaż wiem, że w twoim przypadku to mocno wygórowane żądanie.

Cofnął dłoń. Chloe milczała, wpatrywała się w niego oniemiała, pewna, że zaraz jej dotknie. Pocałuje ją. A ona wcale nie była pewna, czy będzie się broniła.

Nie dotknął jej.

Nie pocałował.

Odsunął się, wstał i wrócił na swoje miejsce na podłodze.

- Poszedłem do Hakima, bo miałem z nim coś omówić, zobaczyłem, że jeszcze dychasz, coś mnie naszło, więc go zabiłem.

Ot tak, po prostu... Hm...

- Coś cię naszło, tak? - spytała Chloe z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się czarująco. Morderca o francuskim wdzięku. Akurat! Morderca z pewnością. Ale czy Francuz? Mocno w to wątpiła.

- Właśnie, coś mnie naszło. Może sam szukam śmierci. Od dawna żyję na kredyt. Wybawienie cię z opresji tylko przyspieszy mój koniec. Gdybym miał trochę rozumu, powinienem był machnąć ręką, kiedy postanowiłaś dzisiaj zniknąć z hotelu. Nie machnąłem, bo mnie zezłościłaś. Ja się narażam, żeby cię ratować, a ty nawet nie stosujesz się do moich poleceń.

- Nigdy nie byłam szczególnie posłuszna. Gdybym słuchała starszych, nie znalazłabym się w Paryżu. Robię to, co mi się podoba.

- Guzik mnie to obchodzi. Wracasz pierwszym samolotem do Stanów i tam zostaniesz. Zrozumiano?

Niczego bardziej w tej chwili nie pragnęła, ale jakiś diabeł ją podkuśił, żeby sprzeciwić się Toussaintowi. Nikt nie będzie jej dyktował, co

ma robić.

- A jeśli odmówię?

- Jeśli odmówisz, poderżnę ci gardło. Trochę szkoda, bo cały mój dotychczasowy trud pójdzie tym samym na marne. Ten lek, który ci zaaplikowałem, jest bardzo cenny. Nie marnowałbym go, gdybym wiedział, że kilka godzin później będę cię musiał zlikwidować. Ale to mnie nie powstrzyma. Jesteś zagrożeniem dla pewnych osób. Niepotrzebnie powstrzymałem Hakima, ale mogę naprawić błąd. Skoro on cię nie zabił, ja to zrobię. Wybór należy do ciebie. Zdecyduj, czy chcesz zginąć, czy wolałabyś żyć dalej... Wrócić do rodziny, do swojej dawnej egzystencji...

Mówił bardzo spokojnie, rzeczowo i Chloe nie miała najmniejszych wątpliwości, że gotów jest wprowadzić w czyn swoje zbrodnicze zamia-ry. Wystarczyło spojrzeć w jego ciemne, pozbawione wyrazu oczy.

- Skąd mogę wiedzieć, czy naprawdę wsadysz mnie do samolotu? Czy zdołasz mnie uratować, jeśli będę cię słuchać?

- Nie mogę niczego zagwarantować, ale ze mną masz większe szanse niż beze mnie. Jeśli nie uda mi się wyekspediować cię bezpiecznie do Stanów, to przysięgam, że wykończę cię własnoręcznie. Nie pozwolę, żeby dopadli cię ludzie jeszcze okrutniejsi od Hakima, a dobrze ich znam i wiem, jacy potrafią być bezwzględni. Ja sprawię, że umrzesz szybko i bez cierpień.

Chloe przełknęła z wrażenia ślinę.

- Są ludzie gorsi od Hakima?

- Są. Najlepsze w zadawaniu tortur są kobiety. Czemu nie należy się

zbytньо dziwić - Bastien pozwolił sobie na żart tak idiotyczny, że nie był to już żart, ale Chloe, zafrapowana ofertą śmierci bez cierpień, nie zwróciła uwagi na jego głupi komentarz.

- Kim ty do cholery jesteś?

Na ustach Bastiena pojawił się chłodny uśmiech, który nie budził raczej otuchy.

- Nie wierzysz, że jestem handlarzem bronią z Marsylii? Długo musiałaś dochodzić do tego objawienia.

- W takim razie kim jesteś? - powtórzyła. - I jak się nazywasz? Bo chyba nie Toussaint?

- Toussaint? Przyjrzyj mi się uważnie. Czy ja mam w sobie coś ze świętego? Lepiej, żebyś nie wiedziała, kim naprawdę jestem. Powiem ci tylko, że należę do pewnej międzynarodowej grupy operacyjnej, o istnieniu której niewiele osób ma pojęcie. I bardzo dobrze. Nie zadawaj niepotrzebnych pytań i rób, co mówię.

- Powiedz mi tylko jedno - wykrztusiła Chloe po chwili. - Jesteś po dobrej czy po złej stronie?

- Możesz mi wierzyć, że nie ma między nimi wielkiej różnicy. Musimy wydostać się stąd przed świtem. Zdejmij tę rozkoszną koszulę i ubierz się w jakieś normalne ciuchy. Tylko Amerykanka może wpaść na pomysł, żeby spać w takim cudactwie.

Chloe spojrzała czule na swoją flanelową koszulę.

- Uważasz, że powinnam sypiać w seksownych koronkach i jedwabkach? Oglądasz za dużo filmów.

- Nie chodzę do kina.

Chloe wstała, podeszła do komody, omijając Bastiena szerokim łukiem, wyjęła z szuflady zmianę bielizny, dzinsy i ciepłą bawełnianą bluzę. Ruszyła w stronę łazienki, ale głos Bastiena ją zatrzymał:

- A ty dokąd?

- Do łazienki, matole. Chcę się wysikać i ubrać. Masz coś przeciwno?

- Nie musisz ukrywać się przede mną, Chloe. Twoje ciało mnie nie interesuje.

Ta ostatnia uwaga strasznie ją ubodła.

Rzuciła ubranie na najbliższy fotel, ściągnęła koszulę przez głowę z taką wściekłością, że ją przy okazji rozerwała, i cisnęła gieźlem w Toussainta. Potem wzięła swoje ciuchy i pomaszzerowała nago do łazienki.

W ostatniej chwili powstrzymała się przed trzaśnięciem drzwiami, chociaż miała wielką ochotę to uczynić. Nie warto oddawać życia za jedno trzaśnięcie drzwiami, a już na pewno nie warto prowokować Toussainta, który znowu gotów dać jej nauczkę. Można powiedzieć, że robił to ostatnio odruchowo.

Jego bezczelną uwagę, która tak ją zirytowała, należało rozumieć jednoznacznie, nie mógł się jaśniej wyrazić. Przespał się z nią, bo chciał zdobyć informacje. Teraz, kiedy przekonał się, że Chloe nie ma nic ciekawego do powiedzenia, stracił zainteresowanie jej ciałem.

Chciała wziąć prysznic, ale wolała nie przeciągać struny. Skorzystała z toalety, po czym ubrała się szybko. Włosy wyschły i teraz miała na głowie coś, co wyglądało dużo lepiej, niż się spodziewała, ale w niczym nie przypominało sławnej fryzury Melanie Griffith. Nie szkodzi. Powiedział

przecież, że nie chodzi do kina. Powiedział też, że ona go nie interesuje. Dzięki Bogu.

W porządku, zastosuje się do jego poleceń. Nie będzie pyskować, będzie go słuchać. Zrobi wszystko, by wydostać się z Francji tak szybko, jak to możliwe. Dopiero wtedy poczuje się bezpieczna. Chociaż, prawdę mówiąc, dotąd nie wierzyła, mimo kilku upiornych godzin spędzonych w towarzystwie Hakima, że wisi nad nią wyrok śmierci.

Nie, chodziło raczej i przede wszystkim o to, by uwolnić się raz na zawsze od tego tajemniczego palanta, który siedział teraz na podłodze obok jej łóżka i rzucał pod jej adresem różne interesujące pogrożki.

Bastien chwycił koszulę w locie i odprowadził spojrzeniem znikającą w łazience Chloe. Lekarstwo, które jej zaaplikował, zadziałało i rany wyglądały teraz nieporównanie lepiej.

Chciało mu się śmiać. Obraziła się na niego strasznie, najwyraźniej nie mając pojęcia, jaka jest piękna. Naga, opromieniona srebrną poświatą księżyca. Miał ochotę zrzucić ubranie i zaciągnąć ją z powrotem do łóżka, zatracić się, zapomnieć. Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony.

Powstrzymał się, chociaż widział w jej oczach, że wcale by się nie broniła. Wtulił twarz w miękką flanelę, która pachniała Chloe. Nie wiedziała, jak bardzo erotyczne było zderzenie bezkształtnej flanelowej koszuli i kształtnego, skąpanego w promieniach księżyca ciała. A on nie miał zamiaru jej tego uświadamiać.

Gdyby drzemały w nim jakieś ludzkie sentymenty, zawłaszczyłby tę cudaczną, staroświecką koszulę jako pamiątkę po Chloe. Nigdy dotąd nie spotkał kogoś choć trochę do niej podobnego. Chloe była niezwykła:

krucha, pełna ognia i bardzo, bardzo odważna. Właściwie po co mu pamiętki, skoro nie ma przed sobą wiele życia? Nie starczy mu czasu na snucie wspomnień.

Rozerwała koszulę, kiedy ją ściągała. Dopiero teraz to zauważył. Materiał był już stary, mocno sprany i bardzo miękki. Musiała mieć tę koszulę od wielu lat. Kiedy była jeszcze nastolatką.

Nie wiedział, co nim powodowało, kiedy oderwał kawałek flaneli. Chloe nie zauważy. Nie będzie miała czasu. Schował flanelę do kieszeni i szybko o niej zapomniał, bo tak było lepiej. Po chwili Chloe wyszła z łazienki, wściekła jak chmura gradowa, i, niestety, ubrana od stóp do głów.

Nie ma lepszego sposobu, żeby wyprowadzić kobietę z równowagi, niż powiedzieć jej, że zupełnie cię nie interesuje, pomyślał. Nie powinna na nic liczyć. To był tylko seks. Ostry, krótki seks. Nic więcej. Ona należała do świata, w którym istnieli czuli, wrażliwi kochankowie. W jej świecie nie było miejsca dla morderców.

Nigdy dotąd tak o sobie nie myślał, ale określenie pasowało jak ulał. Mordował w obronie własnej, mordował z zimną krwią, mordował na polecenie, mordował w otwartej walce. Zabijał kobiety i mężczyzn.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał zabić Chloe.

Ale jeśli stanie przed taką koniecznością, zrobi to.

Uprzedzi ją. Postara się zadać jej szybką śmierć. Zanim wbije jej nóż w serce, powie całą prawdę. Tak, powie prawdę. Niech umiera usatysfakcjonowana.

Niepotrzebnie uprzedzam wypadki, zreflektował się. Gdyby przy-

szło mu zabić Chloe, oznaczałoby to, że przegrał, a on nie zwykł przegrywać. Wyjdą z opresji, tylko muszą wynieść się czym prędzej z jej mieszkania.

- Masz jakiś płaszcz czy w dalszym ciągu zamierzasz paradować w moim?

- Został w Mirabel. Mogę pożyczyć sobie jakiś od Sylvii. Już pozbawiłam ją najlepszych ciuchów. - Usiadła na łóżku, włożyła skarpety i wygodne pantofle na płaskim obcasie, w których z łatwością mogłaby biec, gdyby zaszła taka konieczność.

Pierwszy raz widział ją tak ubraną. W dzinsach i bluzie wyglądała jeszcze bardziej amerykańsko, jeszcze ponętniej. Wstała, otworzyła drzwi do sypialni Sylvii i Bastien natychmiast poczuł ten charakterystyczny fetor, zanim ona zdążyła się zorientować.

Zerwał się z podłogi, ale Chloe już weszła do pokoju. Coś chyba wyczuła, bo odwróciła się, żeby zapalić światło, ale Bastien zdążył chwycić ją za rękę. Niewiele to dało, bo zobaczyła coś, czego nie powinna oglądać - ciało leżące na podłodze, za drzwiami, tak że w pierwszej chwili nie można było go dostrzec, trzeba było wejść do środka. Bastien i tak wiedział swoje, nie musiał widzieć.

Sylvia zginęła zapewne kilka godzin przed powrotem Chloe, lecz odór śmierci był wyraźnie wyczuwalny. Ten złowieszczy fetor, który przychodzi wraz z końcem życia i nie musi mieć wiele wspólnego z procesem rozkładu. Bastien znał go aż za dobrze.

Objął ją ramieniem, zasłonił jej usta dłonią, uniemożliwiając krzyk, i wyciągnął ją z pokoju, po czym kopnięciem zamknął drzwi. Powinni się

wynosić z tej przeklętej mansardy. Natychmiast.

Chloe dławiała się, miała nudności. Nie dziwił się tej reakcji, ale też nie mógł sobie pozwolić na okazywanie jej szczególnych względów. Nie mieli czasu na przeżywanie szoku.

Idąc tutaj, dostał się na mansardę dachem, z okna strychu sąsiedniego domu. Tą samą drogą wydostaną się teraz, nawet gdyby miał rzucić sobie Chloe jak worek na plecy i nieść ją. Innej drogi odwrotu nie było.

Uspokoila się trochę, w każdym razie na tyle, by już nie krzyczeć.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą, w zimny, szary paryski poranek, skażony odorem śmierci, od którego trudno się uwolnić.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Na szczęście dla Bastiena Chloe była w szoku. Nie miała siły dobyć z siebie głosu, opierać się. Pozwoliła się prowadzić, szła za nim posłusznie, bez słowa. Zatrzymał się tylko na moment, ubrał ją w swój płaszcz, i ruszyli natychmiast dalej. Gdyby nie trzymał jej cały czas za rękę, prawdopodobnie stanęłaby jak słup soli na środku ulicy i nie uczyniła jednego kroku z własnej inicjatywy, bezwolnie czekając, aż ją znajdą.

Szedł szybko, klucząc zaułkami. Dlaczego, u diabła, zabili Sylvie, a po nich nie przyszli? Może ktoś popełnił po prostu głupi błąd. Dali zlecenie komuś, kto był pewien, że zabija Chloe.

A może śmierć Sylvii miała być ostrzeżeniem. Zabili ją, potem chcieli zabić ich oboje, ale z jakichś powodów dotąd tego nie uczynili.

Bastien nie wierzył w szczęśliwe przypadki. Może czekają, aż sam im przyprowadzę Chloe, myślał, przemykając ulicami Paryża.

Biedna, głupiutka Amerykanka, uwikłana w grę, której nie pojmowała. Polowały na nią teraz obie strony, obie chciały jej śmierci, co do tego Bastien nie miał najmniejszych wątpliwości. Była zagrożeniem. Zbyt dużo widziała i zainteresowanym zależało na tym, by jak najszybciej ją zlikwidować.

Na ulicach zaczynał się już poranny ruch, słońce stało ponad dachami, gdy Chloe nagle zatrzymała się na środku chodnika. Wiedział, co się dzieje. Przytrzymał jej głowę, kiedy wymiotowała. Zwłoki współlokatorki nie były pierwszymi, które przyszło jej oglądać w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin, była już świadkiem śmierci Hakima.

Ale wtedy do oszołomionej torturami dziewczyny, to, co działo się wokół, z trudem docierało. Zdażyła trochę ochłonać, dojść do siebie i oto brutalna śmierć przyjaciółki uderzyła ją znienacka, z całą siłą.

Wyprostowała się, oparła o mur, Bastien podał jej chusteczkę i rozejrzał się za taksówką. Stosunkowo szybko znalazła się jakaś wolna, która zatrzymała się przy krawężniku.

Paryscy taksówkarze znają swój fach. Z daleka potrafią ocenić po ubiorze, czy klient wart jest tego, żeby go zabrać. Bastien niemal wepchnął Chloe do samochodu, sam wsiadł i przygarnął ją do siebie, tak by kierowca nie widział jej twarzy. Im mniej osób będzie się jej przyglądać, tym lepiej.

- Dokąd?

Bastien podał adres w XV dzielnicy i kierowca ruszył, płynnie pro-

wadząc w coraz większym ruchu, co nie przeszkadzało mu zerkać od czasu do czasu w lusterko wsteczne.

- Pańska przyjaciółka za dużo wypila? - zagadnął w jakimś momencie tonem człowieka, który zna życie - Żeby tylko nie zarzygała mi wozu - oznajmił.

Całkiem usprawiedliwiona troska, pomyślał Bastien.

- Proszę się nie martwić - uspokoił kierowcę i dodał: - To moja żona. Jest w trzecim miesiącu ciąży i męczą ją poranne nudności.

Poczuł, że Chloe się szarpnęła na te słowa, ale tylko mocniej przycisnął jej głowę do piersi. Kierowca pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Pierwsze miesiące są najgorsze. Proszę się nie martwić, madame, potem będzie lepiej. Moja żona to przez pierwsze trzy miesiące rzygała jak kot. Co zjadła, zaraz zwracała. Ale nie przestawała jeść, co to, to nie. Mamy czwórkę dzieciaków i za każdym razem było to samo. To państwa pierwsze?

Tyle pytań, pomyślał Bastien, choć na razie padło jedno, jeśli by skrupulatnie liczyć.

- Tak - odpowiedział. - Ma pan dla nas jakieś rady?

Miał, a jakże. Wygłosił dziesięciminutową pogadankę, w której uwzględnił wszystko, od ciąży diety począwszy, na najwygodniejszych w ostatnich miesiącach przed porodem pozycjach seksualnych skończywszy, kiedy żona zaczyna przypominać kaszalota. Bastien słuchał go jednym uchem, od czasu do czasu posłusznie przytakując.

Pod adresem, który podał kierowcy, mieścił się wieżowiec z podziemnym garażem. Mieszkał w tym domu kilka lat wcześniej z piękną

modelką z Etiopii. To był jego ostatni urlop. Modelka była bardzo uczuciowa i pomysłowa w łóżku, lubił ją. A dzisiaj nie pamiętał nawet jej imienia.

- Może pan wjechać do garażu? - poprosił. - Będziemy mieli bliżej do windy. Chciałbym jak najszybciej położyć żonę do łóżka.

- Oczywiście, monsieur. - Biedak nie miał pojęcia, co się święci. Wjechał do podziemia i zatrzymał się przy samym wejściu do windy. Wsiadł nawet, by pomóc Bastienowi wytargać Chloe z taksówki. Nawet nie wiedział, czym i kiedy dostał w głowę.

Właściwie należało go zabić. Poderżnąć mu gardło i zostawić ciało w zaułku przy windach, gdzie mógłby leżeć wiele godzin przez nikogo nie zauważony. A kiedy ktoś wreszcie znalazłby ciało, Chloe byłaby już dawno w drodze do swojej Karoliny Północnej.

W ostatniej chwili przypomniał sobie jednak czwórkę dzieci oraz żonę o kształtach kaszalota, która w ostatnich miesiącach wymyśla wygodne pozycje seksualne, i darował biedakowi życie. Może robił się sentymentalny, a może odezwała się w nim przekora. Uczono go zabijać bez wahania, eliminować ludzi bez litości, więc postanowił raz zrobić coś wbrew zasadom.

Kierowca miał w schowku rolkę grubej taśmy. Bastien owinał go tą taśmą jak baleron, zakneblował mu usta. Znajdą delikwenta prędzej czy później, w każdym razie unieszkodliwiając go, Bastien zyskiwał trochę czasu.

Chloe wpół leżała na tylnym siedzeniu. Zostawił ją tam, sam usiadł za kierownicą i wyjechał na ulicę. Jak taksówkarz wracający po nocnej

zmianie do domu.

Niedobrze, że nie zabił kierowcy. W ten sposób zyskałby dwanaście godzin, zanim żona zgłosiłaby zaginięcie. Może nawet więcej. Policja nie ogłasza stanu pogotowia z powodu zaginięcia jednego taksówkarza. Pewnie machnęliby ręką, uznawszy, że zapomniał się w towarzystwie jakiejś damy i niedługo wróci do domu.

Jeszcze jeden znak, że Bastien się kończy, przestaje być użyteczny. Dobry agent nie wie, co to litość, nie zna tego uczucia. Zerknął na tylne siedzenie. Chloe leżała z podciągniętymi nogami, owinięta szczelnie w jego płaszcz, oczy miała szeroko otwarte. Szok w końcu minie, wtedy pojawią się przerażenie, rozpacz, łzy. Powinien szybko znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę.

Dopiero wieczorem będzie mógł wyprawić ją za ocean. Przez chwilę rozważał możliwość wyekspediowania jej z któregoś mniejszego lotniska, na przykład w Tours, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Będą obserwowali wszystkie lotniska. Mieli większe szanse na Charles de Gaulle, gdzie miał kilka swoich wtyczek, o których istnieniu nie wiedział nawet Harry Thomason.

Dom znalazł stosunkowo łatwo, ale krążył wokół niego dwadzieścia minut, chcąc się upewnić, czy nie jest obserwowany. Przestali korzystać z tej kryjówki mniej więcej dwa lata wcześniej, kiedy okazało się, że miejsce jest spalone. Oczywiście Komitet w końcu przypomni sobie o tym miejscu, ale najpierw sprawdzą aktualne adresy. Kolejnych kilka godzin spokoju.

Na ile mógł się zorientować, dom, a właściwie stara, opuszczona re-

zydencja na przedmieściach Paryża, w której nikt nie mieszkał od pół wieku, nie była pod obserwacją.

Z pozoru mogło wydawać się dziwne, że nikt dotąd nie kupił stonowiącej łakomy kąsek posesji, jednak były po temu całkiem realne i przyziemne powody. Nieruchomość formalnie stanowiła własność rodziny pewnej staruszki, natomiast schedą po tej damie była tak cudacznie podzielona, że nie sposób było dojść, co się komu należy.

W czasie wojny mieszkał tu pewien kolaborant, który współpracując z okupantem, zgromadził imponujący majątek w postaci dzieł sztuki i klejnotów, przejęty zresztą później jakimś tajemniczym sposobem przez Komitet.

Był w tym domu sekretny pokój, w którym zwolennik nazistów ukrywał się przez trzy tygodnie, kiedy alianci wyzwolili wreszcie Paryż. Bastien sam kiedyś korzystał z tej kryjówki przez kilka dni i zdążył w pełni docenić jej zalety.

W ostatnich dniach prawie nie spał i teraz potrzebował kilku godzin solidnego odpoczynku, jeśli jego mózg miał w miarę sprawnie funkcjonować, zamiast nieustannie narażać go na porywy taniego sentymentalizmu. Podjechał na tyły domu, zamknął starą drewnianą bramę, ustawił taksówkę pod drzewami, żeby nie można jej dojrzeć z powietrza. Potrzebował tylko kilku godzin.

Wyciągnął Chloe z wozu. Poruszała się jak automat. Byłoby dobrze, gdyby pozostała w takim stanie do wieczora, ale nie mógł żądać zbyt wiele od losu, i tak dotąd mieli oboje więcej szczęścia niż rozumu.

Przeprowadził ją przez amfiladę pustych pomieszczeń z powybijaja-

nymi oknami, po schodach na piętro, potem na strych. Ocknęła się z letargu, kiedy nacisnął guzik z boku komina i odsunęły się zamaskowane drzwi prowadzące do sekretnego pokoju.

Nie był przygotowany na jej reakcję. Dotąd otepiała, teraz wpadła w absolutną panikę i rzuciła się na niego z krzykiem...

Jest wiele sposobów, by uciszyć człowieka w ataku hysterii. Gdyby przewidział, że może się tak zachować, obszedłby się z nią zapewne delikatniej, ale w obecnej sytuacji nie miał wyboru. Uderzył ją i jej atak natychmiast się skończył, jakby z ciała uszła cała energia.

Chwycił ją wpół, gdy osuwała się bezwładnie na podłogę, wciągnął do pokoju i zamknął drzwi. Ogarnęły ich ciemności, ale Bastien dobrze znał to pomieszczenie. W pozostałej części domu nie było elektryczności, tutaj tak. Nie zamierzał jednak sprawdzać, czy nie odcięto dopływu prądu. Nie zamierzał robić nic, co w jakikolwiek sposób mogłoby ich zdradzić.

Przeciągnął Chloe na łóżko stojące pod ścianą i położył ją, po czym przykrył swoim płaszczem. W pokoju było tylko jedno okno, szczelnie zamknięte, tak że nie wpadał przez nie nawet promyk światła.

Chloe mogła odzyskać przytomność za godzinę, może trochę więcej. Spojrzał na zegarek, jedyne źródło nikłego światła w absolutnych ciemnościach. Po ósmej. Nie spał od czterdziestu ośmiu godzin. Na lotnisko nie ruszą wcześniej niż za dwanaście godzin. Tymczasem zdrzemnie się, nawet godzina snu dobrze mu zrobi.

Łóżko było wąskie, a on nie chciał niepokoić Chloe. Sypiał już w gorszych warunkach, był przygotowany na najróżniejsze sytuacje. Wziął

jeden koc z łóżka i rozłożył na podłodze. Bolało go całe ciało. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata, ale czuł się jak starzec. Praca dla Komitetu to zabawa dla młodych ludzi, w dodatku krótkotrwała. W tej paskudnej robocie człowiek szybko się wypalał.

Zamknął oczy, gotując się do snu, ale tak jak jego duch buntował się przeciwko Komitetowi, tak organizm kpił sobie teraz z dyscypliny, do której został wdrożony. Bastien leżał bez ruchu przez pięć minut, wpatrując się w ciemności, słuchając miarowego oddechu Chloe i zastanawiając się, co też on do diabła wyprawia. W końcu zasnął.

Była w potrzasku. Osaczona. Otaczały ją nieprzeniknione ciemności. Nic nie widziała, absolutnie nic. Wokół panował gęsty, ciężki mrok. Dusila się, nie mogła oddychać. Czowała zapach krwi. Przed oczami majaczył jej obraz Sylvii, ubranej w ulubioną suknię, leżącej w czerwonej kałuży, z podciętym gardłem, z szeroko otwartymi oczami.

Byłaby wściekła, gdyby zobaczyła tę suknię zalaną krwią. Tak ją lubiła, że czasami w żartach mówiła, że chciałaby być w niej pochowana.

Ten potwór poderzwał Sylvii gardło. Ten sam potwór, który zagroził, że ją też zabije. A ona pozwoliła mu wyprowadzić się z domu i zawieźć w jakieś odludne miejsce. Nic nie widzi, nie może oddychać, nie może myśleć, może tylko otworzyć usta i krzyczeć...

Chwycił ją, kiedy zerwała się z łóżka, i zamknął w żelaznym uścisku. Walczyła z nim jak szalona. Była zupełnie sama. Zdana tylko na siebie. Przeciw śmierci i krwi. Jednak był od niej silniejszy. Zamknął jej usta dłonią. Ugryzła go z całych sił, wbijając zęby głęboko w ciało. Nawet nie drgnął.

- Jeśli się nie uspokoisz, skręcę ci kark - szepnął jej do ucha i przyciągnął do siebie. - Jestem już zmęczony tym ciągłym szarpaniem się z tobą.

Próbowała jeszcze się opierać, ale atak furii minął, uspokoiła się i Toussaint opuścił rękę, nie zasłaniał jej już ust.

- Ja... nie mogę oddychać - sapnęła. - Jest za ciemno. Nie wytrzymam. Duszę się tutaj. Proszę... - Nie wiedziała, o co właściwie prosi, ale poczuła, że zanosi ją na łóżko.

Stali teraz razem na materacu. Usłyszała szcęk klamki i wreszcie zobaczyła światło. Bastien otworzył niewielkie, zaciemnione okno umieszczone w suficie, i podsadził Chloe, tak by mogła zaczerpnąć powietrza. Wzięła głęboki oddech i oszalałe serce zaczęło bić równiejszym, spokojniejszym rytmem, pracowało prawie normalnie. W oddali widziała dachy Paryża w szarym porannym świetle.

Oparła się o Bastiena, czekając, aż napięcie i przerażenie odejdą, ulotnią się.

- Jeśli masz mnie dość, jeśli jesteś zmęczony, dlaczego po prostu mnie nie zostawisz?

Nie odpowiedział, zbliżył tylko twarz do jej twarzy i spojrzał na nią z bliska.

- Cierpisz na klaustrofobię? - bardziej stwierdził niż zapytał. - Nie podejrzewałem, że możesz mieć tego rodzaju problemy.

- Owszem, cierpię na klaustrofobię - przytaknęła. - Od ósmego roku życia. Na terenie naszej posiadłości w Karolinie, a mamy bardzo dużą posiadłość, znajduje się opuszczona kopalnia. Moi bracia lubili się tam

bawić. Kiedyś weszłam do sztolni. Oni o tym nie wiedzieli, a ja utknęłam w ciemnościach, nie potrafiłam wyjść na światło dzienne. Rodzice znaleźli mnie dopiero następnego dnia rano. Od tego czasu nienawidzę ciemności. Duszę się w zamkniętych pomieszczeniach. - Mówiła szybko, mówiła zbyt dużo, ale nie potrafiła się pohamować.

Bastien milczał. Przez okno wpadało mroźne, rześkie powietrze. Chloe widziała parę unoszącą się z jej ust, z jego ust. Dwa obłoczki, które się łączą i znikają w promieniach słońca...

Ciągle była opatulona w jego płaszcz, ale nawet przez kilka warstw ubrania czuła siłę emanującą z ciała Bastiena. Powoli osunęła się na materac, wyczerpana atakiem klaustrofobii. Bastien uniósł rękę, chcąc na powrót zamknąć okno.

- Proszę, zostaw otwarte - szepnęła. - Nie zniosę ciemności.
- Jest zimno - ostrzegł ją.
- Wytrzymam.

Zostawił okno uchylone, tak by przez szparę wpadał promień światła, po czym uklęknął obok Chloe na łóżku.

- Problem w tym, że masz na sobie mój płaszcz - powiedział cicho. - Tu już jest zimno, a przy otwartym oknie będzie lodowato.

Próbowała usiąść, zdjąć płaszcz, ale pchnął ją z powrotem na materac, nie pozwolił oddać sobie płaszcza, po czym wyciągnął się obok niej na wąskim materacu, obrócił tak, że leżeli przytuleni do siebie, i okrył oboje wełnianym pledem.

- Oddam ci płaszcz - szepnęła. Nie chciała czuć go tak blisko siebie. Nie chciała, żeby przytulał się do niej.

- Chrzanić płaszcz. Bądź wreszcie cicho i pozwól mi się przespać. Będziemy kontynuować sprzeczkę, jak się obudzę.

- A jeśli mnie tu już nie będzie, kiedy się obudzisz?

- Będiesz. Jeśli spróbujesz stąd wyjść, zastrzelę cię. Mam lekki sen i jestem w podłym humorze. Radzę ci, spróbuj się przespać.

Przycisnęła policzek do starego materaca i poczuła ból. Hakim nie dotknął jej twarzy, nie zdążył. Wtedy sobie przypomniała.

- Uderzyłeś mnie!

- Zrobię to jeszcze raz, jeśli natychmiast się nie uspokoisz - zagroził. - Uderzyłem w trosce o twoje życie. Zaczęłaś tak strasznie krzyczeć, że ktoś mógłby usłyszeć.

- Dlaczego miałbyś to zrobić jeszcze raz? - dociekała z uporem.

- Żeby cię nie zabić - oznajmił tym swoim rzeczowym tonem, który doprowadzał ją do szału. - Bądźże wreszcie cicho i daj mi się zdrzemnąć.

Było oczywiste, że nie pozbędzie się go z łóżka. Następna próba mogłaby rzeczywiście skończyć się jeszcze jedną chwilową utratą przytomności albo nawet czymś znacznie gorszym.

Zamilkła i utkwiała spojrzenie w wąskim promieniu światła wpadającym przez okno. Mogła oddychać. A dopóki mogła oddychać, wiedziała, że wystarczy jej sił, by przetrwać najgorsze. To, co w ciągu ostatnich dni słyszała, widziała, było tak straszne, że nie mieściło się w głowie. Nic już nie czuła poza odrętwieniem. Odrętwieniem, z którego mógłby wyrwać ją tylko rozdzierający, wyzwalający, idący z przepony krzyk.

Gdyby zaczęła krzyczeć, nie umiałaby przestać i Bastien musiałby skrócić jej kark, tak jak zagroził. Czuła się wyziębiona, dosłownie i w przenośni. Wyziębiona i odrętwiała.

Musi przeżyć, to najważniejsze.

Wzięła głęboki oddech i znowu zobaczyła przed oczami ciało Sylvii. Widziała ją tylko przez sekundę, ale ten obraz miał już na zawsze pozostać w jej pamięci. Głęboko poderżnięte gardło. Kałuża krwi. Szeroko otwarte, niewidzące oczy. Te oczy prześladowały ją najbardziej. Martwy wzrok utkwiony w przestrzeni. Spojrzenie, które odeszło, które już nie ogarnia, nie może już oglądać świata. Sylvia nie żyje.

Nie żyje z winy Chloe.

To ona miała umrzeć, nie Sylvia. Sylvia, której jedynym grzechem było to, że tak bardzo kochała życie. Woląca spędzić weekend na wsi z kochankiem, niż wziąć zlecenie.

Sylvia nie wtykałaby nosa w nie swoje sprawy. Poszłaby do łóżka z Bastieniem, tłumaczyłaby rozmowy i wróciłaby spokojnie do domu. Nie zadawałaby żadnych kłopotliwych pytań. Miała dar ignorowania niewygodnych spraw, omijania ich. A jednak zginęła. Tylko dlatego, że jej przyjaciółka okazała się zbyt wścibska.

- Przestań o tym myśleć - rozległ się w mroku szept Bastiena, cichy jak szmer powietrza. - Nic nie możesz zrobić, a tylko popadniesz w jeszcze większe przygnębienie.

- To moja wina.

- Bzdura. Nie ty ją zabiłaś. Nie doprowadziłaś ich nawet do waszego mieszkania. Trafili tam przed tobą. Jedyna pociecha, że nie męczyła się.

Umarła natychmiast.

- Gdybym nie wzięła tego zlecenia...

- Gdybanie nic nie da. Sylvia nie żyje. Pogódź się z tym. Będiesz ją opłakiwać, jak już dotrzesz bezpiecznie do domu.

- Ale...

Położył jej dłoń na ustach, nie dając dokończyć zdania.

- Postaraj się zasnąć, Chloe. Jedyne, co możesz dla niej zrobić, to ratować samą siebie. Nie pozwól, żeby cię zniszczyli. Musisz nabrać sił. Sen cię wzmocni. Ja też muszę się przespać.

Odwrócona do Bastiena plecami Chloe nie mogła widzieć jego twarzy. Spojrzała w górę, na sączące się przez szparę w oknie światło paryskiego poranka. Widziała, jak płatek śniegu powoli opada na czarny kaszmirowy płaszcz i znika, pozostawiając po sobie mokry ślad.

Wreszcie zasnęła.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie była pewna, co ją obudziło. Leżała sama na wąskim łóżku. Tuż obok, na materacu, Bastien zostawił zapaloną latarkę. Usiadła ostrożnie. Bolało ją całe ciało, bolała głowa, czuła ucisk w żołądku.

Jej najlepsza przyjaciółka zginęła przez nią, a teraz ona sama uciekała przed mordercami, korzystając z pomocy innego mordercy.

Jeszcze żyła. Była przerażona, dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale żyła. Nie wiedziała, co z nią dalej będzie, nie miała pojęcia, gdzie jest Bastien...

A jeśli po prostu ją zostawił? To możliwe. Przywiózł ją do tego opuszczonego domu, wciągnął na strych i zamknął w ciemnym pomieszczeniu, skazując na powolną śmierć głodową.

Mogła próbować wydostać się przez okno w dachu. Poza tym nie musiał przywozić jej tutaj, jeśli chciał jej śmierci. Mógł zabić ją już przynajmniej dziesięć razy, szybko i bezboleśnie, miał po temu aż nadto okazji. Nie skazywałby jej na powolne konanie z głodu.

Przyrzekł jej, że nie będzie cierpiała i ta myśl dodawała jej otuchy. Dziwna reakcja, czerpać otuchę z myśli o szybkiej i bezbolesnej śmierci, ale tak właśnie było. Chloe miała wrażenie, że zapomniała już, co to są normalne reakcje. Wszystko sprowadzało się do wyboru: umrzeć szybko albo przeżyć.

Tylko w ten sposób potrafiła rozumować po tym, jak zobaczyła ciało biednej Sylvii. Bastien był jej nadzieją i na szybką śmierć, i na przeżycie. Nie zamierzała już z nim walczyć. Prawdę powiedziawszy, czekała niecierpliwie, żeby wreszcie wrócił do ich kryjówki. Cieszyła się na ten powrót, ale oczywiście nie zamierzała mu tego mówić.

Skuliła się w kącie łóżka, otuliła szczelnie płaszczem, otuliła dodatkowo kocem. Była potwornie głodna i to ją przerażało. Kiedy jej kuzyn zginął w wypadku samochodowym, przez wiele dni po jego śmierci nie była w stanie nic wziąć do ust, na sam widok jedzenia robiło się jej niedobrze.

A teraz umierała z głodu i obraz leżącego w kałuży krwi ciała Sylvii w najmniejszym stopniu nie odbierał jej apetytu. Zadziałała chyba wola przeżycia, to ona sprawiała, że Chloe bez oporów myślała o je-

dzeniu. Chciała żyć, a żeby przetrwać, potrzebowała sił, a żeby mieć siły, musiała jeść. Proste.

Gdzie, do diabła, podział się Bastien? Zostawił jej latarkę. Gdyby obudziła się pogrążona w całkowitych ciemnościach, podniosłaby krzyk, zaczęłaby chyba chodzić po ścianach. Zwariowałyby, jednym słowem.

Miał rację, kiedy powiedział, że robi na nim wrażenie twardej. Jej też tak się wydawało. Dawno zapomniała o swojej klaustrofobii, była pewna, że to już przeszłość. Windy, piwnice, podziemne garaże nie robiły na niej najmniejszego wrażenia.

A tamta historia w sztolni? Sama sobie była winna. Miała wtedy osiem lat, włączyła się krok w krok za braćmi, we wszystkim próbowała ich naśladować. Nie zdawała sobie sprawy, że co wolno braciom...

Nie, nieprawda. Chłopcom też nie wolno było chodzić do kopalni. Rodzice wyraźnie im zabronili niebezpiecznych eskapad, ale szanujący się nastolatek nie będzie przecież przejmował się takimi detalami jak rodzicielskie zakazy. Bracia ograniczyli się do tego, że nie zabierali Chloe na te wyprawy, pozostawało jej zatem iść za nimi ukradkiem. Skończyło się tym, że zgubiła drogę w podziemnych korytarzach.

Chłopcy oczywiście nie wiedzieli, co wymyśliła i wprowadziła w czyn ukochana siostrzyczka. Przez kilka godzin nikt w domu nie zdawał sobie sprawy, że zaginęła. A ona tkwiła w ciemnej pułapce. Baterie w latarce zdążyły się wyczerpać, Chloe straciła zupełnie orientację, miała wrażenie, że z każdego kąta wypełzają potwory i straszdyła. Zanim ją znaleziono, minęło dziewiętnaście godzin. Bez mała całą dobę była

uwięziona pod ziemią. Po tym przeżyciu na dwa tygodnie zaniemówiła.

Jej ojciec zwykł żartować, że potem te dwa tygodnie milczenia zre-kompensowała sobie nieustannym trajkotaniem. W każdym razie rodzice zaraz po odnalezieniu niefortunnej turystki załatwili jej dobrego terapeutę i kiedy miała dwanaście lat, mogła już zasypiać bez zapalonego światła. W wieku piętnastu schodziła spokojnie do piwnicy, a skończywszy szkołę, była pewna, że uraz minął bez śladu. Dzisiaj przekonała się, że jest inaczej.

Koszmar ostatnich dni musiał wytrącić ją z równowagi, osłabić jej odporność psychiczną. Należało przyjąć to do wiadomości, acz nie miała na to ochoty, tak jak należało pogodzić się z myślą, że nie da sobie rady bez pomocy Bastiena. Gotowa już była przyznać się, że jest zdana na niego, niechby tylko wreszcie wrócił, pokurcz jeden.

Bzdura. Nie był żadnym pokurczem. Poprzedniego dnia zdążyła mu się przyjrzeć, chociaż niby zamykała oczy. Był bardzo dobrze zbudowany, wysoki, miał piękną sylwetkę.

Nie, nie będzie myślała o tym, jak zbudowany jest Bastien, nawet jeśli dobrze byłoby zająć czymś myśli. Z dwojga złego wolą już wspominać Sylvię i Hakima niż nagie ciało Toussainta.

Nie słyszała jego kroków. Nie wiedziała, czy to kwestia akustyki pomieszczenia, czy też poruszał się cicho jak kot, w każdym razie w pewnym momencie zobaczyła, że Bastien już jest. Musiała się zamyślić. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w światło latarki, usiłując nie myśleć o nim, kiedy drzwi się otworzyły i po prostu wszedł.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Wzięła głęboki oddech, próbując nadać swoje mu głosowi lekkie brzmienie.

- W porządku. Nie wiem, która godzina, ale nie powinniśmy już jechać na lotnisko?

Nie odpowiedział. Zamknął za sobą drzwi, błysnęła zapalka i Bastien zapalił świecę.

- Nie polecisz dzisiaj - oznajmił w końcu.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewała.

- Dlaczego?

- Lotniska zamknięte. Śnieg sparaliżował całe miasto. Nie będziemy... Okno... - Bastien zawahał się, nie dokończył zdania.

- W porządku. Rozumiem. Śnieg zasypał okno. Dam sobie radę. Już jestem spokojniejsza. Poza tym mamy latarkę, świece.

Skinął głową. Gdzieś zdobył ciepłą kurtkę. Chloe podejrzewała, że w ogóle się przebrał, chociaż jego czarne ubranie niczym się nie różniło od tego, w którym widziała go wcześniej.

- Jest tu gdzieś toaleta?

- Jest, bardzo...

Zeskoczyła z łóżka, zanim dokończył zdanie.

- Bardzo prymitywna, ale działająca. Piętro niżej, bezpośrednio pod nami. Zaprowadzę cię.

Łazienka rzeczywiście była prymitywna, ale toaleta działała, w kranie była bieżąca woda, nawet stare lustro nad umywalką. Chloe przemyślała twarz i po chwili wahania odważyła się zerknąć na swoje

odbicie.

Była pewna, że zobaczy podkrążone oczy, bladą, wymizerowaną twarz, widome ślady ostatnich przeżyć. Tymczasem nic takiego. Wyglądała jak dawna, dobrze jej znana Chloe. Rzeczowa dziewczyna o miłym wyglądzie, mocno piegowata, z przedziwną czupryną, sterczącą wokół głowy niczym aureola. Tyle że aureola była ciemna, a ona ani trochę święta.

Zgasła światło, zanim wyszła i uświadomiła sobie, że nie wie, jak otworzyć drzwi. Zapukała w nie lekko i Bastien uchylił je z drugiej strony. Nie widziała go, ale kiedy poczuła jego dłoń zaciskającą się na jej dłoni, nie szarpnęła się, nie protestowała. Była szczęśliwa, że za chwilę znajdzie się na powrót w bezpiecznej kryjówce na strychu.

Gdy wrócili, od razu ułożyła się na łóżku. W maleńkim pokoju ledwie mogli się pomieścić. Bastien ponownie zapalił świecę, po czym z tylnej kieszeni spodni wyjął pistolet i położył na stoliku. Spojrzała na broń, jakby miała przed sobą jadowitego węża. W pewnym sensie tak było, tyle że pistolet miał ją uratować, oznaczał życie, nie śmierć. Taką żywiła nadzieję.

- Co teraz? - zapytała.

- Teraz coś zjemy. - Zjedzą coś! Miała ochotę go ucałować. - Większość sklepów zamknięta, ale udało mi się zrobić zakupy. Tylko mi nie mów, że nie jesteś głodna. Nie przyjmuję do wiadomości żadnych wykrętów. Twoje perypetie jeszcze się nie skończyły. Musisz mieć siły, jeśli chcesz się uratować.

- Umieram z głodu. Co przyniosłeś?

Dopiero teraz zauważyła dużą papierową torbę. Bastien kupił bagietki, ser brie, gruszki, czerwone pomarańcze. Była nawet butelka wina. Miała ochotę rozeźmiać się w głos, ale wiedziała, że jeśli zacznie, nie będzie mogła przestać i dostanie hysterii. Oddychaj głęboko, powtórzyła sobie w myślach kilka razy. Oddychaj...

Zjedli bagietki z serem, potem owoce. Gruszka smakowała wspaniale, była dojrzała, soczysta. Chloe zajadała się, ocierając usta serwetką, bo Bastien pomyślał także o tym. Pochłonięta jedzeniem nie zdawała sobie sprawy, że on cały czas ją obserwuje.

Kiedy zwracała mu butelkę, upiwszy łyk wina, ich palce spotkały się na moment. Chloe szybko cofnęła dłoń, spłoszona, wywołując uśmiech na twarzy Bastiena.

Kiedy już się najedli, Bastien schował resztki do torby i położył ją na stoliku obok świecy. Żadne z nich nie tknęło pomarańczy.

- Co teraz? - zapytała Chloe, opierając się o ścianę.

- Teraz się prześpimy - powiedział, rozkładając cienki pled na podłodze przy łóżku.

- Wyspałam się za wszystkie czasy. Mam wrażenie, że spałam kilka dni, chyba mi na razie wystarczy.

Bastien podniósł wzrok.

- Co w takim razie proponujesz?

Nie miała odpowiedzi na to pytanie, ale przez lata mieszkania w Paryżu zdążyła się nauczyć bardzo wiarygodnie wzruszać ramionami i tak też uczyniła. Potem wyciągnęła się na wąskim łóżku i utkwiała

wzrok w płomieniu świecy, chociaż czuła, że Bastien nie przestaje się jej przyglądać.

Nie potrafiła powiedzieć, jakie myśli chodzą mu po głowie. Być może żałował, że obarczył się kłopotem w postaci upartej Amerykanki, że nie pozwolił Hakimowi dokończyć dzieła. Albo że sam z nią nie skończył, kiedy zorientował się, jaka potrafi być nieznośna. Skoro tego nie zrobił, teraz musiał się z nią męczyć.

Zgasił jedną świecę i wyciągnął się na cienkim kocu rozłożonym na twardej podłodze.

- Możesz położyć się obok mnie - powiedziała niespodziewanie dla samej siebie. - Zmieścimy się.

- Śpij, Chloe.

- Wiem, że cię nie interesuję jako kobieta i bardzo mnie to cieszy. To, co zdarzyło się wczoraj... Jakieś wariactwo...

- Przedwczoraj - poprawił ją rzeczowo. - Wykonywałem swoje zadanie.

Wykonywał zadanie. Chloe zaniemówiła na moment, po czym wzięła głęboki oddech.

- Tym bardziej nie ma powodów, żebyśmy nie mogli spać w jednym łóżku. Nie będziesz mnie zaczepiał. Tutaj jest strasznie zimno, obojgu będzie nam cieplej, jeśli położysz się obok mnie.

W półmroku nie była w stanie dojrzeć wyrazu jego twarzy, ale czuła, że Bastien powoli traci do niej cierpliwość.

- Na litość boską - westchnął - przestaniesz wreszcie gadać? Ty się wypalaś za wszystkie czasy, a ja przymknąłem oczy może na godzinę.

Po trzech dobach bez snu. Miej litość, błagam cię. Jestem tylko człowiekiem.

- Wątpię - mruknęła obrażona, wydeła usta, po czym ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami i wbiła wzrok w brudną, spękana ścianę.

- Merde - zakławszy z fasonem, Bastien podniósł się, zdmuchnął świecę i położył się obok Chloe. - To cholerne łóżko jest takie wąskie, że nie mogę cię nie dotykać - powiedział taki tonem, jakby to była jej wina.

Łóżko rzeczywiście było bardzo wąskie; Chloe czuła jego ciało przywierające ciasno do jej ciała. Gdyby ktoś teraz wdarł się niespodzianie do ich kryjówki, pierwszy ofiarą napastników padłby Bastien. Tylko dlatego chciała, żeby położył się obok niej, tak w każdym razie usiłowała tłumaczyć sobie swoją wspaniałomyślną propozycję.

Kiedy miała Bastiena blisko, była bezpieczna, mogła się ogrzać jego ciepłem, odprężyć. To kwestia przeżycia, walki o samą siebie, monologowała w duchu.

- Jakoś to zniosę - uspokoiła go. - Jeśli jednak myślisz, że ja... - Położył jej dłoń na ustach, uciszając w pół słowa. Jego palce pachniały sokiem z gruszki i był to bardzo miły, podniecający zapach. Chyba nadal jestem głodna, przemknęło jej przez głowę. Ale nikt jej nie zmusi do zjedzenia czerwonej pomarańczy. Jej kolor za bardzo kojarzył się z krwią.

- Zamknij się, do jasnej cholery - szepnął słodkim głosem - albo zaraz cię zwiążę jak baleron, zaknebluję i położę na podłodze. Zrozumiano?

Prawdopodobnie tak właśnie by zrobił, Chloe nie miała co do tego wątpliwości. Skinęła głową i Bastien powoli cofnął dłoń. Zamierzała mu jeszcze powiedzieć, że wcale nie miała ochoty dzielić z nim łóżka i że to żadna przyjemność, raczej przejaw tak zwanych uczuć wyższych, ale wołała nie przeciągać struny.

Zrobiło się jej rozkosznie ciepło, kiedy tak leżeli przytuleni do siebie. Była na niego wściekła, była obrażona, a jednocześnie czuła się cudownie. Doprawdy sprzeczne uczucia, mieszanka niezbyt wskazana dla ludzi nawykłych do kierowania się żelazną logiką.

Po kilku solidnych łykach czerwonego wina, z Bastienem tuż obok, było jej tak dobrze, że teraz mogłaby rzeczywiście zasnąć, chociaż naprawdę nie odczuwała już potrzeby snu.

Ciekawe, jak zamierzał wyekspediować ją z Paryża całą i żywą? Im dłużej czekali, tym sytuacja stawała się groźniejsza, tym bardziej było prawdopodobne, że ktoś trafi na ich ślad. Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby przedostała się do innego kraju, Szwajcarii czy Niemiec i odleciała do Stanów z Zurychu albo Frankfurtu?

Jej paszport został w Mirabel, pamiętała o tym. Niepotrzebnie pytkowała, kiedy Bastien powiedział zaraz po ich przyjeździe do Paryża, że postara się o nowy. Zresztą, nawet gdyby go nie zostawiła w pałacu, i tak nie mogłaby go teraz użyć.

Do tej pory ktoś już na pewno znalazł zwłoki biednej Sylvii. Zawiadomił policję, która wszczęła śledztwo. Teraz zatem będzie miała na karku nie tylko zawodowych morderców, ale również organy ścigania.

Powinna właściwie się cieszyć. Nawet jeśli wsadzą ją do aresztu ja-

ko główną podejrzaną, uznawszy, że to ona jakimś cudem zakatrupiła Sylwię, lepsze to, niż zginąć z rąk sadystycznych zbrodniarzy.

Wszystko stawało się zupełnie nierealne. Widziała na własne oczy, jak Bastien, jedyny człowiek, który teraz mógł ją uratować, zabija Hakima. Ten okrutny epizod zatarł się szczęśliwie w jej pamięci, obraz stracił brutalną wyrazistość. Oto Hakim torturuje ją, zadaje cierpienia, a w chwilę później leży w kałuży krwi na podłodze.

Bastien go zabił, Bastien, z którym kilka godzin wcześniej uprawiała chory seks w kącie swojego pokoju na zabytkowej sofie. To też z chęcią wymazałaby z pamięci, nazwała jakoś inaczej, ale był to seks, inaczej nie sposób określić ćwiczeń fizjologicznych, którym się oddawali. A już najbardziej haniebne było to, że miała najpotężniejszy orgazm, jakiego doświadczyła kiedykolwiek w swoim dotychczasowym życiu.

Pocieszała się, że z czasem zapomni o tych kilku chwilach ostrego seksu. Powoli nawet zwłoki Sylvii zaczynały tracić swój rzeczywisty, upiorny wymiar. Prędzej czy później wszystko odpłynie w niebyt, utknie gdzieś na dnie świadomości, a ona będzie żyła swoim dawnym, przedparyskim życiem. O niczym nie będzie musiała myśleć, niczego się lękać. Znowu będzie bezpieczna i szczęśliwa.

Być może tak właśnie ludzie radzą sobie z traumatycznymi doświadczeniami. Dziewiętnaście godzin spędzonych w smolistych mroczkach kopalni to była dziecinna, w przenośni i dosłownie, igraszka w porównaniu z tym, co przydarzyło jej się ostatnio. Tam nikt nie zginął, nikomu nie stała się krzywda, w nikim nie obudziła się obrzydliwa, chora fascynacja...

Nie, dość tego, lepiej zrobi, gdy nie podaży ani kroku dalej za tokiem swych myśli, które już od dobrej chwili toczyły się samopas w zgoła niepożądanym kierunku.

Próbowała odsunąć się trochę od Bastiena, ale on tylko przygarnął ją mocniej do siebie.

- Leż spokojnie - mruknął sennym głosem.

Odnosiła wrażenie, a każdy by to poczuł w takim czułym uścisku, że Toussaint jest podniecony, co oczywiście nie mogło być prawdą, bo przecież nie interesował się nią wcale, a ona nim aż za bardzo.

Syndrom sztokholmski, tak to się nazywa. Z syndromem sztokholmskim mamy do czynienia, gdy w osobniku uprowadzonym (w tym wypadku to ona) budzi się z gruntu niezdrowe, wręcz obsesyjne zainteresowanie osobnikiem (w tym wypadku to on) uprowadzającym. W sytuacjach ekstremalnych taka reakcja jest z psychologicznego punktu widzenia jak najbardziej zrozumiała.

A Bastien, ratując jej życie, związał ją ze sobą, niechcący ma się rozumieć, wręcz nierozzerwalnym węzłem. Sytuacja tym bardziej skomplikowana, że Chloe uprawiała z nim seks, jeszcze zanim dowiedziała się, z jak niebezpiecznym typem ma do czynienia.

Na litość boską, dlaczego ona ciągle rozmyśla o tym seksie?

Ponieważ leżała przy Bastienie, czuła tuż obok jego silne ciało i równie silną erekcję. Silne ciało, jedyna tarcza, jedyna zaporą, która odgradzała ją od wiszącej nad nią śmierci.

Pragnęła Toussainta.

Jednak on jej nie pragnął. Jak to ujął? Po prostu „wykonywał swo-

je zadanie". Trzeba powiedzieć, że wykonał je bardzo dobrze. Dobrze też, że zaraz potem stracił zainteresowanie jej skromną osobą. Chciał, żeby wyszła cało z opresji i czym prędzej wróciła do domu - jeszcze lepiej.

Obudziła się w niej niezdrowa fascynacja, właściwie nie ma się czemu dziwić. Kiedy wróci do domu, kiedy trochę ochłonie, spojrzy na wszystko z dystansu, zobaczy sprawy we właściwym świetle.

Bastien miał rację, łóżko było zdecydowanie za wąskie. Nie mogła się odsunąć ani o centymetr. Zdołała jedynie odwrócić głowę i spojrzeć na jego twarz. Bastien spał. Niewiarygodne, ale tak właśnie było. Nie obudziło go nawet wiercenie się Chloe. Ledwie go widziała w ciemnościach, w końcu dała sobie spokój, przestała wykręcać szyję. Słyszała teraz tylko jego oddech, czuła bicie jego serca.

Miał jednak serce, a już była bliska zwątpienia. Miał serce. Był osobnikiem rodzaju ludzkiego i z jakichś sobie tylko wiadomych powodów postanowił uratować jej życie, choćby po drodze przyszło mu położyć trupem kilku prześladowców.

Czegóż więcej można chcieć od faceta?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Straszna kobieta, myślał Bastien. Wreszcie się uspokoiła, przestała wiercić i zasnęła. Była gotowa kłócić się o wszystko, słowo za słowo, ale wystarczyło jedno spojrzenie tych wielkich brązowych oczu, by w Bastienie budziło się poczucie winy, coś, czego nie doświadczał od lat, co było mu zupełnie obce.

Nie powinien był przyjmować zaproszenia i kłaść się obok niej. Oczywiście tak było cieplej, poza tym lepiej jest spać na cienkim nawet materacu niż na twardej podłodze, mając za posłanie cieniutki koc. Co gorsza dobrze było czuć Chloe tak blisko. Pasowali do siebie niczym dwie połówki i to go wysoce niepokoiło. Miał ochotę przewrócić Chloe na plecy, zerwać z niej dżinsy i dokończyć, co ledwie zaczął dwa dni wcześniej.

Nie był pewien, czy zanim zasnęła, wyczuła jego podniecenie. Raczej nie. Wydawało się, że jest zupełnie nieświadoma, jakie wrażenie na nim wywiera. Na szczęście. Nie chciał, żeby i tak już zagmatwana sytuacja zagmatwała się jeszcze bardziej, a tak by się stało, gdyby kochał się z Chloe.

Już się z nią przespał, właściwie należałoby powiedzieć „przeleciał ją”. I na tym należało poprzestać. Zareagował zupełnie normalnie. Odezwał się popęd, to wszystko. W sytuacjach krytycznych takie rzeczy się zdarzają, a jego sytuacje krytyczne zawsze podniecały, lubił ten dreszczyk emocji towarzyszący każdemu niebezpieczeństwu. Może to wstrętne, ale prawdziwe.

Perspektywa śmierci zaostrzała apetyt na życie, chciał je smakować w jego najbardziej pierwotnych aspektach. Chciał uprawiać seks. Może budził się w nim instynkt jaskiniowca, jakaś zapomniana i zdegenerowana potrzeba przedłużania gatunku, a może była to fascynacja seksem i śmiercią, tajemniczym związkiem między tymi sferami życia.

W zależności od sytuacji, pozwalał tym pierwotnym instynktom dochodzić do głosu albo je tłumił. Często zdarzało mu się pracować z

agentkami, które odczuwały coś podobnego i szybki, ostry seks był tym, co mobilizowało ich do działania, dodawało sił w momentach zagrożenia.

Ale Chloe nie była agentką. Była od niego o osiem lat młodsza, miała zupełnie inne doświadczenia, o ile w ogóle jakieś miała, poza tym żyła w zupełnie innym niż on świecie. Sytuacje krytyczne z całą pewnością nie budziły w niej popędu seksualnego.

Minie sporo czasu, zanim ochłonie po wstrząsie, o jaki musiał przyprowadzić ją widok zaszlachtowanej przyjaciółki i chwile spędzone w towarzystwie pomysłowego Hakima. W końcu jednak otrząśnie się, pozbiera, tego był pewien. Była młoda, silna. Potrafiła radzić sobie ze stresem, pokonała nawet atak klaustrofobii i teraz spała spokojnie, pomimo wiszącego nad nią niebezpieczeństwa.

Pachniała nim, Chloe pachniała teraz tak jak on. Pewnie dlatego, że tak długo była otulona jego płaszczem. Wydało mu się to bardzo zmysłowe, ale wszystko, co łączyło się z Chloe, wydawało mu się bardzo podniecające.

Ten cholerny śnieg nie mógł spaść w mniej dogodnym momencie. Gdyby nie to, Chloe byłaby już w drodze do domu, gdzieś nad Atlantykiem, a on szykowałby się do następnego zadania, swojego ostatniego.

Musi doprowadzić zlecenie do końca, dowiedzieć się, jak kartel chce podzielić terytoria wpływów i kto zastąpi Remarque'a. Hakim nigdy nie miał zbyt wielkiej władzy. Prawdę powiedziawszy, zawsze odgrywał rolę zaledwie asystenta Remarque'a, człowieka, który wypełnia

polecenia.

Pracował efektywnie, był dokładny, skrupulatny, ale to wszystko. To inni podejmowali decyzje w sprawach kapusty i cielęciny. W kwestii rakiet dalekiego zasięgu i pocisków z czujnikami podczerwieni. Transportów pomarańczy i hektolitrów przelewanej krwi.

Christos stanowił wielki znak zapytania. Dlaczego nie pojawił się w Mirabel? Jakie miał plany? Co zamierzał, czego chciał?

Christos, którego znał Bastien, nigdy nie działał bez starannie opracowanego planu. A skoro już miał plan, starał się zyskać popleczników. Przynajmniej jedna osoba w Mirabel musiała być wtajemniczona w jego zamiary- taką przyjmował zwykle taktykę. Osobą tą mógł być baron, tylko z pozoru śmieszny i niegroźny starzec.

Mogła być to nawet Monique, osoba niezwykle przebiegła, zdolna do wszystkiego, lubiąca ból i seks, zupełnie nieprzewidywalna. Bastien dotąd nie poznał jej słabych punktów... Mógł to być Ricetti albo Otomi, madame Lambert czy nawet asystent Ricettiego. Nieważne, że ten elegancki młody człowiek był, podobnie jak Bastien, agentem Komitetu. Każdy w każdej chwili może przejść na stronę wroga, to tylko kwestia odpowiedniej ceny.

Jedna rzecz była pewna. Christos nie mógł przejąć władzy nad karktelem i Bastien otrzymał wyraźne polecenie. Miał uniemożliwić wybór nowego szefa, a właściwie nie tyle wybór, bo tu niewiele mógł zrobić, co zatwierdzenie Christosa na stanowisku i realne przejęcie przez niego rządów.

Thomason nie chciał powiedzieć, jakie ma plany wobec pozostałych

członków kartelu. Czy po zlikwidowaniu Christosa zamierzał zrobić z nimi porządek? Raczej nie, Komitet wolał mieć do czynienia z dobrze rozpracowaną organizacją, którą łatwo inwigilować i kontrolować. Po co ryzykować, że w miejsce rozbitego kartelu powstanie jakiś nowy twór i trzeba będzie wszystko zaczynać od początku.

Cokolwiek Thomason postanowi, Bastiena to już raczej nie obejdzie. On miał wykonać tylko jedno zadanie: zabić Christosa. Potem sam zostanie zlikwidowany. Koniec. Kropka. Wszystko skończone.

Poruszył się i dotknął policzkiem dziwacznej czupryny Chloe. Wyglądała zupełnie inaczej po tych postrzyżynach, których sama dokonała w jakimś akcie desperacji. Młódziej, bardziej niewinnie.

I była jeszcze ładniejsza. Jej nowy wygląd uzmysłowił mu tym wyraźniej, że Chloe jest nieosiągalna, przynajmniej dla niego. Nie miał prawa jej dotykać. To by tylko niepotrzebnie skomplikowało i tak już skomplikowaną sytuację.

Powinien przestać o niej myśleć i spróbować się przespać. Zapomnieć, że nozdrza drażni jej zapach. Był przecież wyjątkowo zimnym i zdyscyplinowanym facetem, potrafi sobie poradzić z takim trywialnym drobiazgiem jak zapach kobiety. Zamknął oczy i usnął, wsłuchując się w jej równy, spokojny oddech.

Chloe nie potrafiła powiedzieć, skąd wie, że minęło właśnie południe. W pokoju panowały egipskie ciemności, żaden promyk światła nie przedostawał się przez zasypane śniegiem okno w dachu. Jakby miała w organizmie bardzo dokładny zegar wewnętrzny. Codziennie rano budziła się punktualnie o ósmej trzydzieści, czy musiała czy nie, a gdy coś ją

niespodziewanie wyrwało ze snu w środku nocy, zawsze wiedziała, bez patrzenia na budzik, która jest godzina.

W ostatnich dniach wszystko uległo zaburzeniu, została brutalnie wytracona ze zwykłego rytmu. Nigdy dotąd nie spała po tyle godzin, być może w ten sposób odreagowywała koszmary, które były jej udziałem. Spała jak suseł i miała wrażenie, że mogłaby spać jeszcze, kto wie, czy nie w nieskończoność. W dodatku budząc się, nie potrafiła powiedzieć, czy spała piętnaście minut czy trzy dni.

Bastien leżał obok niej. Musiała obrócić się we śnie, bo trzymał ją w ramionach, głowę miała opartą na jego ramieniu, rękę trzymała na jego piersi. Powinna się odsunąć, uwolnić z jego objęć, ale nie zrobiła tego. Nie drgnęła nawet, nie poruszyła się o milimetr, tylko szeroko otwierała oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek w nieprzeniknionym mroku.

Bastien spał głębokim, spokojnym snem. Zapewne zawdzięczał to samodyscyplinie. Taki ktoś jak on nie mógł przecież banalnie chrapać, jak większość facetów. Spał tak smacznie, chyba nawet by nie poczuł, że Chloe wyswabada się z jego objęć, odwraca do niego tyłem. Czuła się... nieswojo, leżąc z jego ramionach. Zakłopotana i zbита z tropu. Ta bliskość wprawiała ją w popłoch. Sama już nie wiedziała, jak określić swój stan.

Syndrom sztokholmski, powtórzyła w myślach z niejaką rezygnacją. Właściwie niezupełnie. Nie mogła nawet powiedzieć, że lubi tego faceta. Musi się go trzymać, ale kiedy wróci do domu, wszystko znowu nabierze właściwego wymiaru, a ona spojrzy na swoje paryskie perypetie z właściwej perspektywy. Fascynacja Bastienem zniknie jak wysypka, co

najwyżej na dnie duszy pozostanie lekki niesmak.

Nie, może nawet nie będzie czuła niesmaku. Musiała przyznać, że Bastien Toussaint, czy jakkolwiek naprawdę się nazywał, był pięknym okazem mężczyzny. W dodatku ten piękny okaz mężczyzny zaangażował się bezpośrednio w ratowanie jej tyłka, już przynajmniej raz wybawił ją od śmierci, a teraz robił wszystko, żeby wyekspediować ją bezpiecznie z Francji. Tak wyglądały nagie fakty. Powinna być mu wdzięczna za wysiłki.

Wolała o tym nie myśleć. W ogóle nie chciała myśleć, o niczym. Ani o facecie, który spał teraz obok niej, ani o Sylvii leżącej na podłodze swojej sypialni z poderzniętym gardłem, ani o ludziach, którzy zasiadali przy długim stole konferencyjnym w pałacu Mirabel i udawali, że omawiają sprawy zakupu bananów, orzeszków ziemnych i kolumbijskiej kawy.

Lepiej myśleć o śniegu. Gęstym, białym śniegu okrywającym miasto grubym kobiercem, sypiącym z nieba wielkimi płatkami, powodującym zatory na drogach... Śnieg, który doprowadził do zamknięcia lotnisk i pchnął ją w ramiona zawodowego mordercy...

- Przestań o tym myśleć.

Bastien nie poruszył się nawet, jego spokojny oddech nie uległ zmianie, ale cichy głos przeciął mroczną ciszę niczym ostre szkło.

Odsunęła się od niego i przycisnęła do ściany, ale łóżko było tak rozpaczliwie wąskie, że ciągle dotykała jego ciała.

- Myślałam, że śpisz.

- Spałem, dopóki ty się nie obudziłaś.

- Nie wygłupiaj się. Nawet się nie poruszyłam. Otworzyłam oczy, to wszystko. Nie próbuj mi wmówić, że usłyszałeś, jak unoszę powieki.

- Jej głos brzmiał zgryźliwie, jakby w ten sposób dodatkowo próbowała zwiększyć dystans między nimi, wznieść dzielący ich mur, za którym znalazłaby bezpieczne schronienie.

- Nie - odparł powoli, z pozoru leniwie, ale ona nie dała się zwieść.

- Kiedy zaczęłaś znowu kombinować, rozmyślać, poczułem twój przyspieszony puls. Serce biło ci szybciej. To wystarczyło, nie musiałaś się ruszać. Wiedziałem, choć leżałaś cichutko jak trusia.

- Jesteś doprawdy niezwykły - sarknęła.

- Słucham?

Nie odpowiedziała. Ten facet mógł czuć przyspieszony puls, słyszeć bicie serca, ale wszystko wskazywało na to, że nie wie co to gryząca ironia. To jej specjalnie nie zdziwiło.

Zdumiewało ją natomiast co innego. Dlaczego tak mocno reagowała na jego bliskość? Czemu tak bardzo go pragnęła? Zupełne wariactwo, czyli uwiad zdrowego rozsądku. Gdy tylko śnieg przestanie padać, wsiądzie do samolotu i nigdy więcej nie zobaczy Bastiena Toussainta na oczy. Ta znajomość prowadziła donikąd, nie miała żadnej przyszłości.

- Która godzina? - zapytała.

- Jeszcze wcześniej. - Bastien odsunął się i podniósł z łóżka.

Odetchnęła z ulgą, w każdym razie tak próbowała sobie wmawiać.

- Co dalej? Wyjdziemy przed dom i będziemy lepić bałwana, zrobimy orła na śniegu czy urządzimy bitwę na śnieżki? - Każde słowo ociekało ironią i lodowatym chłodem, bardzo odpowiednim do temperatury panującej na zewnątrz. Bastien nie powinien wiedzieć, jak dziwne emocje nią targają, nie zdradzi się przed nim.

Zapalił świecę i Chloe ze zdumieniem stwierdziła, że na jego twarzy pojawił się cień zarostu. Było to niezwykle, bo dotąd zawsze pokazywał jej idealnie wygolone oblicze, czy to zabijając kogoś od niechcienia, czy też siedząc przez wiele godzin po turecku na podłodze i popijając nie swoje zresztą wino.

Miał bardzo potargane włosy, które wiły się w nieładzie wokół twarzy, w ogóle był teraz niezbyt schludny, a przez to bardziej ludzki, co mocno konfundowało Chloe.

- Na pewno pokrzyżowałam ci plany. Masz przecież jakieś prywatne życie - powiedziała ni stąd, ni zowąd i ponieważ ugryzła się w język.

Bastien, szeleszcząc torbą, wydobyl z niej resztki śniadania: kawałek bagietki i pomarańcze, po czym odwrócił się do Chloe z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Tylko oczy, jak zwykle, pozostały nieprzeniknione.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że ratując mnie, jakby zapadłeś się pod ziemię. Nie masz nikogo? Nikogo, kto będzie się zastanawiał, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje? - brnęła dalej, bo już nie mogła się wycofać.

Zawsze za dużo gadam, zżymała się w duchu.

- Nikogo?

- Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie. Nie musisz powtarzać po mnie każdego słowa - prychnęła w równym stopniu zakłopotana co poirytowana. - Kogoś, kto jest dla ciebie ważny. Z kim mieszkasz... Jakaś osoba, jakiś człowiek...

- Masz na myśli faceta? - zapytał, przerywając jej w najwyższym stopniu pokrętny wywód. Na jego twarzy pojawiło się autentyczne rozbawienie i Chloe zmieszała się do końca. - Uznałaś, że jestem gejem?

- Staralam się ująć to możliwie delikatnie - fuknęła. - Owszem, całkiem prawdopodobne, że jesteś gejem.

- Niby z czego to wnosisz?

Chyba zażąda, żeby pożyczył jej nóż, i obetnie sobie język. Jakim cudem rozmowa potoczyła się w tak idiotycznym kierunku? Powinna była milczeć, zamiast zadawać kretyńskie pytania.

- Wszystko jasne, Chloe - powiedział, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi. - Doszłaś do wniosku, że jestem gejem, ponieważ nie chcę z tobą spać. O to ci chodzi?

Jeszcze gorzej. Z każdą chwilą pogrążała się coraz bardziej. Jej głupia dociekliwość obróciła się przeciwko niej i teraz Bastien mógł sobie kpić w żywe oczy. Poczula, że robi się czerwona jak piwonia.

- Nie jestem aż tak próżna.

- Czyżby? Uważasz, że jeśli facet nie ma na ciebie ochoty, to prawdopodobnie w ogóle nie interesuje się kobietami? Tak należałoby rozumieć twoje dociekania. Nie rozumiem, dlaczego o tym wspomniałaś. Moje preferencje seksualne w ogóle nie powinny cię obchodzić.

- Nie obchodzą.

- To po co pytasz?

- Nie rób tego - wykrztusiła. - Dość, że tkwię tu z tobą, w czarnej norze, gdzie nie dochodzi jeden promyk światła. Nie przypieraj mnie jesz-

cze teraz do muru. Po prostu byłam ciekawa, dlatego zapytałam, to wszystko. Zostaw mnie w spokoju.

Ku jej zaskoczeniu nie ciągnął tematu. Usiadł na łóżku w bezpiecznej od niej odległości i podał Chloe kawałek lekko już zeschniętej bagietki.

- Cały ser zjedliśmy, zostały jeszcze dwie pomarańcze i ten kawałek bułki. Później pomyślimy o jakimś przyzwoitym posiłku.

- Gdzie mielibyśmy go zjeść? Na lotnisku? Śnieg przestał już padać? - Chloe ugryzła kęs bagietki i zaczęła go pracowicie przeżuwać.

- Od rana nie wychodziłem. Byłem tutaj cały czas z tobą i wiem dokładnie tyle, co ty. Tak czy inaczej niedługo się stąd wyniesiemy. Kiedy się ukrywasz, cała sztuka polega na ciągłym przemieszczaniu się, ustawicznej zmianie miejsca. Wkrótce mogą tu dotrzeć. Nie powinni nas już zastać. Na szczęście śnieg zasypał taksówkę, nie wypatrzą jej z helikoptera, ale im prędzej stąd znikniemy, tym dla nas bezpieczniej.

Bułka zupełnie straciła smak, ale Chloe jadła ją pomimo wszystko.

- Dokąd pojedziemy?

Bastien zaczął obierać pomarańczę i Chloe wzdrygnęła się na widok krwistego owocu, który pachniał pięknie, ale kojarzył się fatalnie.

- Nie wiem jeszcze. Otwórz usta. - Chciał jej podać ćwiartkę pomarańczy, ale pokręciła stanowczo głową.

Chwycił ją za brodę błyskawicznym gestem i powtórzył niemal srogim tonem, jakby przemawiał do krnąbrnego dzieciaka:

- Otwórz usta, Chloe, i zjedz kawałek pomarańczy. Natychmiast.

Nie miała wyboru, ścisnął palcami jej brodę, wpatrywał się w nią tym swoim nieprzeniknionym spojrzeniem, nie mogła się wykręcić.

- Otwieraj, już - powtórzył znowu, tym razem miękko, niemal czule i Chloe skapitulowała, pozwalając, by włożył jej do ust nieszczęsny kawałek pomarańczy, zarazem słodkiej i bardzo cierpkiej.

Przez moment myślała, że zaraz poczuje też smak jego ust, jego języka. Zwariowała kompletnie. Bastien cofnął się i powoli zabrał za jedzenie pomarańczy. Stracił całe zainteresowanie jej osobą. Bardzo dobrze. Świetnie. Będzie ją chronił przed innymi, a z jego strony też nic jej nie grozi. Powinna być szczęśliwa i dziękować losowi za taki układ. Naprawdę powinna.

- Przepraszam. - Zdumiały ją własne słowa, ale Bastiena przyprawiły o prawdziwy szok. Odwrócił powoli głowę i wlepił w nią niedowierzające spojrzenie. Chociaż raz jego oczy coś wyrażały.

- Co powiedziałaś?

Odchrząknęła zakłopotana. Czuła jeszcze w ustach smak pomarańczy, a na wargach dotknięcie jego palców.

- Przepraszam, że zadawałam ci głupie pytania, że się z tobą sprzeczałam, że uciekłam, że cię nie słuchałam. Zadałeś sobie wiele trudu, żeby mnie ratować, a ja bez przerwy tylko kłóczę się z tobą i narzekam. Naprawdę przepraszam i jestem ci bardzo wdzięczna.

Wstał z łóżka, odsunął się na tyle, na ile mógł w ciasnej przestrzeni. Chloe nie była w stanie nic wyczytać z jego twarzy.

- Wdzięczna. A ja myślałem, że masz mnie za potwora z piekła rodem.

- Owszem, jesteś potworem - prychnęła ze złością - ale uratowałeś mi życie, przynajmniej dwa razy, a ja nawet nie powiedziałam dziękuję.

- Nie dziękuj mi jeszcze. Kiedy już wrócisz szczęśliwie do Stanów, wtedy możesz pomyśleć o mnie z wdzięcznością.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, nadstawiasz dla mnie kark? Wiem, mówiłeś, że wybawiłeś mnie z rąk Hakima przez kaprys, ale nie wierzę w to. Może wcale nie jesteś takim zimnym draniem, za jakiego się uważasz. Kiedy przyszło co do czego, nie mogłeś pozwolić, żebym zginęła. W głębi duszy czuję, że mam do czynienia z całkiem przyzwoitym człowiekiem, chociaż nie wiem, kim jesteś, czym się zajmujesz ani jak się naprawdę nazywasz.

- Moje prawdziwe nazwisko nie jest ci do niczego potrzebne - powiedział oschłym tonem. - Jestem zimnym draniem. Nie mam zwyczaju ratować życia damom, które płaczą się, gdzie nie powinny i wtykają nos w nie swoje sprawy. W twoim przypadku najlepszym wyjściem, żeby się ciebie pozbyć i mieć święty spokój, jest odesłanie cię z powrotem do Stanów.

- Nie zabiłbyś mnie - ciągnęła Chloe niezrażona. - Owszem, zabiłeś Hakima, ale jestem pewna, że nie mógłbyś zabić kobiety.

- Jesteś pewna, powiadasz?

Zirytował ją kpiący ton głosu Bastiena. Jej ojciec miał rację, nie potrafiła zamknąć ust w odpowiednim momencie, trąkotała jak najęta, nigdy nie wiedziała, kiedy przestać. Ale musiała przeprosić, musiała podziękować Bastienowi. Uratował ją, nadal ją chronił i robił to najpewniej ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości, której tak uparcie się wypierał. Nie

kierowały nim żadne osobiste sentymenty.

Podszedł do niej, zasłaniając światło świecy, i ujął pod brodę, unosząc twarz tak, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Popatrz na mnie, Chloe - powiedział cicho. - Przyjrzyj mi się dobrze i powiedz, czy widzisz przed sobą przyzwoitego człowieka. Człowieka, który nie zabije, jeśli nie musi.

Nie chciała patrzeć w ciemne, puste oczy, w których nie sposób cokolwiek wyczytać. Przez moment miała wrażenie, że widzi w nich tylko czarną otchłań. Próbowwała szarpnąć głową, ale Bastien mocniej zaciśnął palce na jej brodzie, zbliżył jeszcze twarz do jej twarzy, tak że poczuła zapach pomarańczy wionący z jego ust.

- Powiedz teraz, że jestem dobrym człowiekiem, Chloe - zażądał głuchym głosem. - Pokaż mi, jak bardzo jesteś głupia.

Okrutne słowa, pozbawiona wyrazu twarz, w której nie sposób doszukać się ciepła, iskry życia. Tylko ból i cierpienie ukryte tak głęboko, że nikt nie był w stanie ich dostrzec. Ból i cierpienie, które szarpały jego jestestwem. Chloe to widziała jakimś szóstym zmysłem, ona jedna odgadywała, co się dzieje w tym człowieku, umiała to wyczuć. Położyła dłoń na jego nadgarstku, nie po to, żeby go odepchnąć, tylko żeby go dotknąć.

- Nie jestem głupia - powiedziała ze spokojną pewnością.

Bastien nie odsunął się, a ona zamierzała go pocałować. I wiedziała, że on odda pocałunek, ponieważ gdzieś głęboko pod tym kamiennym chłodem kryło się pożądanie równie silne, jak jej własne.

Nie zdążyła zrealizować swojego zamierzenia, bo oto usta Bastie-

na dotknęły jej warg. Wychyliła się ku niemu całą sobą, ale Bastien poprzestał na ojcowskim cmoknięciu. To wszystko.

- Jestem diabłem wcielonym, Chloe - szepnął. - A ty jesteś idiotką, jeśli tego nie widzisz.

- Jestem idiotką. Niech i tak będzie - zgodziła się, czekając na następny pocałunek.

Ale następnego pocałunku już nie było. Milczeli oboje bardzo długo, w końcu Bastien zawołał półgłosem:

- Wejź, Maureen.

Drzwi się otworzyły, mroczny pokój zalało oślepiające światło, i natychmiast się zamknęły, ale Chloe zdążyła w tym czasie wtulić się w kąt łóżka, przywierając plecami do ściany i próbując dojrzeć nieoczekiwanego gościa.

- Przeszkodziłam w czymś, Jean-Paul? - W głosie kobiety dało się słyszeć nieukrywane rozbawienie. - Mogę przyjść później.

- W niczym nie przeszkodziłaś, Maureen, co najwyżej w małej lekcji przetrwania. Oto nasza dzielna Amerykanka i twoja nowa podopieczna. - Tu spojrzał ponownie na Chloe. - A to, ma chérie, jest Maureen. Czasami moja żona. Świetna agentka. Nie powierzyłbym cię nikomu innemu, tylko najlepszej. Od tej chwili ona będzie się tobą zajmować. Odwiezie cię na lotnisko i wyekspeduje do domu. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby nie wykonała powierzonego jej zadania.

- Och, raz czy dwa zdarzyło mi się jednak nawalić, ale w końcu zawsze wychodziłam cało z opresji. Damy sobie radę, ja i Chloe. - Maureen miała trzydzieści kilka lat, była atrakcyjna i elegancka. Sylvia pę-

kłaby z zazdrości na widok jej kostiumu.

Na myśl o Sylvii Chloe zeszywniała. Uśmiechnęła się sztywno do Maureen i zwróciła się do Bastiena. Czy też Jeana-Paula, jak nazywała go Maureen. Albo do człowieka bez imienia i nazwiska:

- Zostawiasz mnie?

Bastien nawet nie próbował ukryć rozbawienia.

- Porzucam cię, moja droga. Pozostawiam na łasce Maureen. Mam robotę, która na mnie czeka. Pilne sprawy, nie mogę dłużej ich odkładać. Wracaj szczęśliwie do domu, życzę powodzenia.

I już go nie było.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Kolejna ofiara podbojów Jeana-Paula - Maureen pokręciła głową z uśmiechem politowania. - Biedactwo. Wszystkie jesteście do siebie podobne: śliczne i żalosne. Jean-Paul nie potrafi się oprzeć ładnej buzi.

W jej głosie nie czuło się uszczypliwości, raczej życzliwość. Położyła na łóżku walizkę, z którą przyszła, po czym przechyliła głowę i otaksowała Chloe uważnym spojrzeniem.

- Jak się lepiej zastanowić, to chyba nie jesteś jednak w jego typie. On nigdy nie lubił ratować dziewczyc z paszczy smoka. Dziwię się, że sam cię nie sprzątnął. No, no...

Chloe, zaszokowana taką bezpośredniością, próbowała coś powiedzieć:

- On nie...

- Zapewniam cię, że on tak, jak najbardziej. Zdarzało się już, ale z jakichś powodów postanowił cię chronić i dlatego poprosił mnie o pomoc. Jak się do niego zwracałaś? - Otworzyła walizkę i zaczęła wyjmować ubrania, które przyniosła dla Chloe.

- Słucham?

- Nie przedstawił ci się przecież jako Jean-Paul, chociaż to też pewnie przybrane imię. Chyba już zapomniał, jak się naprawdę nazywa. Kiedyś był Etienne'em.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie ma żadnego - zgodziła się Maureen. - Przebierz się w czyste ciuchy, zanim ruszymy w drogę. Co ty masz na głowie, dziewczyno? Twoje włosy wyglądają jak po twórczym ataku Edwarda Nożycorękiego.

- Sama je zaatakowałam.

Maureen przyniosła czarne spodnie, czarną bluzę, nawet bielizna była w kolorze czarnym. Czarny strój to pewnie jedna z zasad regulaminu obowiązującego... szpiegów? Agentów?

- To widać - przytaknęła Maureen zdegustowanym tonem. - Wszystko jedno. Jak dotrzesz do domu, zrobisz z nimi porządek. A teraz przebieraj się. - Oparła się o ścianę, przyjmując wyczekującą pozę.

Chloe nie zamierzała przebierać się przy obcej kobiecie.

- Mogłabyś zostawić mnie samą?

- Wy Amerykanki jesteście okropnie pruderyjne. Myślałam, że kilka dni spędzonych z Jeanem-Paulem trochę cię odblokowało.

Chloe nie odpowiedziała. Było oczywiste, że Maureen nie zostawi jej samej. Nie miała wyjścia, musiała przebrać się w jej obecności.

W pokoju panował straszny ziąb. Spojrzała na swoje ramiona, ale ślady po torturach zadanych przez Hakima prawie zniknęły. Dwa dni temu wyglądała upiornie, teraz co najwyżej sprawiała wrażenie trochę zmęczonej i zziębniętej.

Sięgnęła po czystą bluzę, ale Maureen ją powstrzymała:

- Ściągaj wszystko - powiedziała rozkazującym tonem. - Zdziwiłabyś, co ludzie potrafią wydedukować na podstawie ubrania. Nie możesz się zdemaskować. Pozbądź się wszystkiego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Jasne, że nie rozumiesz. Zdejmuj stanik. Nie wiem, skąd go wytrzasnęłaś. Na pewno nie kupiłaś w Paryżu. Biały, bawełniany... W sam raz dla zakonnic. Nie masz za grosz wyczucia stylu?

- Niewielkie. Skąd wiesz, że rzeczy, które przyniosłaś, będą na mnie pasować?

- Jean-Paul powiedział mi, jaki rozmiar mam kupić. Wszystko z pewnością będzie pasować. Powiedz mi, jaki on był?

Chloe z pewnym ociąganiem zdjęła swój pozbawiony wyrazu stanik i włożyła nowy, z czarnej koronki, który rzeczywiście pasował na nią idealnie.

- Jaki on był? - powtórzyła powoli.

- W łóżku, dziewczyno - wyjaśniła Maureen, lekko zniecierpliwiona gapowatością Chloe. - Mieliśmy romans kilka lat temu i muszę powiedzieć, że Jean-Paul wykazywał w łóżku wiele... inwencji.

Do dziś bardzo miło wspominam tamte noce, ale ty nie wyglądasz mi na taką, która potrafiłaby w pełni wykorzystać oferowane przez niego rozkosze.

Chloe szybko skończyła się przebierać, by nie przedłużyć krepującego spektaklu.

- Nie twoja sprawa.

- Owszem, moja. Muszę wiedzieć, jak bardzo jest tobą zainteresowany. Ostatnio dziwacznie się zachowuje, a to, że upatrzył sobie takiego niewinnego wróbelka jak ty, to już naprawdę szczyt dziwactwa.

- Nie upatrzył mnie sobie. Po prostu poczuł się za mnie odpowiedzialny po tym, jak... - przerwała, niepewna, ile Maureen wie.

- Po tym, jak zabił Hakima - dokończyła jej nowa opiekunka. - Przynajmniej tę część zadania udało mu się wypełnić - mruknęła. - W dalszym ciągu nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego nie zczekał, aż Hakim z tobą skończy. Albo dlaczego sam cię nie zabił, kiedy stwierdził, że jeszcze zipiesz - pokręciła z niedowierzaniem pięknie ostrzyżoną głową.

- Nie zamierzał zabijać Hakima...

- Ależ zamierzał. Po to, między innymi, pojechał do Mirabel. Ty po prostu przypadkiem stanęłaś mu na drodze. Nie wmówił ci chyba, że ukatrupił Hakima w rycerskim porywie, dla twoich pięknych oczu.

- Nie - bąknęła Chloe.

Stała bez ruchu i patrzyła w osłupieniu, jak Maureen dokonuje szczegółowej inspekcji łóżka i ściąga koc okrywający materac.

- Nie wygląda mi na to, żebyście skracali tu sobie czas baraszko-
waniem, ale nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie lepiej mieć się na
baczności, niż żałować niedbalstwa. Teraz w prawie każdym laboratorium
można przeprowadzić testy DNA.

- Mylisz się bardzo. Bas... Jean-Paul nie interesuje się mną ani tro-
chę. Zawadzałam mu, dlatego poprosił ciebie o pomoc.

- Na to wygląda. Ale nie uwierzę, że zupełnie nic między wami nie
było. On ma nienasycony apetyt, a ty na swój amerykański sposób mo-
żesz być całkiem atrakcyjna.

Chloe zbyła tę uwagę milczeniem. Chociaż drzwi były otwarte, po-
kój wydawał się jeszcze bardziej ciasny i klaustrofobiczny, zapewne za
sprawą niewybrednych dociekań i komentarzy Maureen.

- Możemy już iść? Chciałabym jechać prosto na lotnisko, jeśli to
możliwe.

Maureen wrzuciła stare rzeczy Chloe do walizki i zatrzasnęła wieko.

- Owszem, pora się zbierać - oznajmiła spokojnie. - Tyle że nie po-
jedziemy na lotnisko.

Z każdą chwilą robiło się zimniej. Stary dom był nieogrzewany i
ziąb coraz bardziej dawał się Chloe we znaki.

- A dokąd? - zapytała.

- Ja pojedę do swojego szefa. Zamelduję mu, że wykonałam zadanie.
A ty, moja droga, nigdzie się nie wybierasz. Musisz zginąć.

Intuicja nigdy nie zawiodła Bastiena. Zawsze wiedział, kiedy misja
rozłazi się w szwach, na odległość wyczuwał, czy ktoś jest wtyczką, po-
trafił bezbłędnie wyliczyć, kiedy trzeba atakować, a kiedy należy się wy-

cofać. Błyskawicznie się orientował, komu i na ile może zaufać, a kto okaże się zdrajcą.

W ostatnich miesiącach zaczynał tracić swój niezawodny węch. A może po prostu było mu wszystko jedno, może zobojeźniał, przestał myśleć o własnym bezpieczeństwie? Zadanie miał proste: zlikwidować Hakima, zebrać informacje o nowym podziale wpływów oraz nie dopuścić do mianowania Christosa nowym szefem kartelu.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby potrafił słuchać wewnętrznego głosu, który ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. Głos nie zamilkł, odzywał się nadal, naszeptował coś do ucha, ostrzegał go przed czymś. Przed czym?

Jechał przez zasypane śniegiem ulice Paryża, oczywiście z zabójczą prędkością. Ruch był trochę mniejszy niż zwykle, za to utrudniony przez warunki atmosferyczne. Maureen podstawiała mu pod dom najnowszy model bmw, zbyt zrywny i zbyt szybki wóz na jazdę po mieście, zwłaszcza zimą, ale Bastien bez przeszkód dotarł do hotelu, śmigając między samochodami i tylko raz ocierając się o jakąś taksówkę.

Taksówka.

Znaleziono kierowcę, którego ogłuszył, związał jak baleron, zakneblował i zostawił w podziemnym garażu. Facet miał podcięte gardło, zginął tak, jak zginęła przyjaciółka Chloe. Bastien powinien był przewidzieć, że nie zdoła umknąć, że będą deptać mu po piętach.

Kiedy jechał do Maureen, kupił gazetę i z niej dowiedział się o śmierci biednego taksówkarza, ojca czwórki drobiazgu spłodzonego z żoną-kaszalotem. Jeśli uda mu się przeżyć najbliższe dni, prześle im ja-

kieś pieniądze. Nie zrekompensują śmierci męża i ojca, ale zmniejszą trochę wyrzuty sumienia, bo skutkiem ubocznym pracy dla Komitetu były ustawiczne wyrzuty sumienia.

To zapewne Thomason kazał zabić kierowcę. Kontrolował każdy krok Bastiena i likwidował niewygodnych świadków. Nie uwierzył w bajeczkę o śmierci dziewczyny. Zastosował zwykłą w takich razach procedurę. Ostatecznie organizacja nie przetrwałaby tak długo, gdyby ludzie zaczęli opowiadać, co widzieli. Tajność była podstawą działania Komitetu, rzeczą ważniejszą niż same misje, których podejmowali się agenci. Właściwie była jedna, zawsze ta sama misja - ratować świat.

Dojeżdżał do hotelu. Miał tu zarezerwowany niewielki apartament, członkowie kartelu byli już na miejscu, czekano tylko na Christosa. Bastien mógł przystąpić do realizacji zadania, spokojny, że przekazał Chloe Underwood w ręce najlepszej agentki, jaką znał.

Pracował z Maureen wiele razy, przy rozmaitych okazjach. Ostatnio odgrywała nawet rolę jego żony. Wiedział, że wsadzi Chloe bezpiecznie do samolotu i wreszcie będą mogli zapomnieć o małej Amerykance. On właściwie już mógł zapomnieć i skupić się na najbliższym zadaniu.

A jednak nurtował go dziwny niepokój. Coś było nie tak. Nie potrafił powiedzieć, o co chodzi, odczucie było trudne do nazwania, irracjonalne, ale bardzo wyraźne. Ufał Maureen bez zastrzeżeń. Ich romans przerodził się w trwałą przyjaźń, która wykraczała daleko poza wspólną pracę dla Komitetu. Bastien wiedział, że na Maureen może liczyć zawsze, w każdej sytuacji.

Dlaczego zatem coś mu nakazywało zawrócić, upewnić się, czy

wszystko w jest porządku? Może po prostu trudno mu było rozstać się z Chloe. Od bardzo dawna nie dopuszczał do siebie nikogo zbyt blisko, wystrzegał się poważniejszych związków. Nie był pewien, czy zależy mu na Chloe, ale zdecydował się ją uratować i to połączyło ich o wiele silniej, niż mógłby uczynić seks.

Gdyby to było takie proste. Gdyby chodziło jedynie o to, że nie chce się z nią rozstawać, zignorowałby irytujące podszepty wewnętrznego głosu. W jego życiu nie było miejsca na sentymenty. Dawno się ich wyzbył, jeśli w ogóle kiedykolwiek je posiadał. Kiedy dowiedział się, że matka i ciotka Cecylia zginęły w pożarze hotelu w Atenach, po prostu wzruszył ramionami. Ten etap życia zostawił dawno za sobą, zamknął i odrzucił.

Teraz odrzuci wszystkie myśli związane z Chloe i skupi się na czekającym go zadaniu. Nie musiał już się o nią martwić, czuć za nią odpowiedzialny. Prawdę powiedziawszy, od samego początku nie był jej nic winien. Chciał jej pomóc i pomógł, to wszystko. Teraz może o niej zapomnieć.

Wziął ostro zakręt, wozem zarzuciło i omal nie doszło do kolejnej stłuczki. Zachowywał się jak skończony idiota, ale zawrócił spod hotelu i teraz zmierzał ponownie do domu na przedmieściu. Może po to, żeby się pożegnać. Może chciał się upewnić, że z Chloe wszystko w porządku. Pocałować ją po raz ostatni. Kochać się z nią tak, jak na to zasługiwała.

Co za bzdury chodzą mu po głowie. Gdyby miał odrobinę rozumu, machnąłby ręką na złe przeczucia i zajął się czekającym go zleceniem.

Miał zlikwidować Christosa, a potem ustalić, jakie plany ma wobec niego Thomason, to było ważniejsze.

Niestety rozum go opuścił. Bastien po prostu wiedział, że nie będzie w stanie zająć się niczym innym, dopóki nie sprawdzi, czy Chloe jest bezpieczna.

Chloe podarowała sobie głupie pytania w stylu: O co chodzi? Co to ma znaczyć? Dokładnie wiedziała, o co chodzi. Wiedziała od momentu, kiedy Maureen przekroczyła próg ich przytulnej kryjówki. Maureen mogła sobie mówić o nowej fryzurze, bezpiecznym powrocie do domu, o konieczności włożenia nowych ciuchów, ale Chloe wiedziała, że agentka nie zamierza wsadzić jej do samolotu. Nawet nie potrafiła już odczuwać strachu.

- Dlatego Bastien cię tu ściągnął? Bo nie chciał sam tego zrobić?

- Ach, Bastien. To wcielenie okazało się niezbyt udane. Gdybyś zetknęła się z którymś z wcześniejszych, nigdy nie opuściłabyś Mirabel. Ja jestem tu po to, żeby naprawić, co on schrzanił. Dbalność o szczegóły to jedyna gwarancja skuteczności.

Stała w przejściu, zagradzając drogę ucieczki. Była wyższa niż Chloe i choć wyglądała jak subtelna dama, musiała być znacznie od niej silniejsza. W dodatku Chloe, po przejściach ostatnich dni, nie mogła się pochwalić najlepszą kondycją.

Siedziała na skraju łóżka w nowych ciuchach i patrzyła w oczy morderczynie. Czuła się odrętwiała, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Czekwała, potulnie, bezwolnie, jak owca, którą mają zaraz zaszlachtować. Nie próbowała walczyć, bronić się...

Nie, nie pozwoli się zabić. Wyprostowała plecy, ale Maureen była szybsza.

- Zamierzasz stawiać opór? - zapytała z nieznacznym uśmiechem. - W porządku. Zaaplikuję ci solidną dawkę bólu. Zrobiłaś ze mnie idiotkę przed moimi szefami, a ja tego nie lubię.

- O czym ty mówisz?

- O Jeanie-Paulu, Bastienie, czy jak go tam nazywasz. Jesteś żywym, jeszcze żywym, dowodem na to, że dzieje się z nim coś dziwnego. Pomieszałaś mu szyki, odciągnęłaś od zadania. To mu się nigdy nie zdarzało. Twoja śmierć będzie moim prezentem dla niego.

- Sprowadził cię tutaj po to, żebyś mnie zabiła?

- Już o to pytałaś, chérie. I zapewne zauważyłaś, że nie udzieliłam ci odpowiedzi. Nie dowiesz się. Będiesz wydawała ostatnie tchnienie, nadal nie znając prawdy. A teraz rusz się.

- Dokąd?

- Ten pokój jest opancerzony. Może przetrwać pożar, a ja wolę nie ryzykować. Wystarczy już tych fuszerek.

- Chcesz podpalić dom? Po co w takim razie kazałaś mi się przebierać?

- Diabeł tkwi w szczegółach. Chociaż ja nie wierzę w diabła. W Boga też nie. Wolę polegać na samej sobie. Mogą znaleźć twoje szczątki, będą próbowali je identyfikować. Gdybyś była Angielką albo Niemką, nie zwracałabym uwagi na detale, ale Amerykanie lubią robić straszny szum, kiedy gdzieś za granicą ginie obywatel ich pięknego kraju. Wychoź, chérie. Zmarnowałyśmy już dość czasu.

- A jeśli nie będę chciała się mszyć? Zabijesz mnie tutaj?

- Ruszysz się. Zrobisz wszystko, żeby odwlec moment śmierci. To bardzo ludzkie, uwierz mi. Tak więc będziesz robiła wszystko, licząc do ostatniej chwili, że się uratujesz, uciekniesz. Oczywiście nic ci nie pomoże, ale podobno nadzieja umiera ostatnia. Teraz grzecznie wstaniesz i zejdziesz piętro niżej. Tam poderżnę ci gardło, a potem podpalę ten dom. Wszystko już przygotowałam. Przywiozłam benzynę...

Chloe nie interesowała benzyna ani metody skutecznego wzniesienia pożarów.

- Poderżniesz mi gardło?

- Tak. To bardzo dobry sposób zabijania. Nie lubię broni palnej. Będziesz miała cichą śmierć, żadnych strzałów. Najwyżej pocharczysz sobie trochę, zanim wydasz ostatnie tchnienie. To pewien mankament, oczywiście dla ciebie, nie dla mnie. Będziesz trochę dłużej konała. Chcę, żebyś się męczyła. Mam do ciebie osobistą urazę. I to nie tylko z powodu Jeana-Paula. Widzisz, ja nie popełniam błędów, a przez ciebie już raz się zbłądziłam. Teraz zamierzam zatrzeć niemiłe wrażenie.

- O czym ty mówisz?

- Jesteś aż taka tępa? Mówię o twojej przyjaciółce. Miałam numer mieszkania, opis, wskazówki i napatoczyłam się na nią. Skąd mogłam wiedzieć, że nie mieszkasz sama? Byłam bardzo zakłopotana, kiedy mi powiedziano, że zabiłam niewłaściwą osobę.

- Zakłopotana? - powtórzyła Chloe.

Na stole ciągle stała pusta butelka po winie. Marna broń, jeśli druga strona dysponuje nożem czy pistoletem, ale zawsze coś. Gdyby tylko

miała dość odwagi, by ją chwycić.

- Koniec końców nie stało się nic złego - ciągnęła Maureen. - I tak musiałabym ją zabić, tylko później. Tym razem porządnie wypełnię zadanie, nie popełnię pomyłki.

- Zabiłaś Sylvie? - bardziej stwierdziła niż zapytała Chloe.

Maureen prychnęła w odpowiedzi, wyraźnie zniecierpliwiona.

- Przecież mówię. Ma się rozumieć, że ją zabiłam. Strasznie się bro- niła. Nie oczekiwałam takiego oporu. Myślała pewnie, że to złodziej. Walczyła jak sam diabeł. Jeszcze mam siniaki. Ty z pewnością będziesz spokojniejsza...

Chloe zdzieliła ją butelką w głowę i rzuciła się do wyjścia, słysząc jeszcze za sobą wściekły wrzask Maureen.

Niezbyt dobrze zapamiętała plan domu, ale udało się jej znaleźć schody. Rzuciła się biegiem po stopniach w dół, Maureen biegła za nią, ale Chloe miała nad nią kilka metrów przewagi.

Potknęła się na pierwszym podeście, Maureen już nadbiegała, była coraz bliżej.

Chloe zbiegła na parter, niemal czując na karku ciężki oddech swo- jej prześladowczymi, na oślep dopadła drzwi wejściowych i znalazła się na zaśnieżonym ganku, skąd wiodło kilka stopni na dziedziniec, gdzie koło krzewów stała taksówka skradziona przez Bastiena.

Tu właśnie, na stopniach, dopadła ją Maureen. Rzuciła się na nią jak kocica, chwyciła za włosy i szarpnęła z całych sił do tyłu.

- Suka - bluznęła Maureen.

Miała twarz zalaną krwią, nie była już ani piękna, ani elegancka, tyl-

ko rozwścieczona do ostatnich granic. Przycisnęła Chloe mocno do ziemi i uniosła nóż, który zaciskała w dłoni. Dlaczego zawsze musi być nóż, pomyślała Chloe trochę od rzeczy. Dlaczego nie pistolet? Dlaczego, do diabła, nikt nie chce jej zastrzelić? Zadać szybkiej śmierci, zamiast zęcać się nad nią jak szurnięty chirurg na dopalaczach.

Chloe odeszła cała odwaga. Zamknęła oczy, gotując się na najgorsze i usłyszała gardłowy śmiech Maureen:

- To mi się podoba. Grzeczna dziewczynka. Już nie będziesz mi się stawiać.

- Przestań, Maureen!

Niemożliwe, żeby to był głos Bastiena, Przecież zostawił ją, pojechał gdzieś... Zmienił zamiar? Wrócił, żeby raz jeszcze uratować jej życie, jak to zrobił w Mirabel?

- Odejdź, Jean-Paul - powiedziała Maureen jakimś upiornie spokojnym głosem, nie odwracając nawet głowy, by spojrzeć na Bastiena. - Wiesz, że tak trzeba. Nie mamy wyboru.

- Zostaw ją natychmiast. - Głos rozbrzmiewał teraz bliżej, ale Maureen nie słuchała.

- Zdecyduj się, Jean-Paul - zaczęła - ona albo... - Rozległ się cichy odgłos wystrzału, a potem Chloe usłyszała przekleństwo wydobywające się z ust Maureen: - Cholera - mruknęła z niedowierzaniem agentka, która nigdy nie popełnia błędów, i upadła na plecy, po czym zsunęła się po ośnieżonych stopniach, lądując bezwładnie u stóp Bastiena.

Na stopniach został czerwony pas, krwawy ślad na oślepiająco białym śniegu, znaczący ostatnią drogę Maureen. Chloe próbowała się pod-

nieść, ale powstrzymał ją ostry rozkaz Bastiena:

- Nie ruszaj się. - Pochylił się i uniósł ciało Maureen. Na chwilę jakby zapomniał o obecności Chloe. Zaniósł Maureen do taksówki, brnąc w głębokim śniegu.

Chloe podniosła się i na niepewnych nogach zeszła powoli po stopniach na dziedziniec. Powinna zebrać siły, uciekać, szukać pomocy...

Stała bez ruchu.

Bastien ułożył Maureen na tylnym siedzeniu wozu, zamknął jej oczy delikatnym gestem.

- Wybacz, moja kochana - szepnął, po czym zatrzęsął drzwiczki.

Chyba jest zaszokowany, że mnie widzi, stojącą tutaj, tak blisko niego, bez ruchu, pomyślała Chloe na wpół przytomnie. Była zupełnie odrętwiała, nie czuła absolutnie nic, zbyt wstrząśnięta, by zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Miała wrażenie, że mogłaby tak stać w nieskończoność i wpatrywać się nieruchomo w Bastiena, nie zważając na mróz i padający śnieg.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dzieliło ich od siebie zaledwie kilka stóp, kilka stóp śniegu znaczonego krwią. Nie zastanawiając się, co robi, Chloe podeszła do Bastiena, przywarła do niego kurczowo i wtuliła twarz w jego ramię. Drżała tak strasznie, jakby miała za chwilę się rozsypać, rozpaść na tysiąc kawałków. Drżała i powstrzymywała się z całych sił, żeby nie krzyknąć.

Bastien otoczył ją ramionami, zamknął w swoich objęciach i przytulił mocno. Przecież był bardzo silny, emanował ciepłem, niemożliwe, by i on drżał, musiało się jej wydawać. Położył jej dłoń na głowie i zaczął delikatnie głaskać po włosach.

- Oddychaj - szeptał. - Oddychaj głęboko, powoli. Spokojnie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Bastien ujął ją pod brodę, kciukiem przesuwając po szyi, jakby masował jej gardło, chcąc przywrócić zdolność oddychania. Chloe wciągnęła powietrze... raz... drugi... Ciągle jeszcze drżała.

- Musimy się wynosić - szepnął i Chloe poczuła, jak wzbiera jej w piersi histeryczny śmiech. Śmiech... albo krzyk. Nikogo tu nie było, Maureen nie żyła, otaczała ich tylko śnieżna zadymka. Jeśli zaczną krzyczeć, i tak nikt jej nie usłyszy.

Nie wydała żadnego dźwięku. Chłoneła siłę Bastiena, grzała się w jego ciepło, przejmowała je, czuła, jak zaczyna rozchodzić się falami po jej ciele. Trwała tak długo, wczepiona w niego, a on się nie ruszał, dając jej czas na ochłonięcie, odzyskanie, na ile to możliwe, równowagi.

W końcu uniosła głowę. Nie zmienił się ani trochę, wyglądał tak jak zawsze. Dwukrotnie na jej oczach zabił człowieka i pozostawał nieporuszony jak głaz. Jakby sam nie był człowiekiem, tylko monstrum pozbawionym wszelkich uczuć, niezdolnym do żadnej żywszej reakcji.

Potwór? Być może. Ale to jej potwór, który ją chroni, nic więcej nie miało w tej chwili najmniejszego znaczenia.

- Jestem gotowa.

Bastien skinął głową i ujął ją za rękę. Była lodowata, wilgotna od

śniegu. Odciągnął Chloe z miejsca zabójstwa. Niebo pociemniało, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to ze względu na późną godzinę, czy też z powodu nasilającej się zimy. A może po prostu to tylko ona wkroczyła w strefę mroku, odcinając się od świata pełnego przemocy i krwi? Przekroczyła jakąś barierę psychiczną i raptem wszystko wokół pociemniało, nabrało ołowianych barw?

Bastien obchodzi się ze mną niezwykle delikatnie, pomyślała z dziwną obojętnością. Podprowadził ją do samochodu, którego wcześniej nie widziała, otworzył drzwiczki, usadowił ją na przednim siedzeniu, zapiął pas. Zostawiła w domu jego płaszcz i nagle to właśnie stało się dla niej najważniejsze, jakby płaszcz stanowił jej zbroję, tarczę ochronną.

- Twój płaszcz...
- Do diabła z płaszczem. Nie jest mi do niczego potrzebny.
- Ale mnie jest.

Bastien nie ruszył się, stał przy otwartych drzwiczkach i patrzył na nią, zasłaniając niebo. Jakby się zastanawiał, czy postradała rozum. Tak, postradałam rozum, przemknęło jej przez myśl.

W końcu skinął głową.

- Zaczekaj. Nie ruszaj się - powiedział i zamknął drzwiczki.

Chciało się jej śmiać. Nie była w stanie się ruszyć. Była przypięta pasem, a palce odmawiały posłuszeństwa, nie odpięłyby sama klamry. Nie uszłyby jednego kroku. Wszystkie siły, jakie jej pozostały, wkładała w to, by oddychać, tak, jak jej kazał. Głęboko, powoli.

Nie wiedziała nawet, kiedy wrócił. Otworzył drzwiczki z jej strony

i zarzucił ciepły płaszcz na ramiona Chloe, po czym spojrzał jej w twarz.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne.

Chyba udzieliła złej odpowiedzi, bo Bastien zmarszczył czoło, zachmurzył się, w końcu kiwnął głową.

- Trzymaj się.

A co mi, u diabła, pozostaje? Tylko trzymać się, pomyślała, odchylając głowę na oparcie fotela.

Zamknęła oczy i Bastien ruszył ku centrum Paryża, dociskając, jak zwykle, gaz do deski. Jego głos docierał gdzieś z daleka. Słuchała go nieuważnie, wtulona w płaszcz, jej mózg właściwie nie pracował, niewiele rejestrował, jakby został sparaliżowany, jakby trwał od dłuższego czasu w stuporze.

- Lotniska znowu są otwarte, ale najpierw pojedziemy do hotelu, muszę załatwić kilka spraw. Pojedziesz ze mną, bo tylko tak mogę zapewnić ci bezpieczeństwo.

Chloe otworzyła oczy.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytała i nie poznała własnego odmienionego, zdławionego, ledwie dobywającego się z gardła głosu. Co się z nią, u licha, dzieje? Jakby ktoś uwięził ją w bryle lodu.

Bastien nie patrzył na nią, zajęty prowadzeniem. Mieszkała dwa lata w Paryżu, a nigdy nie odważyła się usiąść za kierownicą. Miała się za osobę odważną, zaradną, ale żeby jeździć po Paryżu, na to nigdy się nie zdobyła. Sylvia śmiała się z niej, nazywała ją strachajłem. Sylvia...

- Oddychaj - nakazał Bastien ostro.

Podjechał pod hotel „Denis”, jeden z najlepszych hoteli w Paryżu, niewielki, ekskluzywny, elegancki. Zatrzymał się, wyskoczył z samochodu i był już przy drzwiczkach od strony pasażera, ledwie portier zdążył je otworzyć. Bastien powiedział coś do niego, pomógł wysiąść Chloe i objął ją wpół, przytulając do siebie, niczym troskliwy kochanek.

- Udawaj zasnęła - szepnął po niemiecku, co wcale jej nie zdziwiło. - Powiedziałem, że właśnie przyleciałaś z Australii i jesteś nieprzytomna po podróży. Nikt nie będzie się dziwił ani zadawał pytań. - Pocałował ją w skroń, a ona chętnie oddałaby pocałunek, gdyby tylko starczyło jej sił.

Kiedy przechodzili przez niewielkie hotelowe lobby w kierunku wind, Chloe miała wrażenie, że śledzi ją tysiąc spojrzeń. Chociaż była otulona płaszczem, chociaż czuła ciepło ciała Bastiena, przenikał ją lodowaty chłód.

Dotarli w końcu do jego pokoju, zupełnie nie wiedziała, jak to się stało. Weszli do środka, Bastien zamknął drzwi, zapalił światło, ale Chloe chyba nadal nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

- Zimno mi - powiedziała nienaturalnie podniesionym głosem i zrzuciła płaszcz tam, gdzie stała, więc upadł na podłogę. - Jest mi zimno i jestem cała mokra. - Dotknęła wilgotnej od śniegu bluzy, nie mogąc zrozumieć, dlaczego bluza jest przemoczona.

- Musisz odpocząć. Załatwię suche ubrania. Nie planowałem, że cię tu przywiozę. Sypialnia jest za twoimi plecami. Połóż się do łóżka, ogrzej się trochę.

Jeszcze raz dotknęła mokrej bluzy, spojrzała na dłonie i ujrzała z przerażeniem, że całe są we krwi. Skierowała wzrok na Bastiena. Musiał wcześniej wytrzeć ręce, ale ciągle dało się dojrzeć na nich ciemne plamy.

Dopiero teraz spostrzegła mokrą plamę na jego czarnej koszuli. Wiedziona impulsem dotknęła jego piersi, poczuła bicie jego serca...

- Jesteś ranny? - zapytała. - Twoja koszula...

Bastien pokręcił głową.

- To krew Maureen. Oboje mamy na sobie krew Maureen.

Te rzeczowe słowa przepełniły miarę.

- Zdejmij to ze mnie! - zawołała z płaczem, szarpiąc bezradnie bluzę. - Proszę... ja... ja już nie mogę! Nie wytrzymam! - Pierwsze otępienie minęło i Chloe była teraz na skraju hysterii.

Wróciła z niebytu do koszmarnej rzeczywistości. Miała krew zabitej kobiety na rękach. Czowała, że jeśli nie pozbędzie się natychmiast zakrwawionej bluzy, stanie się z nią coś straszego.

- Uspokój się. - Bastien chwycił za dół bluzy i ściągnął ją z Chloe. Zobaczył czarny koronkowy stanik, smugi krwi na jasnej skórze i zaklął głośno.

Chloe nie była w stanie dobrać słowa. Nieskoordynowanymi, gwałtownymi ruchami szarpała na sobie spodnie, usiłując przy tym chwycić oddech. Bastien wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki. Postawił ją w białym pod prysznicem, odkręcił wodę i sam też wszedł do kabiny.

Zaczął ją myć, mydlił ciało, a Chloe łkała i teraz szarpała jego ubranie. Bastien rozebrał się, zrzucił koszulę, spodnie, próbując jednocze-

śnie przytrzymywać Chloe jednym ramieniem.

Wyjęła mu mydło z ręki i zaczęła z gorączkowym zapamiętaniem i pośpiechem mydlić mu tors. Koniecznie chciała zmyć do końca ślady krwi, śmierci, zbrodni...

- Dość. - Bastien ujął Chloe za nadgarstek, mydło upadło na kafelki, a on przygarnął ją do siebie i tak stali przez chwilę w strugach ciepłej wody, nadzy, złączeni w kurczowym uścisku.

Muszę wszystko zmyć, wszystko usunąć, zlikwidować, myślała histerycznie. Woda nie pomoże, nie wystarczy. Mydło to za mało. Potrzebowała czegoś więcej, a erekcja Bastiena wskazywała, że on czuje podobnie. Może w innej sytuacji nie zareagowałby na jej nagość, ale teraz pragnął jej równie mocno, jak ona jego.

Obydwoje szukali zapomnienia. Całkowitego, absolutnego zapomnienia.

Dotknęła go i spojrzała mu w twarz.

- Proszę - szepnęła. - Ja chcę...

- Wiem.

Bastien nie zakręcił nawet wody. Wziął Chloe na ręce i zaniósł do sypialni...

Bastien obrócił się na plecy. Dał Chloe to, czego tak rozpaczliwie potrzebowała, czego on sam potrzebował niemal jak tlenu.

Nie pocałowali się ani razu w czasie tego krótkiego aktu, który odbywał się jakby w transie. Ale tu nie chodziło o pocałunki, pieszczoty, czułość. Chodziło o powrót do życia. O seks i ponowne narodziny, o cierpienie i żądzę. Wystarczyło, by spojrzał teraz na Chloe, i znowu

wzbierało w nim pożądanie.

Zastanawiał się, czy mogliby być razem, czy pragnęli siebie nawzajem wystarczająco mocno, czy też potraktowali seks jako rodzaj narkotyku, broni, narzędzia. Nigdy się tego nie dowie. Jeszcze tego wieczoru wykona zleczone zadanie, potem wsadzi Chloe do samolotu. Przeżyje, musi przeżyć, choćby po to, by wyekspediować ją bezpiecznie do domu. A potem się zobaczy. Albo go zlikwidują, albo zostawią w spokoju.

Prysznic ciągle był odkręcony. Hotel „Denis” miał nieograniczone zasoby ciepłej wody, jak przystało na miejsce tak ekskluzywne. Bastien spojrzał jeszcze raz na śpiącą głębokim, spokojnym snem Chloe. Zazdrościł jej, że może trwać, chociaż przez chwilę, w błogiej nieświadomości. On miał zbyt wiele spraw na głowie. Musiał zapewnić jej bezpieczeństwo, wypełnić misję. Nie mógł zanurkować pod kołdrę, wziąć Chloe w ramiona i zapomnieć o wszystkim.

Otulił ją starannie, nachylił się, pocałował ją i wyszedł.

Chloe otworzyła oczy z wysiłkiem, niemal wbrew sobie. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Wydawało się jej, że w swojej sypialni, ale nie, na pewno nie u siebie w domu. Coś się nie zgadzało. Uchylone drzwi prowadzące do drugiego pokoju, dochodzący zza nich stłumiony głos - to wszystko było obce i niezwykle. Czuła się dziwnie, rozluźniona, a równocześnie spięta.

I wtedy sobie przypominała. Wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. Gwałtownym gestem zasłoniła usta, tłumiąc jęk. Co ona najlepszego zrobiła? Spała z Bastienem. Znowu. Ale to było nic w porównaniu z krwią, śmiercią i grożącym jej niebezpieczeństwem.

Z sąsiedniego pokoju dochodził jego spokojny, przytłumiony głos. Bastien rozmawiał przez telefon. Może powinna podejść do drzwi, posłuchać, o czym on mówi, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Musi się wykąpać, zmyć Bastiena ze swojego ciała, potem znajdzie jakieś ciuchy, ubierze się i ucieknie.

W łazience nie było śladu po czarnym stroju, w który wyposażyła ją Maureen. Bastien musiał go usunąć, dzięki Bogu. Wzięła szybki prysznic, owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni. Zrzuciła ręcznik, który wydał się jej za mały, owinęła się dla odmiany prześcieradłem i tak odziana, niczym w rzymskiej todze, podeszła do drzwi.

Ciekawość wzięła jednak górę i Chloe na moment zatrzymała się, nastawiając uszu.

- Wszystko już przygotowane - mówił Bastien chłodnym, wypranym z wszelkich emocji tonem. - Ja dotrzymam słowa, ty postaraj się zrobić to samo. Jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, cokolwiek, natychmiast się wycofuję. Rozumiesz? - W głosie Bastiena zabrzmiała wyraźna pogroźka i Chloe przeszedł dreszcz.

Bastien zamilkł, ona czekała na następne słowa, wyteżając słuch.

- Zgoda, o ile dotrzymasz warunków - powiedział. - Ja nie blefuję. Ona jest moją stawką.

Rozmowa dobiegła końca, Chloe policzyła do stu i pchnęła drzwi. Bastien siedział w fotelu, z wyciągniętymi daleko przed siebie nogami. Nie poruszył się nawet, kiedy weszła. W pokoju, na szczęście, panował półmrok. Nie zniosłaby chyba ostrego, silnego światła.

Miała wrażenie, że jej w ogóle nie zauważył, ale szybko rozwiązał to

złudzenie.

- Usłyszałaś coś interesującego?

Powinna była wiedzieć, że nic się przed nim nie ukryje. Bastien zawsze wiedział, co ona robi, zdawał się nawet odgadywać jej myśli. Miał jakiś szósty zmysł, którym wszystko wyczuwał i który zapewne pozwalał mu przetrwać tak długo wśród morderców.

- Tylko tyle, że jestem twoją stawką. - Chloe zrobiła kilka kroków, poprawiając prześcieradło. - Chcesz mnie przehandlować?

Dopiero teraz odwrócił głowę, spojrzał na Chloe i w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia na widok jej niezwykłego stroju.

- Owszem, chcę cię przehandlować za dwa woły i tuzin kurczaków.

- Inaczej mówiąc, dwie rakiety dalekiego zasięgu i tuzin uzi. Byłam przy waszych rozmowach w Mirabel.

Bastien uśmiechnął się.

- Co wiesz o raketach dalekiego zasięgu i uzi?

- Niewiele - przyznała, podchodząc bliżej.

- No to ci powiem, że są warte więcej niż życie jednej kobiety.

- W twoim świecie życie w ogóle ma niewielką wartość - ledwie wypowiedziała te słowa, pożałowała ich, ale Bastien nie mrugnął nawet okiem.

- Tak właśnie jest. Tym trudniej będzie cię uchronić przed śmiercią.

- Po co mnie chronisz? Przecież tylko ci zawadzam.

- Zawadzasz? To delikatnie powiedziane. Ja też nie wiem, po co -

stwierdził ze wzruszeniem ramion. - W holu znajdziesz coś do ubrania. Przygotuj się na wieczór.

Człowiek lubi mieć coś na grzbiecie niezależnie od pory dnia, pomyślała zgryźliwie i niemniej zgryźliwie zapytała:

- Wychodzimy gdzieś? Zapraszasz mnie na kolację?

- Będiesz miała okazję spotkać starych znajomych. Barona, jego żonę, pana Otomiego i resztę. Mój nieoczekiwany wyjazd i jakże tragiczna śmierć Hakima sprawiły, że konferencja została przerwana, zanim pojawił się najważniejszy uczestnik. Przylatuje dzisiaj wieczorem i będziemy mogli dokończyć rozmowy.

- I chcesz, żebym ci towarzyszyła? - zapytała Chloe, nie wierząc własnym uszom.

- Tak. Cały czas będziesz przy mnie. Będziesz robiła to, co każę, a kiedy dam ci znak, zaczniemy się kłócić. Wyjdiesz zdenerwowana, pójdziesz do toalety i zaczekasz tam na mnie. Masz tam siedzieć i nie wychodzić pod żadnym pozorem, cokolwiek usłyszysz. Rozumiesz? To ważne.

- A jeśli nie przyjdiesz?

- Przyjdę z całą pewnością.

- A jak miesiąc na niebie wzejdzie wysoki, czekaj mnie, choćby przez piekło miały wieść do cię drogi - mruknęła.

- Słucham?

- Stara piosenka. O rozbójniku z gościńca. Zapewne jakiś twój protoplasta.

- Nie jestem żadnym rozbójnikiem, a ty wyczekującą mnie z utęsk-

nieniem dziewczęcą. I jakoś nie wyobrażam sobie, że palniesz sobie w głowę tylko po to, by mnie ostrzec.

Znał tę starą balladę. Powinna była się domyślić. Zawsze ją czymś zaskakiwał.

- Co mam włożyć? Małą czarną? Już dawno zauważyłam, że ty zawsze ubierasz się na czarno.

- Bo mam doskonały styl, czy też może jestem wcieleniem zła? - zapytał z lekką kpina w głosie i przechylił głowę.

- Ani jedno, ani drugie - odparowała bez namysłu. - Nosisz się na czarno, bo na czarnym nie widać krwi, oto dlaczego.

W pokoju zaległa tak absolutna cisza, że nieomal słychać było padający śnieg.

- Ubieraj się - powiedział w końcu Bastien.

W małym holu apartamentu czekała już cała wyprawka. Gdyby Sylvia zobaczyła nazwisko projektanta widniejące na torbach i pudłach, umarłaby chyba z zachwyty, a potem uznała, że trafiła do nieba...

Chloe nawet nie zdążyła skarcić się za niesmaczne myśli, kiedy obok niej stanął Bastien.

- Co się stało?

Chloe odwróciła się, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Spróbuj zgadnąć. Twoja przyjaciółka zabiła Sylvie, ale to jeszcze nie wszystko. Zabiła ją, myśląc, że to ja.

- Wiem.

- W takim razie dlaczego pytasz, co się stało?

- Bo nie mamy czasu na opłakiwanie Sylvii. Nie mamy czasu na żadne smutki i załamania. Będziesz mogła rozpaczać i wpadać w depresję po powrocie do domu. Teraz musisz mieć nerwy ze stali.

- A jeśli temu nie podołam? Jeśli nie potrafię się opanować? Zabijesz mnie?

- Nie. Jeśli się posypiesz, to zginiesz, ale zabije cię ktoś inny, nie ja. Ja też zginę. Zrozum, beze mnie nie przeżyjesz. Nie masz najmniejszych szans. I to nie jest z mojej strony ostrzeżenie, tylko motywacja, żebyś zmobilizowała wszystkie siły.

- Rozumiem. Dobrze wiem, że bez ciebie nie przeżyję - przytaknęła cicho.

- W takim razie opanuj się. Żadnych łez, żadnej paniki. Wytrzymałaś tyle, wytrzymaj jeszcze kilka godzin. Potem będziesz bezpieczna. Ty chyba możesz zrobić, wiem, że dasz sobie radę.

- Skąd wiesz? - głos łamał się jej niebezpiecznie. - Jestem wykończona.

- Jesteś niebywałą. Dotąd udało ci się przeżyć i nie pozwolę, by teraz przytrafiło ci się coś złego.

- Niebywałą?

- Ubieraj się - burknął, po czym odwrócił się i wszedł z powrotem do pokoju.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pomyślał o wszystkim. W pierwszej chwili sądziła, że zapomniał o staniku, ale gdy obejrzała suknię, zrozumiała, że trzeba ją nosić bez stanika. Majteczki z czarnej koronki bardziej przypominały stringi niż figi, pas i pończochy powinny przyprawić ją o szok, gdyby była zdolna do jakichkolwiek reakcji.

Zamówił nawet zestaw kosmetyków do makijażu i Chloe już nie wiedziała, kto jest bardziej niezwykły, Bastien czy ona.

Była ubrana, umalowana, niestety nie zdołała nic zrobić z włosami. Pozostawało udawać, przed sobą i innymi, że to, co ma na głowie, to najmodniejsza, bardzo wyrafinowana fryzura.

Spojrzała podejrzliwie na pantofle. Wysoki obcas, ale jej numer, świetnie układały się do stopy.

Bastien lepiej znał jej ciało niż ona sama. Poczuli się nieswojo na tę myśl. Znał, rozumiał jej ciało, a jednak pozostawał dla niej zagadką. Tajemnicą, której pragnęła, do której tęskniła. Powiedział, że jest niezwykła i ten komplement bardzo ją ucieszył.

Niebywale odważna, niebywale głupia, niebywale wścibska, niebywale fartowna. Jednym słowem niebywała, pod każdym względem. Syndrom sztokholmski, powtórzyła sobie w myślach. Nie szalej, dziewczyno. Kiedy wróci do domu i będzie wspominać swoje ostatnie dni we Francji, o ile w ogóle będzie je wspominać, zrozumie, jaka była żałosna i śmieszna.

Bastien stał przy wielkim oknie w salonie, w rozpiętej koszuli i z

czymś się mocował. Biała koszula? Czyżby nie przewidywał na ten wieczór żadnego rozlewu krwi?

- Musisz mi pomóc - mruknął, nie odwracając się do niej.
- Nie wierzę własnym uszom. Ty prosisz o pomoc?
- Każdemu może się zdarzyć... - chciał coś jeszcze powiedzieć, ale

zamilkł na widok Chloe.

Czuła się głupio w mocno dopasowanej, wydekoltowanej małej czarnej, ale uczucie ustąpiło miejsca zadowoleniu, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Może on też cierpi na syndrom sztokholmski, pomyślała, próbując znaleźć wytłumaczenie dla jego pełnego uznania spojrzenia.

Jeśli tak, to radził sobie z tą przypadłością znacznie lepiej niż ona, bo uznanie oraz zachwyty zniknęły błyskawicznie z jego twarzy. Chloe zaczęła się nawet zastanawiać, czy przypadkiem po raz kolejny nie doszła do głosu jej wybujała wyobraźnia.

- Nie mogę sobie z tym poradzić - powiedział.

Miał rozpiętą koszulę i próbował przylepić do skóry coś, co wyglądało na pierwszy rzut oka jak opatrunek. Ciekawe, po co? Przecież nie był ranny, wiedziała o tym aż nadto dobrze. Podeszła do niego powoli, nie mogła się wykręcić. Nie mogła i nie chciała.

- W czym mam ci pomóc?
- Muszę to przylepić pod czwartym żebrem i nie mogę sobie poradzić.

- Co to jest?

Bastien wahał się przez moment.

- Coś, co ma sprawić, by wszyscy uwierzyli, że dostałem kulkę w

pierś. Ampułka z czerwoną farbą i coś w rodzaju maleńkiego kapiszona, który wybuchnie w odpowiednim momencie i rozerwie ampułkę, wywołując taki odgłos, jakbym został trafiony. Wtedy na koszuli pojawi się plama krwi. Trzeba tylko umieścić to tak, żeby postrzał wyglądał na śmiertelny.

- Rozumiem. - Palce Chloe dotknęły jego gładkiej, ciepłej skóry, owionął ją znajomy zapach wody kolońskiej. - Tak dobrze?

- Czujesz zebra? Musisz przykleić trochę poniżej czwartego.

Chloe usiłowała oddychać normalnie, ale nic nie mogła poradzić na to, że podniecała ją bliskość Bastiena.

- Tak, czuję - powiedziała niezbyt pewnym głosem. - Jesteś chudy jak większość zabojadów. Chociaż jakoś nie wierzę w twoje francuskie pochodzenie.

- Nie wierzysz? - zapytał cicho. - W takim razie kim według ciebie jestem?

- Wrzodem na tyłku. - Odpowiedź jak każda inna, może tylko mało subtelna. Miała zostać rzucona ze swadą, tymczasem ledwie się dożyła z gardła Chloe. Wszystko przez tę bliskość i nagość Bastiena.

Przykleiła w końcu poduszczkę ze sztuczną krwią we właściwym miejscu.

- Teraz dobrze? - upewniła się jeszcze.

- Powinno być dobrze. Kapiszon rozerwie ampułkę, osmali koszulę i pojawi się piękna plama krwi, na tyle duża, że nawet jeśli trochę źle przykleiłaś, nikt się nie zorientuje.

Patrzył jej prosto w oczy, jego usta były tak blisko... Powinna teraz

położyć mu głowę na ramieniu i o niczym nie myśleć.

Cofnęła się o krok, Bastien zapiął koszulę, włożył smokingową marynarkę. Wyglądał świetnie, stylowo i wytwornie. Chloe nie odrywała oczu od jego palców, kiedy wiązał czarną jedwabną muszkę.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła raptem.

- O czym?

Niech go wszyscy diabli!

- O tym, co zdarzyło się niedawno. W sypialni - uściśliła na wypadek, gdyby Bastien próbował udawać, że nadal nie wie, o co chodzi.

- O czym tu mówić?

- Ale...

- To normalna ludzka reakcja. Instynkt zachowania gatunku, ma belle. Kiedy człowiek styka się bezpośrednio ze śmiercią, potrzebuje afirmacji życia. Nie ma w tym nic osobistego.

Ależ z niej idiotka. Po co się odzywała? Gdyby w ostatnich dniach potrafiła trzymać buzię na kłódkę, być może nikt nie zwróciłby na nią uwagi i obeszloby się bez seksu, przemocy oraz trupów.

- Masz rację - mruknęła i zabrzmiało to strasznie ponuro. - Syndrom sztokholmski.

- Co takiego?

Powiedziała to na głos. Teraz już nie mogła się wykręcić, więc powtórzyła wyraźnie, mocno akcentując sylaby:

- Syndrom sztokholmski. Stan psychiczny, opisywany nawet w podręcznikach psychologii. Zachodzi, kiedy zakładnicy zaczynają czuć...

- Wiem, co to jest syndrom sztokholmski. - Bastien miał tyleż przerażoną co rozbawioną minę. Była mu wdzięczna, że nie dał jej dokończyć zdania, przerwał, zanim powiedziała najgorsze. Nie pozwolił jej całkiem się pograżać. - Dotknęła cię ta przypadłość?

- Dziwisz się? - rzuciła, starając się, by zabrzmiało to lekko. - Ciągle ratujesz mi życie. Wisi nad nami śmiertelne niebezpieczeństwo, w dodatku od początku czuliśmy do siebie pociąg fizyczny.

Tylko że Bastien szybko się wycofał, przypomniała sobie i poczuła, jak oblewają ją fale gorąca.

- W każdym razie udało ci się wmówić mi, że to wzajemny pociąg - brnęła dzielnie. - To normalne w tej sytuacji. Trochę... uzależniłam się od ciebie. To przejdzie, kiedy tylko minie zagrożenie.

- Uzależniłaś się?

Nie miała żadnych widoków na to, by wyjść z tej rozmowy z twarzą. Trudno. Bastien chciał ją speszyć, wprowadzić w zakłopotanie. Proszę bardzo, niech próbuje. Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Pociągnie sytuację do końca, obróci w farsę. Żeby tylko nie zaczęła się czerwienić...

- Jesteś moim rycerzem na białym koniu - oznajmiła twardo. - Jesteś moim ideałem, wybawcą. Na razie. To na pewno minie.

Z twarzy Bastiena zniknęło rozbawienie.

- Nie, nie jestem rycerzem, ideałem ani wybawcą. Jestem mordercą, nikim więcej. Pamiętaj o tym. A ty mi tylko przeszkadzasz.

- To po co mnie tu przywiozłeś?

- Bo nie mam co z tobą zrobić.

Działo się coś, czego właśnie nie rozumiała, ale to coś dodawało jej odwagi, czyniło odporniejszą na zimne słowa Bastiena.

- Myślałby kto, że to takie trudne. Możesz przecież skrócić mi kark, poderżnąć gardło, zastrzelić - stwierdziła rzeczowo. - W kwestii zbijania chyba nie masz szczególnych skrupułów. Z łatwością mógłbyś się mnie pozbyć, tymczasem uparłeś się mnie uratować. Dlaczego?

- Ponieważ kocham cię nad życie. To silniejsze ode mnie. Rzuciłaś na mnie czar. Jestem twoim niewolnikiem. Nie mogę znieść myśli o rozstaniu z...

- Zamknij się - przerwała mu. - Wiem, że nic dla ciebie nie znaczę i nic do mnie nie czujesz, a moje uczucia do ciebie to tylko skutek uboczny hysterii wywołanej traumą, nic więcej. Jednak muszę ci powiedzieć, że nie jesteś takim potworem, za jakiego się uważasz.

- Nie? - Stała za blisko niego. Bastien uniósł dłoń, zacisnął palce na jej szyi i przyciągnął ku sobie. - Może czyjeś cierpienie i strach sprawiają mi rozkosz, może karmię się nimi. Może sprowadziłem cię tutaj, żeby zabić, i to dokładnie w tym momencie, w którym zaczniesz mi ufać.

Chloe przełknęła z wysiłkiem ślinę. Czuła, jak Bastien przesuwając delikatnie kciukiem po jej gardle i nie była to raczej pieszczota. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a nogi odmówią jej posłuszeństwa i osunie się na dywan, robiąc z siebie widowisko.

- A może po prostu chrzaniisz głupoty - zdobyła się na ripostę. - Nie pociągam cię, ale wcale nie zamierzasz mnie zabijać.

Uśmiechnął się krzywo.

-I tu bardzo się mylisz. - Zacisnął trochę silniej palce na jej szyi i zanim zdążyła się zorientować, przyparł ją do ściany, ujął pod brodę i spojrzał prosto w oczy.

Ciekawe, w czym mianowicie się mylę, pomyślała jakoś dziwnie obojętnie. Że go nie interesuję, czy że mnie zabije?

Bastien spieszył właśnie wyjaśnić jej wątpliwości:

- W innej sytuacji, w innych okolicznościach, poszlibyśmy do łóżka i nie wychodzili z niego przez kilka dni. Poznałbym każdy centymetr twojej skóry, każdy zakamarek ciała, doprowadzałbym cię do orgazmów raz za razem, aż usnęłabyś w moich ramionach zupełnie wyczerpana, po czym kochalibyśmy się od nowa.

Całowałbym twoje rany, piłbym twoje łzy, nauczył bym cię rzeczy, o których sam dotąd nie miałem pojęcia. Kochałbym się z tobą na ukwieconych łąkach w pełnym słońcu i nocą, pod rozgwieżdżonym niebem. I nie byłoby już śmierci, żalu, cierpienia. Pokazałbym ci świat, o którym ci się nawet nie śniło, świat, w którym nie byłoby nikogo poza nami i niczego poza naszym potężnym pożądaniem.

Chloe słuchała i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Oddychaj - powiedział łagodnie i dopiero teraz uświadomiła sobie, że rzeczywiście wstrzymała oddech.

- Tak byś zrobił?

- Tak bym zrobił. Ale nie zrobię. Nie jest to najlepszy pomysł.

- Dlaczego?

- Nie wyszłabyś na tym dobrze.

- Może pozwól mi samej ocenić, co jest dla mnie dobre, a co nie.

Bastien zaśmiał się. Chyba nigdy nie słyszała jego śmiechu, takiego zwykłego i beztroskiego, zwyczajnego. Pięknie wyglądał, kiedy się śmiał. Radosna twarz oświetlona srebrną poświatą księżyca...

Trwało to jedną chwilę i znowu otoczył ich mrok.

- Pamiętaj, że cierpisz na syndrom sztokholmski - powiedział z lekką kpiną w głosie. - Szybko z tego wyjdiesz. Po północy będziesz już siedziała bezpiecznie w samolocie, a za tydzień wszystko, przez co przeszłaś, będzie zaledwie senną marą, złym wspomnieniem. Za rok w ogóle nie będziesz mnie pamiętać.

- Nie sądzę.

Temat został zamknięty. Bastien cofnął dłoń.

- Zrobisz tak, jak powiedziałem? Kiedy dam ci sygnał, zaczniesz się ze mną kłócić, po czym wybiegniesz z sali i ukryjesz się w toalecie. Tam zaczekasz, dopóki po ciebie nie przyjdę. To nie powinno trwać zbyt długo. Nie denerwuj się. Po prostu czekaj.

- A jeśli nie przyjdiesz?

- Przyjdę, choćby przez piekło wiodły do cię drogi - oznajmił pewnym, beztroskim głosem. - Spotkasz starych znajomych z Mirabel. To będzie bardzo udany wieczór, zobaczysz.

- Przyrzekam, że zrobię wszystko, o co prosisz. Tym razem będę cię słuchać i będę trzymać buzię na kłódkę.

- Nie musisz. Nie zdradź tylko nikomu, co mam pod koszulą. Dzisiaj wieczorem wszystko się rozstrzygnie. I trzymaj się z daleka od Christosa.

- Kto to jest Christos?

- Przyjeżdża dzisiaj wieczorem. Miał być w Mirabel, ale z jakichś powodów nie dojechał. Hakim to przy nim Matka Teresa. Nie rozmawiaj z nim, nie zbliżaj się do niego. Twoje trajkotanie może go wyprowadzić z równowagi, a z tym facetem lepiej obchodzić się ostrożnie.

- Moje trajkotanie...?

Bastien zignorował jej oburzenie.

- Miej oczy szeroko otwarte i zrób tak, jak powiedziałem, a wszystko skończy się dobrze.

- A ty? Nic ci się nie stanie?

Bastien uśmiechnął się ironicznie.

- Nic mi się nie stanie. I jeszcze jedno. Nie skończyłaś się ubierać.

- Nie zamówiłaś stanika - powiedziała trochę bez sensu, pewna, że Bastien ma na myśli właśnie tę część garderoby.

- Wiem. Specjalnie wybrałem tę suknię - powiedział takim tonem, jakby omawiał wzrost cen pomarańczy w Tunezji, po czym wyjął z kieszeni smokingu naszyjnik z brylantów. - Musisz mieć jakąś biżuterię. Odwróć się.

Brylanty. Piękny naszyjnik starej roboty. Chloe stała jak skamieniała, nie była w stanie wykonać żadnego gestu, wyrzec słowa, a co dopiero obrócić się.

Bastien musiał ją obejść. Stał za jej plecami, zapiął naszyjnik, po czym odsunął się i przyjrzał Chloe, przechylając głowę.

- Dobrze w nich wyglądasz. Pasują do ciebie. - Osadzone w białym złocie brylanty iskrzyły się refleksami światła.

- Kradzione czy fałszywe? - zainteresowała się Chloe uprzejmie.

- Co to za różnica?
- W zasadzie żadna - zgodziła się.

Bastien otworzył drzwi i Chloe poczuła, że nie wróci już do tego pokoju. Nigdy już nie będzie z Bastienem sam na sam. Kiedy ujął ją pod ramię, zatrzymała się na moment.

- Wyświadczysz mi przysługę?
- Mianowicie?
- Dowiem się wreszcie, jak się nazywasz?

Bastien pokręcił głową.

- Jak już powiedziałem, nie musisz wiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej, tym jesteś bezpieczniejsza.

Tego właśnie się spodziewała.

- W takim razie przynajmniej mnie pocałuj. Tylko raz, ale tak naprawdę.

Gdyby jej nie pocałował, być może nie przetrwałby najbliższych godzin. Gdyby jej nie pocałował, nie zależałoby jej wcale na przetrwaniu.

I nie pocałował. Pokręcił tylko głową.

- Nie. Kiedy wrócisz do domu, spotkasz mnóstwo facetów, którzy będą chcieli całować się z tobą. Będziesz mogła wybierać. Wstrzymaj się do tego czasu.

- Ani myślę. - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Myślała, że będzie się bronił, protestował, że ją odepchnie, ale on po prostu pozwolił się pocałować, zachowując przy tym całkowitą bierność. Równie dobrze mogłaby pieścić własne odbicie w lustrze.

Miała ochotę rozplakać się, ale łzy musiały poczekać, razem z fa-

cetami do całowania. Odsunęła się z uśmiechem.

- To na szczęście - powiedziała różnym głosem i wyszła z pokoju, nie czekając na Bastiena, który zamykał drzwi.

Dołączył do niej po chwili i ruszyli na spotkanie wybawienia albo katastrofy. Chloe wkrótce miała się przekonać, czy los po raz kolejny okaże się dla niej łaskawy i czy jej anioł stróż i tym razem wykaże się błyskawicznym refleksem i pracowitością.

Wszyscy już się zebrali. Był Otomi i jego asystent. Był baron, który przywitał Bastiena chmurnym spojrzeniem. Była Monique, która zamarła na widok Chloe u boku swojego byłego kochanka. Natomiast Chloe kurczowo zacisnęła dłoń na jego ramieniu, gotując się na decydującą rozgrywkę.

Bastien przytulił ją, dla dodania otuchy, czemu nie, w końcu obydwójce odgrywali przedstawienie. Przez najbliższą godzinę mógł sobie pozwalać na czułe gesty, czułe spojrzenia i Chloe nawet się nie domyślała, jak wiele wysiłku go to kosztuje.

Miał pięćdziesiąt procent szans, by akcja zakończyła się powodzeniem, ale był zdecydowany wyprowadzić stąd Chloe cało, nawet gdyby przyszło mu położyć trupem wszystkich zebranych. Część z nich była, przynajmniej teoretycznie, po jego stronie, zakładając, że Bastiena można jeszcze zaliczyć do którejkolwiek ze stron.

Wszystko jedno. Nic już nie miało znaczenia. Był gotów poświęcić każde życie, życie wszystkich tu zebranych, dla ratowania Chloe. Był gotów zaryzykować nawet życie jej rodziców. Bez chwili wahania.

Powinni już być w Paryżu. Kiedy wreszcie dodzwonił się do nich, wsiadali właśnie do samolotu. Lecieli do Francji szukać swojej zaginionej córki. Ciało Sylvii zostało znalezione, odnalazł się też paszport samej Chloe i policja skontaktowała się z Underwoodami. Powinni niebawem pojawić się w hotelu, w samą porę, by wybawić Chloe z krwawej rozprawy, która tu się wkrótce rozegra.

Chloe nie wiedziała, że kiedy na umówiony znak wybiegnie z sali, wpadnie prosto w ramiona umierających z niepokoju rodziców. Oni już się nią zajmą, dopilnują, żeby tu nie wróciła, cokolwiek usłyszą. Oby tylko zdążyli wyprowadzić córkę bezpiecznie z hotelu, zanim zacznie się strzelanina.

- Cóż za niespodzianka - zagadnęła słodko Monique, zbliżając się do nich. - Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz. Wiedzieliśmy, oczywiście, że to ty zabiłeś Hakima, ale nikt nie potrafił powiedzieć, czy zabrałeś ze sobą Amerykaneczkę, czy też zostawiłeś ją własnemu losowi. Cieszę się, że o nią zadbałeś.

- Ja dbam o wszystko, Monique - powiedział, głaszcząc zimną jak lód dłoń Chloe.

- Powiedz mi, dlaczego zabiłeś Hakima? Wszyscy chcieliby wiedzieć. To była bardzo niespodziewana śmierć, mówiąc najogólniej.

- Naprawdę kogoś to interesuje?

Monique uśmiechnęła się.

- Nie. Hakim był na odstrzał. Pytam ot tak, ze zwykłej ciekawości. - Dotknęła lekko ramienia Chloe. - Widzę ślady jego twórczej działalności. - Ślady były ledwie widoczne i tylko ktoś, kto znał Hakima,

mógł je dojrzeć i domyślić się, co oznaczają. Dotyk Monique przyprawił Chloe o gęsią skórę. Bastien to zauważył, toteż ujął Monique za nadgarstek i odsunął jej dłoń.

- Nie dotykaj Chloe, moja droga. Ona jest moja.

- Czyż dzielenie się z bliźnimi nie jest naszym obowiązkiem? - powiedziała Monique z przesadną urazą w głosie. - To bardzo ładna dziewczyna, kiedy ją dobrze ubrać. Jakie wspaniałe brylanty. Dawno nie widziałam równie pięknych klejnotów. Skąd je masz, maleńka? - po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do Chloe, która drgnęła nerwowo.

- Dostałam od Bastiena - bąknęła po chwili namysłu.

Monique zachmurzyła się nieco.

- Nie sądziłam, że potrafisz być taki hojny. Gdybym wiedziała to wcześniej, nie zerwałabym z tobą. Jak wiesz, uwielbiam takie stylowe świecidełka.

Zerknęła na Bastiena, oczekując jakiejś reakcji, ale on był już wyraźnie znudzony rozmową. Monique niewiele go dzisiaj obchodziła, lubiła grać, jednak to nie ona była jego celem dzisiejszego wieczoru. W porównaniu z człowiekiem, z którym Bastien miał się zmierzyć, Monique zdawała się aniołkiem, nikiem.

- Gdzie jest Christos? - zapytał. - Nie zamierza się pojawić? - W pewnym sensie tak byłoby lepiej, pomyślał. Jednak rzeczywiście tylko w pewnym sensie. Jego nieobecność wystawiłaby Chloe na większe niebezpieczeństwo tak ze strony kartelu, jak i Komitetu, natomiast jego pojawienie się oznaczało śmiertelny pojedynek dla Bastiena.

Z dwojga złego lepiej jednak, żeby Christos się pojawił i wszystko rozegrało się według planu. Przy odrobinie szczęścia Bastien wyjdzie żywo z tej potyczki, jedynie z plamą sztucznej krwi na koszuli. Niestety ostatnio przestał liczyć na uśmiechy losu. Co więcej, było mu zupełnie obojętne, co się z nim stanie, byle nikt nie skrzywdził Chloe.

- Wiem tyle samo co ty - powiedziała Monique. - Jeśli się nie pojawi, na pewno potrafimy wypełnić sobie jakoś czas. - Ponownie chciała dotknąć Chloe, ale ta cofnęła się w porę, unikając jej dotyku.

- Łapy precz, ty podła suko - niemal wyszczała ze słodkim uśmiechem. Po niemiecku.

Monique zamrugła zaskoczona i po chwili odwzajemniła uśmiech.

- Ależ to prawdziwy skarb, Bastien. Coraz bardziej mi się podoba. Wiem, wiem... Po twoim trupie. - Posłała jeszcze Bastienowi pocałunek i odplynęła wdzięcznie do zachmurzonego barona.

- Nie wiem, czy to był najmądrzejszy pomysł, Chloe - mruknął Bastien. - Niepotrzebnie zdenerwowałaś Monique, choć na twoim miejscu pewnie zrobiłbym to samo. - Nagle drzwi się otworzyły, do sali wszedł Christos i Bastien dodał: - Przygotuj się. Najgorsze dopiero przed nami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Christos nie wygląda na potwora, pomyślała Chloe, mierząc Greka ciekawym spojrzeniem. Ot, dobrze ubrany biznesmen w asyście ochro-

niarzy...

Zatrzymał się w drzwiach i powiódł wzrokiem po zebranych. Miał zimne, przenikliwe spojrzenie. Kiedy spoczęło na Chloe, przeszedł ją lodowaty dreszcz.

- Cieszę się, że was wszystkich widzę. - Mówił dobrze po angielsku, ale z silnym akcentem. Chloe natomiast знаła zaledwie kilka greckich słów. - Przepraszam, że nie mogłem przyjechać wcześniej, ale zatrzymały mnie interesy. To oczywiście nie przeszkadza mi opłakiwać śmierci naszego drogiego przyjaciela Augusta Remarque'a, człowieka o niezwykłych talentach przywódczych. Doszła mnie też wiadomość o śmierci Hakima. Jeszcze jedna niepowetowana strata. - Spojrzał na Bastiena, który słuchał go z niewzruszoną obojętnością. - Spotkanie ze starymi przyjaciółmi powinno jednak ukoić trochę mój smutek.

- Co to za obstawa, Christos? - zaatakował go wyraźnie niezadowolony pan Otomi. Widok sześciu potężnych goryli musiał go mocno poirytować, ponieważ sam zadowalał się skromną ochroną w postaci własnego asystenta.

- Należy być przezornym. Wokół tyle nagłych i niespodziewanych zgonów, dlatego też postanowiłem zadbać o moje bezpieczeństwo. Nie róbcie takich zafrasowanych min, drodzy przyjaciele. Moi ludzie są doskonale wyszkoleni. Nie zrobią jednego ruchu bez mojego wyraźnego polecenia.

Ta informacja nikogo jakoś nie uspokoiła, o ile taki miał być jej cel, pomyślała Chloe, odruchowo przysuwając się do Bastiena. Miał rację, spotkanie w Mirabel to była betka w porównaniu z ciężką atmosferą, która

panowała podczas dzisiejszego spotkania.

- Musimy omówić sprawę... - zaczął Ricetti, ale Christos przerwał mu lekceważącym machnięciem dłoni. Jakie drobne dłonie, zauważyła Chloe.

- Mamy jeszcze czas, żeby zająć się interesami - powiedział. - Tymczasem napiłbym się czegoś. Kieliszek dobrego francuskiego wina nie zawadzi. Mam już serdecznie dość naszej greckiej retsiny.

- Naturalnie. - Madame Lambert przyjęła folę gospodyni i skinęła na kelnera. - A twoi ludzie czego się napiją?

- Oni są na służbie, nie piją - mruknął Christos i atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej nieprzyjemna, jeszcze cięższa.

Bastien objął Chloe w tali i poprowadził w róg sali. Musiała bardzo uważać, żeby się na nim nie wesprzeć całym ciężarem ciała. Targały nią sprzeczne odczucia. Z jednej strony szukała wsparcia u Bastiena, z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jego opiekuńczość to czysta iluzja. Równie dobrze mogłaby oplatać ją jadowita kobra.

Usiedli na małej kanapce, blisko siebie, ale na tyle daleko, by się nie dotykać. Czy Bastien miał przy sobie broń? Nie potrafiła powiedzieć. Kiedy przyklejała poduszeczkę z farbą, była zainteresowana wyłącznie jego ciałem, nie myślała o niczym innym. Ależ ze mnie idiotka, takich nie ma co żałować, westchnęła w duchu, naprawdę zniesmaczona własną głupotą.

Ktoś podał jej kieliszek szampana. Nie zauważyła nawet, kto był taki uprzejmy. Sączyła powoli trunek, bo i tak nie miała nic lepszego do roboty. Przy okazji przyglądała się zebranym w sali gościom.

Monique flirtowała z Christosem, widocznie też nie miała nic lepszego do roboty. W pewnym momencie odwróciła się, spojrzała Chloe prosto w oczy i ruszyła w jej kierunku z paskudnym uśmiechem na twarzy.

Chloe czuła, że Bastien zeszywniał.

- Szykuj się do starcia - mruknął.

Nie powinna mieć z tym problemu. Bastien potrafił być uroczy oraz nie do wytrzymania. Wystarczy, by skupiła się na jego najgorszych, najbardziej irytujących cechach, a natychmiast wzrośnie jej ciśnienie i będzie gotowa do odparcia każdego ataku.

Ba, sama gotowa wszcząć piekielną awanturę. W sali jednak panowało tak ogromne napięcie, a ochroniarze Christosa wyglądali tak groźnie, że Chloe nie zamierzała prowokować żadnych awantur ani wybiegać potem z hukiem do toalety.

- Ani myślę - powiedziała słodkim głosem.

Bastien odwrócił się ku niej gwałtownie.

- Rób, co mówię - ponaglił ją. - Zaczyna się robić gorąco. Musisz zniknąć.

Chloe uśmiechnęła się.

- Nie wyjdę stąd bez ciebie - oznajmiła cicho, tak że tylko Bastien mógł ją słyszeć.

I usłyszał, bo natychmiast utkwiał w niej spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego.

- Nie rób tego, Chloe. Nie igraj ze mną. - W jego głosie zabrzmiała pogróżka.

- Nie igram. Po prostu nie wyjdę stąd bez ciebie. Ja wyjdę, a ty zginiesz. Nie chcę takiego zakończenia.

- Jeśli zostaniesz, to ty zginiesz.

- Być może. Co oznacza, że jeśli chcesz ratować mi życie, musisz wyjść ze mną. - Nie pozwolił jej zbyt długo napawać się triumfem z powodu tak genialnie wymyślonego planu. Miał lekko znudzoną minę, za to w oczach prawdziwą furję.

Sączył whisky z lodem i w pewnej chwili po prostu przechylił szklaneczkę, wylewając zawartość na suknię Chloe.

- Strasznie cię przepraszam, kochanie - zawołał głośno. - Taka ze mnie niezdara.

Chloe czuła, jak whisky przesiąka przez cienki materiał, ale nawet nie drgnęła. Na czarnym nie widać żadnych plam, nie tylko krwi.

- To tylko kropelka - zapewniła z uroczym uśmiechem, dotykając jego ramienia. - Naprawdę nic się nie stało, kochanie.

- Powinnaś koniecznie wytrzeć plamę - nalegał Bastien.

- Ależ skąd, zaraz wyschnie. Nie będzie śladu - upierała się Chloe.

- On chce się ciebie pozbyć, dziecko - podpowiedziała Monique, stając przed Chloe. - Wyjdź stąd, z łaski swojej, i pozwól nam zamienić kilka słów sam na sam. Mamy sporo do omówienia.

- Nie wydaje mi się - odparła Chloe najuprzejmiej, jak potrafiła.

- W takim razie zostań. - Monique usiadła na kanapce, zmuszając Bastiena, by przysunął się do Chloe. - Mnie publiczność zupełnie nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. - Uśmiechnęła się, położyła Bastie-

nowi dłoń na karku, nachyliła się i pocałowała go prosto w usta.

Bastien oddał pocałunek. Objął Monique i przyciągnął do siebie. Całował ją niespiesznie, chociaż Chloe nie tak dawno odmówił nawet zdawkowego pocałunku.

Napięcie w sali jeszcze wzrosło i tym razem wyobraźnia nie płatała Chloe żadnych sztuczek. Naprawdę działo się coś złego. Mąż Monique przyglądał się zafascynowany złączonej w pocałunku parze, ani trochę zdetonowany widokiem, pozostali obserwowali Monique i Bastiena z umiarkowanym zainteresowaniem, natomiast ochroniarze Christosa, wykorzystując fakt, że nikt na nich nie zwraca uwagi, zajęli strategiczne pozycje, rozpraszając się po całej sali.

A Bastien oczywiście nic nie widzi, zżymała się Chloe, i zamiast kontrolować sytuację, obcałowuje panią baronową. Jeśli sądził, że będzie siedziała i przyglądała się jego popisom, to grubo się przeliczył. Pewnie chciał, by zapłakana wybiegła z sali. Może właśnie tak by postąpiła, ale ludzie Christosa obstawili wszystkie wyjścia. Czy mu się to podobało, czy nie, Chloe znalazła się w potrzasku, podobnie jak reszta gości.

Położyła dłoń na ramieniu Bastiena i odciągnęła go od Monique. Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

- Wynoś się - powiedział głośno, tak by wszyscy go słyszeli. - Jestem tobą zmęczony. - I odwrócił się na powrót do Monique.

Ta kobieta najwyraźniej doskonale się bawi, pomyślała Chloe, biorąc głęboki oddech. Faceci pod ścianami nie zwracali najmniejszej uwagi na scenę rozgrywającą się na kanapce, wpatrywali się w swojego szefa,

czekając na jego znak.

Christos przyglądał się Bastienowi z lekkim rozbawieniem, ale Chloe wiedziała, co się zaraz stanie. Christos da sygnał i wszyscy zginą. Była pewna, że przeczucie jej nie myli.

Syndrom sztokholmski może być przypadłością śmiertelną. Spojrzała na wczepioną w Bastiena Monique i nie wytrzymała. Jeśli ma umrzeć, to z hukiem. Wstała, chwyciła Monique za ramię, szarpnęła z całych sił i oderwała ją od Bastiena, zanim Monique zdała sobie sprawę, co się właściwie dzieje.

- Odczep się od mojego faceta.

Nie mogła chyba powiedzieć nic bardziej idiotycznego. W sali zaległa martwa cisza, goście w napięciu obserwowali rozgrywającą się na ich oczach scenę.

Monique uśmiechnęła się.

- Nie mam nic przeciwko trójkątom, skarbie. Możesz dołączyć do nas. Trzeba urozmaicać związek, bo Bastien jest już tobą znudzony. Czyż nie powiedział ci tego przed chwilą?

Chloe rzuciła się na Monique, ale Bastien chwycił ją w ostatniej chwili, przyciągnął do siebie, po czym pchnął na podłogę i przykrył własnym ciałem.

W tej samej chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Przygwożdżona do podłogi Chloe nie była w stanie nic dojrzeć, ale wystarczyły jej same odgłosy. Strzały raz ogłuszające, to znowu przytłumione, krzyki przerażenia, głośne przekleństwa, ogólny tumult.

I ta woń, gryzący zapach prochu zmieszany z ciężkim zapachem

krwi. Bastien przygniatał ją do podłogi, ale żył, to jedno wiedziała na pewno. Słyszała jego oddech, czuła bicie jego serca. Trwała nieruchomo. Nie chciała się ruszać. Mogłaby tak pozostać już na zawsze, złączona z Bastieniem, wsłuchana w jego oddech, w bicie jego serca.

Może nikt nie zauważy, że oboje żyją?

I wtedy Bastien obrócił się na plecy, pociągając Chloe za sobą. W sali panował mrok rozświetlany tylko błyskami wystrzałów, litościwie okrywający szarym całunem ciała rannych i zabitych oraz tworzące się kałuże krwi.

Bastien przeczołgał się z Chloe za kanapkę, pociągnął ją w stronę wnęki okiennej, wepchnął za zasłonę, przycisnął do ściany i zasłonił jej usta dłonią. W drugiej trzymał pistolet.

- Nic ci nie jest? - szepnął.

Pokręciła głową, że nie, wszystko w porządku, jest cała i zdrowa.

Wysokie okno francuskie prowadziło na niewielki, zaśnieżony balkon. Chloe nie wiedziała, na którym są piętrze, ale było jej wszystko jedno. Tkwili w niewielkiej wnęcie jak w potrzasku i mieli tylko dwie możliwości. Albo ucieczkę przez balkon, albo śmierć od kuli.

- Nie ruszaj się - rozkazał Bastien i odchylił nieznacznie zasłonę.

- Nie! - krzyknęła i próbowała go zatrzymać, ale Bastien ją odepchnął tak mocno, że Chloe zatoczyła się na ścianę.

Odciągnął bardziej zasłonę, a Chloe zamknęła oczy i zasłoniła uszy, żeby nie słyszeć koszmarnych odgłosów. Po chwili był z powrotem przy niej.

- Wynośmy się stąd czym prędzej. Trzeba uciekać - powiedział nie-

swoim głosem i otworzył okno balkonowe. Podmuch mroźnego powietrza wydał zasłony, Bastien zaklął, zatknął pistolet za pasek. Kiedy odchyłał marynarkę, Chloe zobaczyła, że ma zakrwawioną koszulę. - Wychodź.

Nie zapytała nawet, jak poradzi sobie Bastien. Po prostu uniósł ją, przesadził przez barierkę balkonu i Chloe skoczyła w dół z wysokości pierwszego piętra w miękki, głęboki śnieg. Bastien wylądował tuż obok niej o ułamek sekundy później, ale musiał skoczyć mniej szczęśliwie, bo wstał z trudem i kulejąc, pociągnął Chloe w cień, pod mur. W tej samej chwili na balkonie piętro wyżej pojawili się zaalarmowani odgłosami strzelaniny goście hotelowi.

- Mój samochód jest tam - sapnął, wskazując stojące niedaleko bmw. - Lubię mieć zawsze zabezpieczoną drogę odwrotu. Usiądziesz za kierownicą?

- Nigdy nie jeździłam samochodem po Paryżu - przestraszyła się.

- Będiesz miała w takim razie okazję. - Otworzył drzwiczki od strony kierowcy, chwycił Chloe za ramię i pchnął na fotel. Nie miała wyboru. Mogła się tylko pocieszać, że o tej porze i przy tej pogodzie ruch nie będzie zbyt duży.

Bastien usadowił się na miejscu pasażera.

- Jedź na północ - polecił. - Ruszaj.

Spojrzała na niego i doszła do wniosku, że kłótnie i dyskusje nic nie dadzą. Posłusznie przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła pierwszy bieg... Opony zabuksowały i Chloe zdjęła natychmiast nogę z gazu, jakby się bała, że samochód zaraz eksploduje.

Bastien odchylił głowę na oparcie fotela i przymknął oczy.

- Jeśli zaraz nie ruszysz, zginiemy - powiedział zimnym głosem.
- Robię, co mogę. - Ponownie zapaliła silnik i tym razem wyjechała już na ulicę. I omal nie zderzyła się od razu z jakimś motocyklistą.
- Cholera - zaklęła pod nosem. - Cholera, cholera, cholera.
- O co właściwie chodzi? - zapytał zmęczonym głosem. - Dlaczego postanowiłaś, że akurat w Paryżu nie siądziesz za kierownicą?
- Boję się. Francuzi to piraci.

Zapadło milczenie i Chloe myślała już, że Bastien zasnął. Kiedy odezwał się po dłuższej chwili, jego głos brzmiał spokojnie. Zupełnie jakby silił się na cierpliwość, próbując coś wytłumaczyć niezbyt rozgarniętemu dziecku.

- Byłaś dzisiaj celem ataku bardzo groźnych, bezwzględnych zabójców. Udało ci się wyjść cało z krwawej jatki, widziałaś, jak giną ludzie. Kilku wariatów za kierownicą to naprawdę betka w porównaniu z tym, co rozegrało się właśnie w hotelu.

Chloe wzięła zakręt ze zbyt dużą prędkością i samochodem zarzuciło. Gdyby na ulicach panował normalny ruch, spowodowałyby z pewnością potężny karambol. O tej porze mieli szansę dotrzeć bezpiecznie do celu, gdziekolwiek zmierzali. To ostatnie nadal stanowiło dla Chloe tajemnicę, ale nie zmierzała się dopytywać.

- Z krwawej jatki, powiadasz? - powtórzyła głucho.
- A jak inaczej to nazwiesz? Co to było twoim zdaniem? Zabawa w salonowca? Niewiele zdążyłem zobaczyć, ale wygląda na to, że zginął baron, zginął pan Otomi, Monique...
- Monique?

- Kula trafiła ją w twarz. Cieszysz się? - Bastien miał zmęczony głos.

- Oczywiście, że nie. Niby dlaczego, nie jestem sadystką. Co z Christosem?

- Christos nie żyje. Przynajmniej tyle dobrego.

- Jesteś pewien? Było przecież ciemno...

- Jestem pewien, ponieważ to ja go zabiłem. A ja nie pudłuję. - Bastien znowu zamknął oczy. - Jedź przed siebie. Po prostu jedź. Muszę się zastanowić, co dalej.

- Taki był plan? Miałeś zabić Christosa?

- Jeśli zaszłaby konieczność. Mogłaś się przekonać na własne oczy, że owszem, zaszła taka konieczność.

- Czy to oznacza, że teraz jestem już bezpieczna?

- Ludzie, którzy się tobą interesują, nie lubią świadków. Naprawdę bezpieczna będziesz, dopiero gdy stąd wyjedziesz.

Nie zamierzała się z nim sprzeczać. Gubiła się w wydarzeniach, nie rozumiała zupełnie ich logiki, o ile można było mówić o jakiegokolwiek logice. Poza tym zbyt ją pochłaniało prowadzenie wozu, nie miała teraz głowy do kontynuowania dyskusji. Roztopiony śnieg zamarznął, jezdnie zamieniły się w ślizgawkę i Chloe musiała bardzo uważać.

Była niemal pewna, że spowoduje kraksę. Co za ironia losu! Wyszli bez szwanku ze strzelaniny, a teraz zginą jak para głupków w banalnym wypadku. Specjalnie się tym nie przejmowała. Najważniejsze, że była z Bastieniem, teraz, w tej chwili, reszta się nie liczyła.

Bastien wyjął telefon komórkowy, wybrał numer, rzucił do aparatu

kilka słów, z których Chloe niewiele mogła wywnioskować, po czym powiedział:

- Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Bastien był bardzo blady, zdawał się kompletnie wyczerpany i po raz pierwszy robił na niej wrażenie człowieka, a nie maszyny do zabijania. Jednak ludzki Bastien napawał ją przerażeniem w tej samej mierze, co jego wersja pozbawiona wszelkich emocji. Teraz bowiem budził w niej ludzkie uczucia, co szalenie ją irytowało. Bała się o niego, wydawał się taki słaby, bezradny.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. - Nic ci się nie stało? Rozumiem, że plama na koszuli to farba z ampułki? - upewniła się może trochę za późno.

- Nic mi nie jest. Kapiszon mnie oparzył, ale chyba przeżyję.

- Gdyby...

- Cicho bądź. Przez chwilę nic nie mów.

Chloe zamilkła, a Bastien prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, jakie to z jej strony ogromne poświęcenie. Włączyła radio. Didżej jakiejś stacji informował właśnie o strzelaninie w hotelu „Denis”, jedenaście osób zabitych, pięć rannych... Zmieniła stację, trafiła na jakiś francuski gangsta rap i zniechęcona wyłączyła radio. Miała dość przemocy we wszelkiej postaci.

- Jeszcze raz w lewo - odezwał się Bastien.

Byli na przedmieściach Paryża, tyle potrafiła powiedzieć, ale nie miała pojęcia gdzie. Nie знаła okolicy, wokół panował mrok. Usłyszała głośny ryk silników i zdała sobie sprawę, że muszą być w pobliżu lot-

niska.

Za chwilę rzeczywiście zobaczyła pierwsze zabudowania. Minęli parkingi, przejechali koło terminali i Bastien kazał jej podjechać pod hotel „Milton”.

- Zaparkuj na tyłach - polecił, a ona posłusznie zastosowała się do jego słów.

Dobrze, że nie każe mi wsiadać od razu do samolotu, pomyślała. Jeśli nie może mieć więcej, będzie wdzięczna losowi choćby i za tę jedną noc z Bastienem.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedział, wskazując wejście dostawcze.
- Tutaj nie zaparkuję, nie ma miejsca.
- Rób, co mówię.

Nie miała ani ochoty, ani energii na kłótnie. Zatrzymała samochód przy krawężniku, wrzuciła luz, zaciągnęła hamulec ręczny.

- Co teraz?

- Możesz wysiąść. - Bastien przechylił się i zgasił silnik. Miał krew na rękach. Oby to była tylko farba, pomyślała Chloe, odpinając pas.

Otworzyła drzwiczki i wysiadła. Śnieg z jezdni co prawda uprzątnięto, ale czuła pod wieczorowymi pantoflami warstwę lodu pokrywającą asfalt. Suknia była do wyrzucenia, poplamiona whisky, mokra od śniegu. Chloe drżała z zimna w powiewach lodowatego wiatru.

Z mroku wyłoniły się nagle dwie sylwetki i Chloe przez sekundę była niemal pewna, że zaraz zginie. Że Bastien przywiózł ją tutaj na odstrzał. Dopiero po chwili rozpoznała w dwóch tajemniczych postaciach

własnych rodziców.

Rzuciła się ku nim z okrzykiem radości, szeroko otwierając ramiona. Krwawy koszmar wreszcie się skończył, rzeczywistość odzyskała swój zwykły wymiar, Chloe była bezpieczna.

- Co wy tutaj robicie? - zaczęła pytać, z trudem łapiąc oddech. - Skąd się wzięliście? Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

- Twój znajomy skontaktował się z nami - powiedział ojciec. - Dotarła do nas informacja o śmierci Sylvii. Byliśmy w drodze na lotnisko, kiedy pan Toussaint zadzwonił. Mieliśmy jechać do hotelu „Denis”, tam się z tobą spotkać, ale nasz samolot się spóźnił.

Chloe odwróciła głowę i spojrzała na Bastiena, który z nieprzeniknioną miną stał o kilka kroków dalej, nie chcąc przeszkadzać w rodzinnym powitaniu.

- Powiedziałaś im, żeby przyjechali do hotelu, chociaż wiedziałaś, co się stanie? Mogli przecież zginąć podczas strzelaniny!

Bastien wzruszył ramionami.

- Chodziło o to, żebyś ty przeżyła. Wszystko jedno za jaką cenę - wyjaśnił rzeczowo. Ciekawe swoją drogą, w jaki sposób pogodził w sumieniu szlachetny zamiar ratowania Chloe z wystawieniem jej rodziców na największe ryzyko.

- Ty sukinsynu...

- Ciii, Chloe - zmitygowała ją matka. - Zawdzięczasz temu człowiekowi życie.

James Underwood wypuścił córkę z objęć i podszedł do Bastiena.

- Chciałem panu podziękować, że zajął się pan naszą córką. Wiem,

czasami bywa nieco kłopotliwa...

- Naprawdę miewałem już w życiu większe kłopoty - zapewnił Bastien spokojnie.

- Pozwoli pan obejrzeć ranę? Nie wiem, czy Chloe wspominała, ale oboje, żona i ja, jesteśmy lekarzami...

- Nic mi nie jest. - Bastien nie przyjął oferowanej pomocy. - A państwu radzę jak najszybciej opuścić Francję. Chloe nie powinna się tu pokazywać przynajmniej przez najbliższych dziesięć lat, a przez pierwszych pięć proszę nie spuszczać jej z oka. Najlepiej nawet na chwilę.

- Łatwo powiedzieć - mruknął doświadczony ojciec i Bastien uśmiechnął się z pełnym zrozumieniem, po czym odwrócił się i ruszył do samochodu.

Chloe patrzyła za nim, drżąc nie tylko z zimna. Była pewna, że jej rycerz zaraz wsiądzie do bmw i odjedzie bez słowa pożegnania.

Bastien otworzył drzwiczki, zawahał się, potem sięgnął na tylne siedzenie, wziął coś i zbliżył się ponownie.

Chloe nawet nie zauważyła, że rodzice cofnęli się taktownie o krok.

- Kulejesz - stwierdziła bez sensu, bo przecież wiedziała bardzo dobrze, że Bastien skreślił nogę przy skoku.

- Skreśliłem nogę, kiedy skakałem z balkonu - wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie, jakby zapomniał, że Chloe powinna o tym wiedzieć. W rękę trzymał swój kaszmirowy płaszcz, rozprostował go teraz i zarzucił Chloe na ramiona. - Słuchaj rodziców - powiedział. - Pozwól, żeby się tobą zaopiekowali.

- Nigdy nie byłam zbyt posłuszna.

Bastien uśmiechnął się szeroko.

- Miałem okazję się przekonać. Teraz bądź posłuszna. Zrób to dla mnie.

Była zbyt wyczerpana, żeby się z nim spierać. Skinęła głową i czekała, kiedy Bastien się odsunie, odwróci i odejdzie.

- Pocałuję cię, Chloe - powiedział cicho. - To będzie pożegnalny pocałunek. Potem możesz o mnie zapomnieć. Syndrom sztokholmski to mit. Wracaj do domu i znajdź kogoś, w kim będziesz mogła się zakochać.

Nie próbowała nawet nic wyjaśniać, tłumaczyć. Bastien ujął jej twarz w dłonie, te mocne, ciepłe dłonie, które ją chroniły, które dla niej zabijały, i leciuteńko dotknął jej warg. Całował jej powieki, brwi, nos. Całował policzki, po których płynęły łzy. I potem znowu usta.

I ten długi pocałunek był niczym zapowiedź czegoś, co nigdy nie miało się spełnić. Tak całuje ktoś zakochany i Chloe na kilka minut odpłynęła, zapamiętała się w tej cudownej pieśszczocie. Na moment świat przestał istnieć.

Bastien odsunął się.

- Oddychaj, Chloe - szepnął.

Po raz ostatni. I już go nie było. Samochód zniknął w mroku paryskiej nocy, a Chloe została w czarnym kaszmirowym płaszczu, który zaczął się zsuwać z jej ramion.

- Gdzieś ty, na niebiosa, znalazła takiego interesującego młodego człowieka? - zagadnęła matka, podchodząc i kładąc dłoń na ramieniu Chloe. - Zawsze byłaś bardzo konwencjonalna w doborze chłopaków.

„Mój chłopak”, określenie z innego świata, pomyślała Chloe mgliście, ale nie próbowała prostować, zbyt dużo musiałaby tłumaczyć, a sama niewiele rozumiała.

- To on mnie znalazł - powiedziała tylko zdławionym, nieswoim głosem.

- Całe szczęście - włączył się ojciec. - Wygląda na to, że wyratował cię z prawdziwego piekła. - Szkoda, że nie pozwolił mi obejrzeć tego postrzału.

- To nie był postrzał - wyjaśniła Chloe. - Farba. My... on przygotował taką atrapę z czerwoną farbą i kapiszonem...

- Chloe, kochanie, z przykrością muszę cię poinformować, że się mylisz. Pracowałem dziesięć lat jako chirurg na urazówce, wiem, jak wygląda rana postrzałowa i potrafię odróżnić zakrzepłą krew od czerwonej farby. - Ojciec Chloe musiał być naprawdę bardzo dobrym i doświadczonym lekarzem.

- To nie jest... - Raptem sobie przypomniała i zrobiło się jej niedobrze. Rana była po lewej stronie. Poduszeczkę z farbą przykleiła po prawej. - Wielki Boże - krzyknęła, wrywając się z objęć matki. - Masz rację. Musimy go znaleźć... Proszę...

- To nic nie da. Nie dogonimy go. Jestem pewien, że pojechał prosto do szpitala.

- Nie, na pewno nie pojechał do szpitala. On umrze. On chce umrzeć.

Wypowiedziała te słowa z jakąś upiorną pewnością. Nie potrafiła zrozumieć, skąd ta nagła wiedza, ale mogłaby przysiąc, że Bastien nie

będzie walczył o życie. Przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka, który igra ze śmiercią, szuka jej. Teraz, kiedy Chloe była bezpieczna, nie miał już żadnych zobowiązań na tym świecie.

- Musimy go znaleźć, tatusiu.

- Przyrzekliśmy, że wsiądziemy do pierwszego samolotu, Chloe.

Nic więcej nie mogła zrobić. Bastien odjechał w paryską mroźną noc, a ona nie wiedziała, gdzie go szukać. Czy skorzysta z czyjejś pomocy, czy nie, to już nie jej sprawa. Tak czy inaczej Bastien na zawsze zniknął z jej życia.

Oddychaj, powtarzał jej nieustannie. Wzięła głęboki oddech i szczelniej otuliła się czarnym kaszmirowym płaszczem, który ciągle pachniał wodą kolońską Bastiena.

Dała się bez oporów przeprowadzić przez hotelowe lobby na terminal lotniska, pozwoliła wsadzić się do samolotu. Nawet nie zwróciła uwagi, że lecą pierwszą klasą. Odchyliła głowę i zamknęła oczy. Kiedy stewardesa chciała wziąć od niej płaszcz, by włożyć go do schowka nad fotelem, nie pozwoliła go sobie odebrać.

Nie potrafiła płakać, nic nie czuła. Miała ciągle krew na rękach - jego krew, dopiero teraz to do niej dotarło. Żadna farba, tylko krew Bastiena. Nie zamierzała jej zmywać. To było wszystko, co jej po nim pozostało.

Syndrom sztokholmski, powtarzała sobie. Aberracja umysłowa, urojenie, chwila zaślepienia, wszystko jedno jak to nazwać. Nieważne. Wszystko się skończyło razem z pożegnalnym pocałunkiem.

Nie powinien był jej całować.

O ile łatwiej byłoby jej teraz, gdyby po prostu odwrócił się i odszedł. Nie wiedziałyby, jak słodko może smakować pocałunek Bastiena. Nie pomyślałyby, że między nimi mogłoby zdarzyć się coś więcej niż tylko seks.

Byli gdzieś w pół drogi między dwoma kontynentami, kiedy otworzyła oczy i zobaczyła, że oboje rodzice przyglądają się jej z wyraźną troską, jednakowo zaniepokojeni.

- Nic mi nie jest - skłamała, ale rodzice pokiwali tylko głowami, przyjmując to zapewnienie za dobrą monetę, bo ich najmłodsze dziecko zawsze było zdrowe, odporne i nigdy nie uskarżało się na żadne poważniejsze dolegliwości. A że właśnie miało za sobą kilka dni traumatycznych przeżyć, to przecież mogło wyglądać trochę niezdrowo. - Jest tylko jedna rzecz...

- Tak, kochanie? - zainteresowała się mama.

- Nigdy w życiu nie pojedę do Sztokholmu. - Tu Chloe ponownie zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Był kwiecień, przyszły pierwsze słoneczne dni, w powietrzu zapachniało wiosną. W Paryżu pojawiały się tłumy turystów. Sierpień i kwiecień to dwa najatrakcyjniejsze miesiące na zwiedzanie Miasta Świateł, ale Bastien nie był turystą i nie wybierał się do Paryża, ani w kwietniu, ani w bliżej określonej przyszłości.

Umiał znikać, zacierać za sobą ślady, był w tym mistrzem, tego

uczono go na szkoleniach, a szkolenia przeszedł najlepsze w świecie. Wyrwał wenflon z żyły, wymaszerował z pokoju w prywatnym szpitalu, w którym troskliwie go ulokowano, i zniknął. Zaszył się w miejscu, gdzie nikt, nawet Komitet, nie mógł go znaleźć.

Bo też uciekał przede wszystkim przed ludźmi z Komitetu. Inni po prostu zabiliby go, na co nawet chętnie by przystał, Komitet natomiast nie zgadzał się, by Bastien odszedł. Komitet nie znał słowa „nie”. Albo pracujesz dla nas, albo giniesz. A Bastien nie chciał już pracować dla Komitetu, ale też za punkt honoru stawiał sobie, by nie zlikwidowali go ci, z którymi dotąd łączyły go wspólne misje i wspólne interesy. Duma mu na to nie pozwalała.

Zaszył się w małej alpejskiej wiosce po włoskiej stronie i czekał, aż rana się zagoi. Kula drasnęła wątrobę i dość długo nie było wiadomo, czy się wykaraska, tym bardziej że sporo czasu upłynęło, zanim go znaleźli, nieprzytomnego w bmw na tyłach opuszczonego domu.

Ale w końcu go znaleźli, znaleźli też Maureen. Dla niej nic już nie dało się zrobić, natomiast Bastiena Komitet postanowił jednak uratować. Był dla nich zbyt cennym narzędziem, zbyt wiele w niego zainwestowali.

Bastien dwa razy był na granicy śmierci, dwa razy przeciągano go na tę stronę, nie dając umrzeć, w końcu pozwolił lekarzom robić z nim, co im się podoba, poddał się ich kuglarskim sztuczkom i zaczął powoli wracać do zdrowia.

Jego pokoju w szpitalu dzień i noc pilnowali ochroniarze i nie potrafił powiedzieć, czy chodzi o jego bezpieczeństwo, czy też powinien

traktować to jako formę aresztu. Nikt z Komitetu nie odwiedził go podczas rekonwalescencji i tak było lepiej. Gdyby pojawił się przy jego łóżku Harry Thomason, to tylko po to, by złożyć mu ultimatum.

Kiedy Bastien mógł już wstawać o własnych siłach, wyrwał po prostu wenflon z żyły, ogłuszył ochroniarza, przebrał się w jego rzeczy i wyszedł ze szpitala przez nikogo nie zatrzymywany.

Kilka tygodni przesiedział we włoskich Alpach, a potem pojechał do Wenecji, którą znał jak własną kieszeń. Miał pewność, że tutaj na pewno nikt go nie odnajdzie, mógł tu żyć bezpiecznie tak długo, jak zechce. Nie został jednak w Wenecji. Gnał go po świecie jakiś dziwny niepokój. Wracał do zdrowia wolniej, niż powinien, ciągle był rozdrażniony, nigdzie nie mógł zagrzać miejsca. Zamknął za sobą kolejny rozdział życia.

Ile ich już było?

Dzieciństwo wypełnione wędrówkami po świecie z matką i ciotką Cecylią, potem lata przeżyte na utrzymaniu kolejnych kochanek, rozmaitych kobiet, które wykorzystywał, by potem zniknąć bez śladu. No i wreszcie ostatni okres, najbardziej mroczny i najdłuższy, czas pracy dla Komitetu, gdzie obowiązywała zasada, że cel uświęca środki, choćby najbardziej odstręczające i okrutne.

I teraz znowu wędrówka, ale już samotna, wieczne przenoszenie się z miejsca na miejsce... Nigdzie nie pozostawał długo. Z Wenecji wyjechał zaraz po szalonym karnawale, kierując się na zachód. Na Azorach było ciepło, leniwie, przyjemnie. Chloe wspomniiał tylko jeden jedyny raz, kiedy wpadła mu w ucho śpiewna fraza wypowiedziana po portu-

galsku. Zastanowił się wtedy, czy i ten język zdołała opanować.

Zakładał, że Chloe żyje sobie spokojnie w górach Karoliny Północnej i to mu wystarczało, nic więcej nie chciał wiedzieć. Nie był jej już potrzebny, mogła doskonale obywać się bez niego. Pewnie na samą myśl o Bastienie Toussaincie przechodził ją dreszcz, o ile w ogóle go wspominała.

Miał nadzieję, że nie.

Tych kilka dni, które przyszło im przeżyć razem, musiało być dla niej koszmarem. Śmierć i zbrodnia to nie są wdzięczne klimaty dla młodych istot żyjących w bezpiecznym świecie, szczególnie zaś dla młodych Amerykanek. Jeśli Chloe sama nie uporała się z traumą, to rodzice zapewne znaleźli jej dobrego terapeutę, który pomógł jej odzyskać równowagę ducha, uwolnić się od złych wspomnień, wyleczyć z Bastiena. Tak, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wygrzewał się całymi dniami na słońcu, nie myślał o niczym i pozwalał swojemu zmaltretowanemu organizmowi wracać do zdrowia.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pojedzie potem. Grecja nie wchodziła w rachubę ze zrozumiałych względów, Daleki Wschód również nie byłby mądrym pomysłem. Yakuza wciąż nie pogodziła się z utratą pana Otomiego, a jej siatka wywiadowcza nie była wcale gorsza od tej, którą dysponował Komitet.

Gdyby Bastien pojawił się w Japonii, w ogóle gdziekolwiek w Azji Wschodniej, byłoby po nim, a on już nie chciał umierać. Nie wiedział, co jest źródłem tej nieoczekiwanej przemiany, jednak dokonała się i Bastien przestał igrać ze śmiercią.

Do Stanów także nie zamierzał jechać. Ameryka to wielki kraj, ale z chwilą przekroczenia jej granic wystawiłby się na potężne niebezpieczeństwo, które miało na imię kobieta. Oczywiście nie wykonałby żadnego ruchu, by się z nią spotkać, z całą pewnością nie szukałby jej, lecz myślałby o niej cały czas, a to by go niepotrzebnie rozpraszało. Jednym słowem, pobyt nie należałby do udanych. Nawet Kanada zdawała się zbyt blisko. W rachubę wchodziła spokojna Szwajcaria i Skandynawia, może Szwecja...

Chryste, nie! Ilekroć pomyślał o Sztokholmie, już sama nazwa miasta kojarzyła mu się z... Niech to wszyscy diabli. Gdzie się nie obrócić, wszędzie ona. Nie było miejsca, gdzie mógłby się przed nią schronić. Chyba jednak lepiej umrzeć. Albo po prostu potraktować to jako część pokuty.

Zdecydowanie za dużo pił, ale co człowiek ma lepszego do roboty, kiedy całe dnie wyleguje się na słońcu, a dziwne myśli krążą mu po głowie z regularną wręcz częstotliwością? Pił, palił, a kiedy wreszcie był na tyle pijany, że pamięć się wyłączała, szedł do łóżka z pewną miłą kelnerką. Mówił sobie, że to bardzo przyjemny sposób życia, a potem wystawiał twarz do słońca. Tak mogłoby już być do końca świata.

Ktoś właśnie zasłonił mu słońce. Bastien czekał cierpliwie, aż ten ktoś pójdzie sobie w swoją stronę, ale cień nie chciał się przemieścić, więc w końcu otworzył oczy. Koło jego leżaka stał nie kto inny jak Jensen.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy Bastien widział go po raz ostatni, tamtego wieczoru w hotelu „Denis”, u boku Ricettiego. Jego

ciemne włosy były teraz dłuższe i ufarbowane na kruczoczarno, ubrany był w dobre markowe dzinsy i chociaż Bastien nie mógł dojrzeć jego oczu ukrytych za okularami przeciwsłonecznymi, był pewien, że nie są już błękitne jak dawniej.

- Przyjechałeś mnie zabić? - zapytał leniwie, nie podnosząc się z leżaka. - Sporo tu ludzi, lepiej nie robić zamieszania. Po co się niepotrzebnie narażać? Postąpisz rozsądnie, jeśli załatwisz sprawę w jakimś cichym zaułku. Możesz też poczekać, aż wrócę do hotelu.

- Jezu, co za kiczowate powitanie - jęknął Jensen i usiadł na sąsiednim leżaku. Bastien nie mógł dojrzeć broni, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Żaden agent nie porusza się bez broni. Bo prawdziwy agent na każdym kroku napotyka niewidzialnych wrogów. - Gdybym chciał cię zlikwidować, zrobiłbym to w Paryżu. Takie polecenie dostałem od Thomasona, ale pozwoliłem ci ująć cało.

Bastien uśmiechnął się nieznacznie.

- Przypuszczałem, że to ciebie wyznaczą do tej roboty. Dlaczego mnie nie zabiłeś?

- Thomason to dureń. Nie będzie rządził Komitetem wiecznie, a ty jesteś zbyt cenny, żeby się ciebie pozbywać. To byłaby niepowetowana strata, czyste marnotrawstwo.

Bastien po raz drugi uśmiechnął się nieznacznie, bo właśnie tak lubił uśmiechać się najbardziej.

- Wybacz, Jensen, ale ja już na dobre wypisałem się z tego układu. Możesz sobie śmiało pozwolić na jedno spektakularne i skuteczne naciśnięcie spustu.

Jensen pokręcił głową.

- Ja zabijam tylko wtedy, kiedy mi za to płacą. Nie jesteś ciekaw, po co przyjechałem?

- Jeśli nie zamierzasz mnie zabić, to znaczy, że będziesz namawiać do powrotu. Nie namówisz, uprzedzam z góry. Szkoda twojego czasu. Przekaż Thomasonowi, żeby dał mi spokój. Mam go gdzieś.

- Thomason nie wie, że tu jestem i raczej nie ucieszyłaby go ta wiadomość.

Bastien nasunął okulary na czoło i spojrzał uważnie na swojego gościa.

- Kto cię przysłał?

- My dwaj nie byliśmy jedynymi agentami Komitetu w kartelu.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem. Kto jeszcze był opłacany przez Komitet?

Jensen ponownie pokręcił głową i cicho westchnął.

- Tego nie mogę ci powiedzieć. To informacja wewnętrzna, ściśle poufna, a ty przed chwilą oznajmiłeś mi, że wypisujesz się z układu.

- W rzeczy samej. - Bastien ponownie zsunął okulary na nos. - Wypisuję się z układu. Możesz tym na górze powtórzyć moje słowa. A teraz mnie zabij albo się stąd zmywaj.

- Przyjechałem tutaj, żeby cię ostrzec - powiedział Jensen z rezygnacją, bo też patetyczne frazy wygłaszane przez Bastiena poważnie utrudniały komunikację.

- Nie potrzebuję twoich ostrzeżeń, Jensen. Skoro do tej pory udało mi się pozostać przy życiu, to mam nadzieję, że szczęście nadal mnie nie

opuści.

- Nie chodzi o ciebie, Bastien, tylko o tę małą Amerykankę. Wszystko wskazuje na to, że ją wytropili.

Tego roku wiosna w górach Karoliny Północnej zaczęła się wcześniej, ale Chloe nie zauważyła nawet jej nadejścia. Rodzice dbali o nią aż przesadnie, siostra i bracia jej wręcz nadskakiwali. Była otoczona czułością i troską, a jednak nie mogła dojść do siebie, uwolnić się od wspomnień, które nadal sprawiały jej ból. Czasami już jej się zdawało, że odeszły w niepamięć, ale one znów wracały, jeszcze bardziej wyraziste i przerażające.

Maureen osuwająca się na śnieżne posłanie, nóż, który wypada jej z dłoni, krew plamiąca oślepiająco biały śnieg. Szeroko otwarte, nie widzące oczy Sylvii. Stos ciał w hotelu „Denis”, krzyki przerażenia pochwyconych w śmiertelny potrzask gości. Koszmarne obrazy wracały i Chloe zaczynała drżeć, a obok niej nie było nikogo, kto by jej powtórzył, że ma oddychać spokojnie i głęboko.

Była pewna, że wszyscy zgromadzeni tamtego wieczoru w hotelu zginęli. Policja weszła do Sali w chwilę po tym, jak Chloe i Bastien zdołali uciec przez balkon. Ci, którzy jeszcze żyli, zmarli wkrótce po przewiezieniu do szpitala. Nie uratował się nikt, kto mógłby zaświadczyć, co się naprawdę wydarzyło. Monique zginęła na miejscu od strzału w twarz, baron dokonał żywota kilka dni później, pozostali podzielili ich los.

Bolesne wspomnienia wracały, ale Bastien był w nich nieobecny, o nim jednym Chloe nie myślała nigdy. Przypuszczała, że i on nie żyje. Tak długo igrał ze śmiercią, aż wreszcie się doigrał. Z drugiej strony Bastien

był twardy, tacy nie umierają łatwo. Może dostał nową misję, a może...

Nie, nie chciała o nim myśleć. Bastien należał do mrocznej przeszłości. Nawet nie próbowała zrozumieć, co się wtedy stało. Wydarzenia były zawikłane, niejasne, pełne niewyjaśnionych punktów, tajemnic, niedopowiedzeń. Trzeba żyć dalej, powtarzała sobie, widząc zaniepokojone spojrzenia rodziców.

Odetchnęli trochę, kiedy Chloe zdecydowała, że od nowego roku akademickiego zacznie studiować sinologię. Chiński to trudny język i studia powinny pochłonać ją na tyle, by nie wracała myślami do Paryża. Poza tym za dwa tygodnie miała rozpocząć pracę jako wolontariuszka w szpitalu, a jesienią, kiedy zaczną się zajęcia na uniwersytecie, zamierzała znaleźć sobie jakąś płatną pracę, może nawet zamieszkać osobno, choć rodzice nie chcieli o tym nawet słyszeć.

Chloe powoli wracała do zdrowia, ale dotąd nie przyznała się przed samą sobą, na co właściwie cierpiała. Chciała wierzyć, że czas zaleczy wszystkie rany. Koniec i kropka.

Czuła się bezpieczna. Underwoodowie mieli dwustuakrową posiadłość, której sercem była obszerna, wygodna rezydencja na zboczu wzgórze. Stary farmerski dom, wielokrotnie przebudowywany i remontowany stał się naprawdę malowniczym siedliskiem.

Matka Chloe nigdy nie była pedantką. O czystość dbała gospodyni, która pojawiała się kilka razy w tygodniu, ale o tak zwanym porządku nie było nawet co mówić. Underwoodowie mieli po prostu zbyt wiele zainteresowań i w domu można było znaleźć wszystko: książki i wędki, maszyny do szycia i mikroskopy oraz teleskopy... Siedem podłączonych do sie-

ci komputerów stanowiło malownicze dopełnienie tego stanu rzeczy.

Nawet w domku gościnnym panował swojski bałagan. Chloe dużo czytała, szukając w lekturze zapomnienia, którego nie mogła dać jej telewizja. Robiła na drutach. Grała w tetrisa na małym gameboyu. Z tym ostatnim prawie się nie rozstawała, zabierała go ze sobą, jadąc do miasta czy idąc do łazienki.

Małeńkie kolorowe bloki sunące coraz szybciej w dół ekranu, a potem znikające, jeśli je wpasowała w odpowiednie miejsce, dawały jej poczucie równowagi, jakie człowiek osiąga być może przy ćwiczeniach zen. Grała z takim zapamiętaniem, że w końcu drętwiały jej palce.

Starła się być pogodna, miła, spokojna. Udawała przed rodzicami, że wszystko jest w porządku, że wraca do zdrowia. To oczywiście wymagało czasu, ale nikt jej nie poganiał, do niczego nie musiała się spieszyć.

- Powinnaś z nami pojechać - zagadnęła matka któregoś dnia przy śniadaniu, stawiając przed córką szklanekę soku pomarańczowego i wskazując stertę papierów na pomocniku pod ścianą. - Za bardzo się izolujesz.

- Wcale się nie izoluję - zaprzeczyła Chloe, wiedząc z góry, że jej protesty spełzną na niczym. - Po prostu zrobiłam sobie... wakacje. Jeśli wam przeszkadzam, mogę przecież...

- Nie bądź śmieszna! - Matkę bardzo trudno było wyprowadzić z równowagi, ale Chloe znajdowała się właśnie na najlepszej drodze, by osiągnąć ten cel. - W tym domu zawsze będzie dla ciebie miejsce. Niby po co zbudowaliśmy domek gościnny? Chociaż wolałabym, żebyś mieszkała z nami tutaj, w dużym domu. Czułabym się znacznie spokoj-

niejsza, wiedząc, że śpisz pod tym samym dachem.

Chloe w milczeniu sączyła swój sok. Rodzinę nadal niepokoił jej stan ducha, zwłaszcza niezwykła małomówność, ale ona już nie potrafiła paplać bez umiaru jak kiedyś.

- Ta konferencja to straszna nuda, wiem, ale twoja siostra i bracia jadą na nią, zabierają nawet dzieciaki. Odbywa się w ślicznym miejscu, nad morzem. Powinnaś pojechać.

- Nie jestem gotowa. Ale wyjedźcie i bawcie się dobrze. Od mojego powrotu nigdzie nie wyjeżdżaliście, a przecież lubicie podróżować. Ja zostanę. Naprawdę nic mi się nie stanie, jeśli pobędę kilka dni sama. To może być nawet miłe.

- Za bardzo stronisz od ludzi. - Matka odwróciła się do męża, który właśnie wszedł do kuchni. - James, przekonaj ją, żeby pojechała z nami. James pokręcił głową.

- Daj dziewczynie spokój, Claire. Poradzi sobie sama. Odpocznie trochę od nas. Kilka dni spokoju dobrze jej zrobi. Mam rację, Chloe?

- Masz absolutną rację, tato - przytaknęła Chloe z zapałem. - Naprawdę nie musicie się o mnie martwić.

Claire z niepewną miną spojrzała na męża, potem na swoją najmłodszą latorośl.

- Z dwojgiem nie wygram - powiedziała w końcu zrezygnowanym głosem. - O jedno tylko cię proszę, włącz system alarmowy.

- Przecież nigdy go nie używamy - zaprotestowała Chloe.

- Kosztował mnóstwo pieniędzy, więc czasami wypadałoby z niego skorzystać - powiedział ojciec, który raptem przeszedł do obozu wroga.

- Zawrzyjmy kompromis. Obiecasz, że włączysz system alarmowy, a my nie będziemy cię już namawiać, żebyś jechała z nami na konferencję.

- Włączę system alarmowy - zgodziła się Chloe. - Mogę nawet kupić pistolet i dwa psy obronne, jeśli tego zażądacie.

- Nie kpij sobie, Chloe. - Matka najwyraźniej dała za wygraną. - Poza tym wydaje mi się, że gdzieś na strychu jest jeszcze stara dwudziestka dwójka twojego ojca.

- Świetnie. Odszukam ją i jak hordy Hunów zaatakują naszą rodzinę posiadłość, stawię im czoło z bronią w dłoni.

- Bardzo śmieszne - mruknęła matka. - Pewnie oboje uważacie, że za bardzo wszystkim się przejmuję...

- I za to właśnie cię kochamy - wtrącił James. - A teraz nie pozostaje nam nic innego jak jechać. Ty masz referat do wygłoszenia, a ja cieszę się na spotkanie z wnukami. - Zerknął na Chloe, która siedziała przy kuchennym barku ze szklanką niedopitego soku pomarańczowego w dłoni. - I nie miałbym nic przeciwko pojawieniu się na świecie kolejnych. Nie, żebym cię ponaglał, ale miej to na uwadze. Kelvin McNery wrócił z Nowego Jorku i chce podobno założyć kancelarię w Black Mountain. Spotykałaś się z nim kiedyś, prawda? To miły chłopak.

- Owszem, miły - przytaknęła Chloe. Nie pamiętała nawet, jak ten „miły chłopak” wygląda.

- Może zaproszę go na kolację, kiedy wrócimy - zaproponowała ochoczo mama. - Nie masz chyba nic przeciwko temu, Chloe?

Co miała powiedzieć?

- Nie, skądże. Świetny pomysł.

Matka przyjęła lakoniczną odpowiedź za dobrą monetę. Tymczasem James Underwood zdążył znieść na dół torby podróżne.

- Bawcie się dobrze i nie martwcie się o mnie - powiedziała Chloe, przybierając pogodny ton.

Matka uściskała ją serdecznie i raz jeszcze spojrzała na córkę z niepokojem. Nie podobało się jej to, co zobaczyła w oczach Chloe, ale decyzja już zapadła.

- Uważaj na siebie, skarbie.

W chwilę później Underwoodowie odjechali i Chloe została sama w ogromnym, pogrążonym w ciszy domu. Włączyła system alarmowy, kiedy była już pewna, że rodzice wyjechali za bramę, i zapomniała o jego istnieniu.

W powietrzu czuło się dziwny chłód, jakby wiosna na chwilę się wycofała. Chyba powinna obejrzeć prognozę pogody, ale zazwyczaj starała się tego uniknąć, bo kiedy na ekranie pojawiała się mapa Skandynawii, Chloe zaczynała się trząść, nie tylko z zimna.

W każdym razie niebo pociemniało, pokryło się ciężkimi chmurami, zerwał się silny wiatr. Zbliżyła się zimny front, pomyślała niespokojnie, ale rodzice zdążą chyba przed nim uciec, wyjechali dostatecznie dawno, a ona nigdzie się nie wybiera, toteż pogoda nie powinna jej obchodzić.

Odpuść sobie przez tych kilka dni, będzie się wylegiwać w jacuzzi i oglądać stare musicale w telewizji. Kiedyś lubiła filmy akcji, szczególnie te, gdzie pojawiały się wschodnie sztuki walki, ale od powrotu z Paryża zniechęciła wszelkie objawy przemocy, nawet te wykreowane jedynie na użytek filmu.

Wolała oglądać Judy Garland albo Gene Kelly'ego i odległe od realnego życia krainy szczęśliwości, w których ludzie budzą się rano z przebojem na ustach i wstają z łóżka tanecznym krokiem. Na najbliższe kilka dni zamierzała przenieść się do takiego właśnie raju, nie zwracając uwagi na pogodę za oknami.

Zmierzchało już, kiedy wyszła z wanny. Włożyła gruby szlafrok kąpielowy i zeszła do kuchni. Na panelu systemu alarmowego migiała sobie zielona dioda, znak, że wszystko w porządku, że jest bezpieczna, a żadne hordy Hunów nie przekroczyły jeszcze granic posiadłości. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Chloe poczuła się naprawdę głodna. Może dlatego, że nie było matki, która wiecznie namawiała ją do jedzenia.

Chloe otworzyła ogromną lodówkę, wyjęła kawałek szarlotki, odwróciła się i napotkała spojrzenie zimnych, pozbawionych wyrazu oczu Bastiena Toussainta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Upuściła z wrażenia ciasto, talerzyk, na którym leżało, rozbił się z brzękiem u jej stóp, ale ona nawet nie drgnęła. Stała jak słup soli, zaszokowana widokiem Bastiena.

- Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha, Chloe - usłyszała jego zmysłowy głos. - Czyżbyś myślała, że nie żyję?

Chloe dopiero po dłuższej chwili odzyskała głos.

- Zastanawiałam się nad tym.

Wyglądał inaczej. Zeszczuplał, rysy mu się wyostrzyły, włosy, jesz-

cze dłuższe niż dawniej, musiały pojaśnić na słońcu, miał bardzo opaloną twarz. Dziwne, bo jakoś nie mogła wyobrazić sobie Bastiena wygrzewającego się na plaży, tak bardzo kojarzył się jej z mrokiem, ze strefą cienia.

- Nie tak łatwo mnie zabić.

Stał zbyt blisko niej, chciała się odsunąć, ale chwycił ją za ramię. Szarpnęła się odruchowo, na co Bastien po prostu uniósł ją i przestawił z dala od rozbitego szkła. Chloe zupełnie zapomniała, że jest boso.

- Może jednak się ubierzesz, a ja tu tymczasem posprzątam.

- Nie muszę się ubierać. Nigdzie nie wychodzę, ty natomiast tak. I to zaraz. Nie wiem, jak dostałeś się do domu, ale teraz wracaj, skąd przybywasz. Nie chcę cię tu widzieć.

- Naszyjnik.

- Słucham?

- Chciałem odebrać naszyjnik z brylantami - wyjaśnił spokojnie. - Miałś go na szyi, opuszczając Paryż. Pamiętasz? To rzecz o dużej wartości. Przyjechałem go odebrać.

Chloe ciągle nie mogła otrząsnąć się z szoku.

- Dlaczego nie zgłosiłeś się po niego wcześniej? Ciekawe...

- Nie mogłem.

- Wystarczyło zadzwonić i poprosić, żebym ci go odesłała.

- Jest za drogi, żeby przesyłać go pocztą czy nawet kurierem. Przepraszam, jeśli moje pojawienie się wytrąciło cię z równowagi, ale nie miałem innego wyjścia, musiałem tutaj przyjechać.

Nic nie czuję, mówiła sobie Chloe. Jakby dotykała ostrożnie rany,

by stwierdzić, czy już się zblizniła. Patrzyła w jego czarne, nieprzeniknione oczy i bardzo chciała wierzyć, że nic nie czuje, zupełnie nic.

- Rozumiem - powiedziała. - Zaraz go przyniosę i będziesz mógł sobie pójść. Naprawdę nie mam ci nic do powiedzenia.

- Nie oczekiwałem, że będziesz miała. - Bastien oparł się o blat kuchenny. - Przynieś naszyjnik i pójde.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. Nie pasował do tego miejsca. Nigdzie nie pasował. I nic do niego nie czuła - ani namiętności, ani nienawiści. Była zupełnie odrętwiała. Podobne odrętwienie pozwoliło jej przetrwać paryski koszmar. Musi się pozbyć Bastiena, dopóki jej emocje są głęboko uśpione.

- Zostań tutaj - prawie rozkazała i ruszyła ku schodom, omijając z dala Bastiena, ale on nie wykonał żadnego ruchu, nie próbował jej dotknąć.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak idiotka, ale nie była w stanie nic na to poradzić. Na wszelki wypadek wolała zachować dystans.

Większość ubrań miała w domku dla gości, jednak w suszarni na górze było trochę świeżo wypranych rzeczy, wśród których znalazła stare szare spodnie z dzianiny, T-shirt i grube skarpety. Włosy, które zdążyły już odrosnąć, związała w koński ogon. Nie chciała nawet sprawdzać w lustrze, jak wygląda. Po co? To przecież nie miało żadnego znaczenia.

Po powrocie z Paryża zupełnie zapomniała o naszyjniku. Zdjęła go jeszcze w samolocie, gdzieś nad Atlantykiem, a potem ojciec schował go bezpiecznie w domowym sejfie. Gdyby pamiętała o tym cennym cacku, być może próbowałyby odszukać jakoś Bastiena i odesłać mu klej-

not.

Czy aby na pewno? Nie znała przecież jego prawdziwego nazwiska, nie miała pojęcia, dla kogo pracował, gdzie mieszkał. Nie wiedziała o nim kompletnie nic. Poza tym, że był sprawnym zabójcą.

Spojrzała w okno, ale nie dojrzała przed domem samochodu. Jak się tu dostał? Gdzie zostawił wóz? Jak udało mu się oszukać system alarmowy? Głupie pytania. Ten człowiek, gdyby zechciał, mógłby pewnie przeniknąć przez kamienne mury. Zwykły system alarmowy, który można zamówić w pierwszej lepszej firmie, to dla kogoś takiego dziecinna igraszka.

Chloe patrzyła z niedowierzaniem na pojedyncze płatki śniegu powoli opadające na ziemię. Śnieg w kwietniu, kiedy czas na żonkile, to rzecz niebywała, przeciwna naturze. Bastien chyba musiał przywieźć go z sobą, on, taki zimny człowiek o sercu skutym czarnym lodem.

Kiedy wróciła do kuchni, szkło z talerzyka było uprzątnięte, pyrkotał ekspres do kawy. Zirykowało ją, że Bastien rządzi się w jej domu, ale przyjęła kubek, który wsunął jej w dłoń; kawa bez cukru, z dużą ilością śmietanki, tak jak lubiła. Skąd wiedział? W ciągu tych kilku dni, które przeżyli razem, nie mieli okazji raczyć się kawą.

- Proszę. - Podała mu naszyjnik, ostrożnie, tak by ich dłonie się nie zetknęły.

Bastien schował klejnot do kieszeni. Był ubrany na czarno. Jak zawsze. Czyją krew miała ukryć dzisiaj ta czerń?

Co za kretyńskie myśli, skarciła się w duchu i wbrew samej sobie westchnęła cicho z zupełnie innego powodu. Otóż od powrotu z Paryża

nie piła tak wyśmienitej kawy.

Bastien usiadł przy barku - swobodny, rozluźniony, ani trochę zbity z tropu wrogim przyjęciem, jakie zgotowała mu Chloe.

- Jak to zrobiłeś, że alarm się nie włączył? - zagadnęła.

- Musisz pytać o takie rzeczy?

Pokręciła głową.

- To oznacza, że nic mnie nie chroni, gdyby ktoś nadal interesował się moją osobą.

- A powinien się interesować?

- Nie wiem. Twierdziłeś przecież, że pewnym ludziom zależy na mojej śmierci.

- Wszyscy już nie żyją, Chloe. Nic ci nie grozi. A wasz system alarmowy jest zupełnie dobry. Co prawda daleko mu do doskonałości, ale takie właściwie w ogóle nie istnieją. - Otaksował ją uważnym spojrzeniem od góry do dołu i w kącikach jego ust pojawił się ledwie widoczny uśmiech. - Dobrze wyglądasz.

- Po co ta gadka? Dostałeś, co chciałeś. Wsiadaj do samolotu, wracaj do Francji i zapomnij o moim istnieniu.

- Bardzo bym chciał - przytaknął uprzejmie - ale jest pewien mały kłopot.

- Mianowicie? - Powinna usiąść. Gorąca kąpiel, potem chłód w domu, wstrząs wywołany nieoczekiwanym pojawieniem się Bastiena, wszystko to razem wprowadziło ją w stan kompletnej dezorientacji. Może jeśli zamruga, zjawa zniknie...

- Nie chcę mrugać - oznajmiła głośno i Bastien zrobił dziwną minę.

On też wyglądał znacznie lepiej niż w Paryżu. Jawna niesprawiedliwość losu. Chloe nagle straciła dar mowy i nie była już w stanie wyjaśnić, o co chodzi z tym mruganiem.

- Zatem nie mrugaj, chérie - szepnął Bastien. - Zamknij po prostu oczy.

I tu Chloe ogarnęły ciemności.

Chwycił ją w samą porę. Skłamał, ale cóż w tym dziwnego, bo Chloe wcale nie wyglądała dobrze. Schudła, miała cienie pod oczami, jakby źle sypiała. Nie zaskoczyło go to, a jednak po cichu liczył, że ujrzy zdrową, pełną życia amerykańską dziewczynę, gotową podać mu swoją głowę na srebrnej tacy. Miała wystarczająco dużo czasu, by dojść do siebie, odzyskać siły.

Nie odzyskała.

Wziął ją na ręce, przeniósł do salonu i ułożył na rozłożystej kanapie, z której wcześniej musiał usunąć stos książek i gazet. Najwyraźniej przesadził, obliczył dawkę środka usypiającego, biorąc pod uwagę jej dawną wagę, tymczasem Chloe była lżejsza przynajmniej o pięć kilogramów.

Po prostu dłużej będzie spała. Wystarczająco długo, by uporał się z problemem i zniknął, pozostawiając Chloe w błogiej nieświadomości. Nie musiała wiedzieć, że jednak ktoś przeżył strzelaninę w hotelu „Denis”. I że ten ktoś zrobi wszystko, by dostać Chloe w swoje łapy.

Nie mógł nie zauważyć, w jaki szok wprawiło ją pojawienie się nieoczekiwanego gościa. Nie dziwił się. Chloe już uwierzyła, że raz na zawsze zniknął z jej życia. Tymczasem wyłonił się z niebytu niczym zjawą. Na szczęście miał dobry pretekst, naszyjnik, i Chloe mu uwierzyła. Teraz

pozostawało tylko liczyć, że szczęście mu dopisze, jak dopisywało tyle razy w przeszłości.

Początkowo nie zamierzał prosić Chloe o zwrot naszyjnika. Miał go od wielu lat, ten klejnot był jego pierwszym świadomym krokiem na drodze do piekła. Miał wtedy dwanaście lat, ale wyglądał na więcej i zaczął być kłopotliwym towarzystwem dla matki i ciotki Cecylii, które chciały uchodzić za młodsze niż w rzeczywistości.

Bawili akurat w Monte Carlo, stracili mnóstwo pieniędzy w kasynie i matka stanęła przed koniecznością sprzedania swojego brylantowego naszyjnika. Wściekała się, płakała, przeklinała cały świat. Bastien nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie, dlatego postanowił, na swój dziecięcy sposób, uszczęśliwić rodzicielkę. Nie mógł oczywiście zwrócić jej sprzedanego naszyjnika, ale mógł postarać się o inny.

Rzecz okazała się łatwa, dziecko nie budzi podejrzeń, nawet jeśli jest mocno wyrośniętym, pryszczatym chudzielcem. Bastien był zręczny jak małpa i nie wiedział, co to strach. Właścicielka upatrzonego naszyjnika była stara i tak gruba, że klejnot nikał w fałdach tłuszczu na jej szyi. Jego piękna matka o wiele bardziej zasługiwała na klejnot niż ta paskudna starucha.

Wszedł do jej pokoju, kiedy leżała w łóżku. Odczekał, aż zniknie amant, podstarzały importer win, którego upatrzyła sobie na kolejnego męża, i zakradł się cicho do środka. Był środek dnia, ale zasłony w oknach przepuszczały niewiele światła, w pokoju panował półmrok, w powietrzu wisiał dym papierosowy, unosił się ciężki zapach perfum, woń whisky i seksu.

Matka spała.

- Mamo? - szepnął. Nie zareagowała. Spróbował jeszcze raz. Nic. Jediną odpowiedzią było głośne, mało wytworne chrapnięcie. Dotknął delikatnie jej ramienia, potrząsnął nią i dopiero wtedy otworzyła oczy.

- Co tu robisz, smarkaczu? - zapytała, kiedy już nieco oprzytomniała, co zajęło jej dobrą chwilę. - Mówiłam ci, żebyś się nie pokazywał, kiedy mam gości.

- Przyniosłem ci coś. - Przestał się jej bać, kiedy miał dziewięć lat, ale w jej głosie było tyle złości, że miał ochotę odwrócić się i wyjść.

- Co takiego? - Usiadła na łóżku, nie próbując się nawet okryć. Bastien często widywał matkę w negliżu i jej nagość nie wprawiała go w zakłopotanie. - Po co mnie obudziłeś?

Wyciągnął przed siebie dłoń, w której skrzył się naszyjnik z brylantami.

- To prezent dla ciebie.

Matka wyprostowała się w pościeli, sięgnęła po papierosa, zapaliła.

- Daj mi to.

Przez chwilę oglądała w skupieniu klejnot, po czym wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Skąd go masz?

- Znalazłem...

- Skąd to masz?

Bastien przełknął ślinę i wykrztusił z trudem:

- Ukradłem.

Nie wiedział, jakiej reakcji właściwie oczekiwał. Wybuchu gniewu,

łez? Ale matka wybuchnęła śmiechem.

- Wcześniej zaczynasz, Bastien. Może twoim ojcem był jednak ten kieszonkowiec, a nie amerykański biznesmen. - Oddała mu naszyjnik, zgasiała papierosa i wyciągnęła się na łóżku.

- Nie chcesz go? Było ci tak smutno, że musisz sprzedać swój. - Wtedy chyba po raz ostatni odezwał się do niej normalnie, nie używając żadnej tarczy ochronnej.

Obróciła się w pościeli i spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Ten naszyjnik należy do Gertrudy Schondheim, a ta baba ma kilku niesympatycznych znajomych. Nigdy nie odważyłabym się go założyć. Jest zbyt charakterystyczny. Poza tym George wykupił moje cacko, inne rzeczy też pewnie wykupi. Idź już i daj mi się przespać.

Zacisnął palce na naszyjniku i odwrócił się, by wyjść. Głos matki zatrzymał go przy drzwiach:

- Możesz go zostawić. Tutaj mi się nie uda, ale jak pojedziemy dalej, znajdę kogoś, kto to potnie, i potem sprzeda pojedyncze kamienie.

Spojrzał na naszyjnik. Piękna, stara robota, dlatego właśnie go wybrał.

Chciał coś powiedzieć, wyrzucić z siebie żal, poczucie krzywdy, odręczenia, ale matka już spała. Wsunął naszyjnik do kieszeni i wyszedł z pokoju, a ona nigdy więcej nie wróciła do tematu.

Nie był nawet pewien, czy pamiętała epizod z naszyjnikiem. Nie miało to już żadnego znaczenia. Nie zamierzał po raz drugi wrywać się z prezentem.

Nie zamierzał też zwracać naszyjnika właścicielce. Stał się dla niego symbolem niezależności. Dopóki miał naszyjnik, rzecz tak cenną, mógł mówić sobie, że nie jest wcale zdany na kaprysy matki. Dzięki temu czuł się wolny.

Zachował naszyjnik przez te wszystkie lata. Nie raz i nie dwa był w sytuacji, kiedy dramatycznie potrzebował pieniędzy, a jednak nie pozbył się klejnotu. Od dnia kradzieży minęło dwadzieścia długich lat. Całe dwadzieścia lat, po których naszyjnik znowu znalazł się na szyi kobiety. Chloe.

Obszedł dom, sprawdzając starannie wszystkie drzwi i okna. System alarmowy był rzeczywiście godny zaufania, najnowszej generacji, co oznaczało, że dobrze wyszkolony agent będzie potrzebował około pięciu minut, by go wyłączyć. Bastien miał dość czasu, by dobrze zabezpieczyć wszystkie wejścia, uniemożliwiając wtargnięcie nieproszonych gości, a przynajmniej utrudniając im dostanie się do domu.

Zerknął na zegarek. Nie miał żadnej pewności, na ile sprawdzą się informacje Jensena, skądinąd bardzo dokładne, ale intuicja podpowiadała mu, że chłopakowi można zaufać. Musiał brać jednak pod uwagę różne komplikacje natury technicznej. Tak jak to miało miejsce w hotelu „Denis”. Gdyby samolot Underwoodów wylądował wtedy o czasie, Chloe nie wiedziałaby nawet, że doszło do strzelaniny.

Mógł oczywiście zginąć, ale życie od dawna nie miało dla niego zbyt wielkiej wartości.

Wrócił do salonu, gdzie na kanapie leżała Chloe pogrążona w głębokim śnie. Dojrzał na fotelu kolorowy pled, sięgnął po niego i okrył ją.

Włosy jej odrosły, ale nikt przez te miesiące nie zajął się nimi fachowo, poprawiając paryskie postrzyżyny. Już wtedy podobał mu się efekt działalności Chloe.

Pogodził się jakoś z faktem, że w Chloe podoba mu się niemal wszystko. Dlatego tak bardzo nie chciał pojawić się znowu w jej życiu. I pewnie nigdy by jej już nie zobaczył, gdyby nie zmusiły go do tego okoliczności. Zaraz po rozmowie z Jensenem wsiadł w samolot i przyleciał do Stanów. Nie miał wyboru.

Podszedł do okna. Zdążył już się zorientować, że Chloe mieszkała w jednym z kilku domków gościnnych. Pozapalał światła, włączył telewizor, zasłonił żaluzje. Przygotowywał małą niespodziankę dla gości. Nie powstrzyma ich na długo, ale tutaj każda minuta mogła mieć ogromne znaczenie.

Wylądowali w Kanadzie i teraz kierowali się do Karoliny. Pięciu ludzi, wliczając ich szefa. Tyle zdążył mu przekazać Jensen, zanim do nich dołączył. Od tej chwili nie mógł już kontaktować się z Bastienem, ale obiecał mu pomoc.

W domu było kilka komputerów, ale wolał z nich nie korzystać. Wszystkie połączenia z domowej sieci były z pewnością dokładnie monitorowane. Z dwojga złego komórka była bezpieczniejsza i po chwili Bastien wiedział, że niepożądani przybysze nie pojawią się wcześniej niż za osiem godzin. Kapryśna pogoda pokrzyżowała im szyki, niestety nie na długo.

Czy zdąży wywieźć Chloe? Czy w ogóle warto próbować? W domu zamienionym w małą twierdzę byli względnie bezpieczni. W drodze nie.

Poza tym jak długo można uciekać? Dokąd? W dodatku niedługo wrócić rodzice Chloe. Ich bezpieczeństwo miał gdzieś, ale musiał liczyć się z uczuciami Chloe. Ze względu na nią nie mógł pozwolić, by wpadli w zasadzkę. Co oznaczało, że należy okopać się w domu i tu czekać na przeciwników.

W salonie nie było zbyt bezpiecznie, a Chloe zapewne nie odzyska przytomności jeszcze przez wiele godzin. Byłoby wielkim szczęściem, gdyby obudziła się dopiero po wszystkim, absolutnie nieświadoma, co tu się stało. Jego już by nie było, zdążyłby się wycofać.

Problem w tym, że musiałyby zabrać naszyjnik, a tego bardzo nie chciał. Zależało mu, by Chloe go miała. Gdyby go zostawił, zachodziłaby w głowę, czemu tak postąpił i zastanawiała się, kiedy pojawi się ponownie, by w końcu odebrać klejnot. Jeden sentymentalny gest, a tyle komplikacji...

Najlepszym miejscem na przetrwanie ataku wydawała się sypialnia na piętrze, od strony ogrodu. Gdyby musieli się ewakuować, można było zsunąć się z okna po skosie dachu i z niewielkiej wysokości zeskoczyć na trawnik, a przy tym rozciągał się stąd widok na dość duży obszar wokół domu. To niewielka przewaga nad wrogiem, ale dobre i to.

Bastien wziął Chloe na ręce, ciągle nie mogąc się nadziwić, że jest taka lekka. Zaniósł ją na górę i położył do łóżka, okrywając starannie kołdrą, dopiero potem uchylił okno. Chloe była bardzo blada i zziębnięta, mimo że ubrana w ciepłe domowe ciuchy, z rodzaju tych, jakich nie włożyłaby żadna szanująca się Francuzka.

Stał przez chwilę nad nią, a potem w spontanicznym odruchu od-

garnął jej kosmyk włosów z czoła. Nawet we śnie miała ten swój uparty wyraz twarzy. Była śliczna, ale w jego życiu nie było miejsca na piękno. Bastien nachylił się i pocałował ją delikatnie.

Teraz nie pozostawało mu nic innego jak czuwać. Czuwać i czekać.

Aż pojawi się Monique, żeby zabić Chloe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy otworzyła oczy, nie wiedziała, gdzie jest, co się z nią dzieje. W pokoju było ciemno, tylko przez odsłonięte okno wpadało światło księżycy. Wreszcie zaczęła sobie przypominać... To dawny pokój jej najstarszego brata, nadal z niego korzystał, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do domu. Spała, otulona szczelnie kołdrą i śniło się jej, że rozmawia z Bastienem.

Ktoś siedział w fotelu pod oknem. Widziała tylko zarys sylwetki, ale wiedziała, że to jawa, nie sen. Nie usiadła w pościeli, nie poruszyła się, tylko zapytała cichym, spokojnym głosem:

- Dlaczego tu przyjechałeś? Nie chodziło przecież o naszyjnik, prawda?

Musiał wyczuć, że się obudziła, jeszcze zanim ją usłyszał. Zawsze wyczuwał, co ona robi, zdawał się nawet odgadywać jej myśli.

Oby nie wszystkie.

Milczał dość długo. Przychodziły mu do głowy różne odpowiedzi: że nie mógł żyć bez niej, że chciał ją zobaczyć jeszcze jeden, ostatni

raz, że ją kocha...

- Ktoś chce cię zabić - stwierdził w końcu suchym, beznamiętnym głosem.

Takiej właśnie odpowiedzi się spodziewała, a moment nadziei trwał tak krótko, tak bardzo krótko, że nie zdążyła poczuć bolesnego rozczarowania.

- To jasne - mruknęła. - Dlaczego niby mieli się rozmyślić? A ty oczywiście przyjechałeś ratować mi życie? Myślałam, że wykonałeś swoją robotę. Wyprawiłeś mnie z Francji. Teraz to już nie twoja sprawa, tylko naszej policji albo CIA czy kogo tam jeszcze.

Bastien milczał, a Chloe usiadła w pościeli.

- Dlaczego do diabła postanowili mnie zabić? Wydawałoby się, że powinni polować raczej na ciebie. Ja nie zrobiłam nikomu nic złego, nikogo nie zakatrupiłam. Po prostu przypadkiem znalazłam się w niewłaściwym miejscu, to moja jedyna zbrodnia. Nie stanowią żadnego zagrożenia dla waszych chorych planów dominacji nad światem. Jestem nikim.

- Oglądasz zbyt dużo telewizji, Chloe. - Razem ze zmianą wyglądu Bastien zmienił akcent, a zapewne i nazwisko, tego Chloe była niemal pewna.

- Kto chce mnie zabić? Dlaczego? I skąd ta twoja troska o moje życie?

Proszę, ponaglała go w duchu, powiedz coś. Cokolwiek, co mnie uspokoi. Coś, co pozwoli mi myśleć, że nie jestem dla ciebie tylko zawadą, kłopotem.

Wiedziała dobrze, co powie. Mówił to zbyt wiele razy. Nie obchodziła go. Po prostu czuł się za nią odpowiedzialny, ale akurat tego nie chciała usłyszeć.

Podniósł się z fotela, ciemna sylwetka w ramie okna rozświetlonej srebrną poświatą księżyca, i Chloe przeraziła się, że ktoś może do niego strzelić. Bzdura, uspokoiła się, nikt go nie zobaczy, w pokoju nie paliły się przecież światła, poza tym chyba wiedział, co robi, po prostu obserwował ogród za oknem. W końcu był fachowcem i znał się na swojej robocie. Podeszedł do Chloe i usiadł na podłodze tuż przy łóżku.

- Monique żyje.

- Twierdziłeś przecież, że zginęła. Dostała śmiertelny postrzał w twarz.

- Tak mi się wydawało. Musiałem się pomylić. W każdym razie przeżyła i ma wobec ciebie złe zamiary. Chce cię zlikwidować.

- Chyba potrafisz mnie obronić przed jedną Monique? Kilka razy uratowałeś mi już skórę. - Przypomniała sobie leżące w zabarwionym krwią śniegu ciało Maureen i przeszedł ją dreszcz.

- Monique nie przyjeżdża sama.

Siedział oparty o szafkę nocną, z rękami na kolanach, wyglądał niczym uosobienie spokoju.

- Dlaczego? - odezwała się Chloe. - Dlaczego chce zabić akurat mnie, a nie ciebie? Ja byłam osobą z zewnątrz. Nic nie wiem.

- Wiesz. Zbyt dużo widziałaś. Mnie też chce zlikwidować, tylko nie wie, gdzie szukać. Jestem trochę trudniejszym celem do namierzenia. Dlatego postanowiła zająć się najpierw tobą.

- Ale ze mnie szczęściara - mruknęła Chloe. - Na bezrybiu i rak ryba. Jestem rakiem. Zawsze, nawet dla zawodowych morderców.

- Bardzo mi przykro. Wolałabyś, żeby polowało na ciebie kilka tuzinów najlepszych snajperów? Mogę ci to załatwić.

- Jakim sposobem?

- Po prostu zostanę z tobą.

Spojrzała na niego uważnie. Rzucił propozycję ot tak sobie, od niechcienia. Nie miał zamiaru zostawać z nią ani minuty dłużej, niż będzie trzeba. Gdyby nie mordercze pomysły Monique, w ogóle by się nie pojawił.

- Wyjaśnij mi wreszcie, dlaczego Monique uparła się mnie zabić. Co prawda nazwałam ją wredną suką, ale to jeszcze nie powód. Po co tyle zachodu? Przecież jestem dla niej nikim.

- Tak, dla niej jesteś nikim.

- W takim razie dlaczego?

- Bo dla mnie jesteś kimś ważnym.

Chloe nie widziała jego twarzy, a jego głos brzmiał zupełnie obojętnie. Doszła do wniosku, że się najzwyczajniej w świecie przesłyszała.

- Nie rozumiem.

- Co tu rozumieć? Monique bardzo dobrze mnie zna. Zorientowała się, że może mnie zniszczyć... poprzez ciebie. Proste. Będzie tutaj za kilka godzin.

- Za kilka godzin? I my mamy uprzejmie czekać, aż tu dotrze i nas załatwi? Może jednak ruszymy w drogę? Ameryka to całkiem spory

kraj. Gdyby...

- Po pierwsze, pada śnieg, i to coraz bardziej. Drogi za chwilę będą nieprzejezdne. No, prawie nieprzejezdne. To nie powstrzyma Monique, ale nieco ją opóźni. Już ma spóźnienie w stosunku do swojego pierwotnego planu. A jeśli chodzi o nas, to tutaj jesteśmy najbezpieczniejsi. Pomajstrowałem trochę przy systemie alarmowym, żeby utrudnić życie naszym gościom.

Poza tym ja już zdążyłem poznać teren, oni nic o nim nie wiedzą, więc mam nad nimi przewagę. Przygotowałem też kilka niespodzianek na ich przywitanie. Zastanawiałem się, czy cię stąd nie wywieźć, ale doszedłem do wniosku, że lepiej nie. Ze mną jesteś bezpieczniejsza, a ja muszę tu zostać, żeby rozprawić się z Monique.

- Ze mną będziesz bezpieczniejsza... Zawsze mi to powtarzasz.

- I jak dotąd, miałem rację - powiedział zmęczonym głosem. - Kiedy uporam się z Monique, zniknę i więcej mnie nie zobaczysz.

- Dokąd pojedziesz?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Będę znów pracował dla Komitetu. Tylko to umiem robić i jestem w tym naprawdę dobry. Szkoda byłoby marnować takie umiejętności - głos Bastiena brzmiał niemal nonszalancko.

- W ogóle byłoby cię szkoda - powiedziała Chloe. - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że możesz być wart więcej niż twoje, hm, nieco zawężone umiejętności? Nadmierna specjalizacja wychodzi z mody.

Odwrócił się ku niej i w świetle księżyca dojrzała na jego twarzy ironiczny uśmiezek.

- Nie przyszło. Śpij dalej. Myślałem, że po dawce, którą ci zaaplikowałem, obudzisz się dopiero po dwunastu godzinach, ale ty zawsze byłaś strasznie uparta.

- Nafaszerowałaś mnie środkami usypiającymi? Naprawdę?

- Nie po raz pierwszy. Mogę zrobić znacznie gorsze rzeczy, jeśli mnie zirytujesz. Bądź cicho i daj mi pomyśleć. Będę czuwał. Możesz spać spokojnie. Nie dam się im zaskoczyć.

- Kiedy się pojawią?

- Gdyby nie śnieg, byłiby tu około północy. Przy tej pogodzie prawdopodobnie nie dotrą tu wcześniej niż o czwartej, piątej nad ranem. Przypuszczam, że zaplanowali błyskawiczną akcję: wejść, wykonać zadanie, wycofać się. Dwadzieścia minut i po wszystkim. Tak to sobie pewnie wymyślili. Monique wynajęła dobrze wyszkolonych ludzi.

- Będziesz w stanie ich powstrzymać? Sam?

- Tak. Spróbuj teraz zasnąć.

- Która godzina?

- Kilka minut po jedenastej.

- A oni pojawią się dopiero za pięć godzin?

- W najgorszym razie za cztery, w najlepszym za sześć.

- W takim razie ty też mógłbyś się przespać. Łóżko jest wielkie. Nie musisz się bać, że mnie dotkniesz przez przypadek.

Myślała, że Bastien zbędzie ją sarknięciem, ale on, o dziwo, wyciągnął się na łóżku obok niej.

- Miałaś kłopoty ze snem po wyjeździe z Paryża? - zapytał cicho.

- Tak. A ty?

- Ja nigdy nie mam kłopotów ze snem. Zасыpiam na godzinę i budzę się wypoczęty. Poza tym pamiętaj, że to, co wydarzyło się w Paryżu, nie było dla mnie niczym nowym.

Ona nie była dla niego niczym nowym - tak sobie wytłumaczyła jego słowa. Ależ z niej idiotka, że myśli o takich rzeczach, gdy za kilka godzin może zginąć. Jeśli nawet, to niezbyt sympatyczna perspektywa sprawiała, że życie nabierało smaku. Seks stawał się ważny. A reszta okazywała się tylko bełkotem z podręczników psychologii.

- To nie był żaden syndrom sztokholmski - powiedziała cicho.

- Wiem - przytaknął Bastien. - Mówiłem ci, że syndrom sztokholmski to mit.

Chloe obróciła się ku niemu.

- To dlaczego ciągle to czuję?

Nie odpowiedział na pytanie, ale odniosła wrażenie, że z jego twarzy spadała wreszcie maska lodowatego spokoju.

- Zginiemy?

- Istnieje taka możliwość. Ale na razie żyjemy - powiedział i pogłaskał delikatnie Chloe po policzku, a potem nachylił się i pocałował ją. Ujął jej twarz w dłonie. - Nie bój się, Chloe. Jeszcze nie musisz się bać. Mamy czas, czas tylko dla siebie. Myśl tylko o rozkoszy. Zamknij oczy, a ja dam ci rozkosz...

Chloe poddała się pieścizotom Bastiena, jego pocałunkom. Nie musiała nic mówić, nie czuła potrzeby słów. Czas przestał się liczyć, świat przestał się liczyć, nieważne były zagrożenia. Byli tylko oni dwoje, rozkosz, zapomnienie. I miłość. Ani czysta, ani prosta, ale jednak mi-

łość.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Chloe spała wtulona w Bastiena, snem głębszym niż po najbardziej zbijającym z nóg koktajlu środków odurzających. Spała tak głęboko, że nie obudziłyby jej chyba nawet armatnie wystrzały.

Na szczęście Bastien nie miał możliwości przekonania się, czy to założenie jest prawdziwe. Dożył sędziwego wieku trzydziestu trzech lat, bo potrafił być czujny, bo umiał realnie oceniać zagrożenie. Gdyby dosięgła go zabłąkana kula, los Chloe byłby przesądzony, a do tego nie mógł dopuścić. Nie wyda Chloe na pastwę morderców.

Chloe była w nim zadurzona czy też zafascynowana nim fizycznie. Wszystko jedno. Przyjmował ten fakt z mieszanymi uczuciami: wdzięczności i rezygnacji. Oddał się Chloe całkowicie, bez zastrzeżeń, bez zahamowań i doprowadził do tego, że zapadła w głęboki sen zupełnie wyczerpana rozkoszą.

Chloe otrząśnie się z tego zauroczenia. Była rozsądną dziewczyną, twardą, upartą. Kiedy on zniknie, czy to wykonując kolejne zlecenie dla Komitetu, czy też odchodząc w zaświaty, ona będzie żyła dalej.

Ale już nigdy nie przytrafi się jej równie wspaniały seks.

Zachował się wstrętnie, jak ostatni łajdak, ale miał nadzieję, że Chloe z nikim już nie zazna podobnych rozkoszy, jakich zaznała z nim. Będzie sypiała z innymi facetami, wyjdzie za męża, urodzi dzieci, ale nikt już nigdy nie sprawi, że jej ciało zacznie śpiewać. Było to okrutne, lecz

napawało Bastiena głęboką satysfakcją.

Przesunął dłonią po jej ramieniu. Skórę miała gładką, delikatną, bez skazy. Ślady twórczej działalności Hakima szczęśliwie zniknęły, stając się tylko koszmarnym wspomnieniem.

Jeśli Bastien wróci kiedykolwiek do pracy dla Komitetu, Thomason się wścieknie, gdy usłyszy, w jaki sposób jego agent spożytkował płynną platynę. Do diabła z Thomasonem. Thomason może się wściekać, Bastien zrobiłby dla Chloe o wiele gorsze rzeczy.

Był nawet gotów zniknąć z jej życia, bo tylko tak mógł jej zapewnić bezpieczeństwo i wolność.

Monique stanowiła ostatnie z serii zagrożeń. Nie wiedział, jak udało się jej przeżyć, wiedział natomiast, że to najbardziej niezrównoważona osoba, jaką zdarzyło mu się spotkać przez lata pracy dla Komitetu. Najbardziej niezrównoważona z żyjących, mówiąc dokładniej.

Tacy ludzie szybko giną albo wypadają z biznesu, bo w światowych rozgrywkach nie można sobie pozwalać na osobiste uczucia. Tu nie ma miejsca na nienawiść, na miłość, jest tylko zadanie do wykonania, transakcja do przeprowadzenia, a jeśli się zabija, to dlatego, że tego akurat wymaga interes twoich pracodawców.

Panią baronową chyba zachowała przy życiu jedynie siła nienawiści, i teraz, zamiast odbudowywać swoją pozycję, polowała na Chloe Underwood. A wszystko tylko po to, by unicestwić Bastiena. Wiedziała doskonale, że tylko atakując Chloe, wywabi go z ukrycia i być może również unicestwi.

Jeśli się jej nie uda, jeśli zginie, Chloe będzie bezpieczna. Bastien

był gotów uczynić wszystko, absolutnie wszystko, by ta dziewczyna znalazła wreszcie spokoju.

Wiedział, kiedy jej serce zaczęło bić innym rytmem, wiedział, kiedy otworzyła oczy, mimo że głowę miała odwróconą. Jakby był z nią połączony jakąś niewidzialną nicią. Spali ze sobą zaledwie kilka razy, a on zdążył poznać jej ciało, jej puls, oddech, bicie serca.

Raz jeszcze musnął delikatnie jej ramię, a ona natychmiast zareagowała na tę pieszczotę. Znowu chciała się z nim kochać, on z nią też.

- Wkrótce tu będą - szepnął. - Musimy się ubierać.

Chloe odwróciła się i spojrzała na niego. Bez makijażu, z potarganymi włosami wyglądała jeszcze młodziej niż zwykle.

Młoda i czysta. Tak, Chloe była czysta, miała czyste serce, on tymczasem chyba dawno temu miał w klatce piersiowej jedynie puste miejsce.

- Musimy? - Jej głos brzmiał seksownie... Bastien nie mógł w to uwierzyć, ale znów jej pragnął.

To dobrze, że za kilka godzin albo będzie martwy, albo daleko od niej. Gdy już raz zrzucił maskę, z trudem ponownie wchodził w rolę bezdusznego łajdaka. A teraz powinien być twardy, od tego mogło zależeć ich życie.

- Musimy - powiedział, odgarniając jej włosy z czoła. - Jeśli chcemy przeżyć, powinniśmy być gotowi do walki.

- Jakie mamy szanse?

Bastien wzruszył ramionami.

- Niewielkie, ale na świecie zdarzają się różne dziwne rzeczy.

- Nie mógłbyś skłamać?
- Po co miałbym to robić?

Chloe odsunęła się od niego i usiadła na łóżku. Wyglądała ślicznie, opromieniona srebrną poświatą księżyca.

- Nie wiem, ale skoro nie mamy wielkich szans, wolałabym usłyszeć kilka pięknych kłamstw. Przynajmniej umrę szczęśliwa.

- Nie umrzemy. Nie dopuszczę do tego. I jak ja się potem wytłumaczę z tych wszystkich kłamstw?

- Jeśli wyjdziemy z tego cało, zapomnę o wszystkim, co mi dzisiaj powiesz. Przyrzekam. Jeśli umrzemy, jakie znaczenie może mieć prawda? Powiedz, że ci na mnie zależy. Że jestem dla ciebie kimś ważnym.

- Właśnie dlatego, że możemy umrzeć, prawda jest taka ważna - odpowiedział Bastien. - Nie będę ci mówił, że mi na tobie zależy, bo to strata czasu. Nie wytknąłbym nosa z bezpiecznego ukrycia i nie fatygowałbym się do Stanów, gdyby mi na tobie nie zależało.

Uśmiechnęła się leciutko, niepewnym, gotowym zaraz zniknąć uśmiechem. Gdyby Bastien miał serce, na ten widok zaczęłoby bić przyspieszonym rytmem.

- Wymyśl w takim razie jakieś lepsze kłamstwo. Powiedz, że mnie kochasz.

- Nie potrzebujesz kłamstw, Chloe. Po co o nie prosisz? Ja cię kocham, Chloe.

Minęła dłuższa chwila, zanim dotarło do niej znaczenie słów Bastiena. A kiedy zrozumiała już, co miały oznaczać, nie dała im oczywiście wiary. Widział powątpiewanie w jej wielkich brązowych oczach.

- Nie powinnam była zadawać ci tego pytania - mruknęła, odsuwając się jeszcze bardziej. - Zapomnij, że w ogóle...

Przyciągnął ją tak gwałtownie, że leciutko się zachwiała, a potem ujął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w te wielkie, brązowe, pełne niedowierzania oczy.

- Kocham cię, Chloe - powtórzył poważnie, szczerze. - I to jest bardzo niebezpieczne.

- To nie ja chcę cię zabić - szepnęła.

- Może nie w tej chwili, może nie teraz - powiedział z lekkim uśmiechem. - W każdym razie jest to jakaś zmiana w naszych wzajemnych stosunkach. - Pocałował ją lekko i odsunął od siebie.

Nie dał jej szansy odpowiedzieć, nie dał szansy na zadawanie kolejnych pytań. Nie żałował, że wyznał prawdę. Jeśli umrze, nie będzie miał wyrzutów sumienia, że coś zataił. Jednak Chloe mu nie uwierzyła. Nie wiedział, czy ma odczuwać ulgę, czy powinien się zirytować.

Według niej okłamał ją z dobrego serca. Wiedziała, że ma do czynienia z bezwzględnym mordercą, a jednak gotowa była wierzyć, że jest zdolny do kłamstw, które mają oszczędzić innych, przynosić pociechę, ukojenie, szczęście. On tymczasem nie miał w sobie krzty dobroci, a kłamał tylko wtedy, kiedy chciał osiągnąć zamierzony cel.

Ubrali się pospiesznie, nie zapalając światła. Do świtu pozostało niewiele czasu. Bastien obliczał, że niedługo nad szczytami gór powinno pojawić się słońce, a Monique wolałaby zapewne zakończyć zadanie jeszcze przed brzaskiem. Czuł, że czai się już gdzieś w pobliżu. Dotąd nie zdradziła się swoją obecnością, ale ufał swojej intuicji.

W korytarzu paliło się światło. Zostawił je specjalnie, kiedy niósł Chloe do sypialni. Teraz światło zgasło i uszu Bastiena doszedł przytłumiony, daleki odgłos wybuchu.

- Dotarli - powiedział. - Ale już jest ich mniej.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała z lękiem.
- Ustawiłem system alarmowy w taki sposób, że ten, kto próbował go wyłączyć, musiał zginąć. Teraz Monique ma tylko czterech ludzi zamiast pięciu.

Nie dopytywała się, jak to zrobił, po prostu przyjęła do wiadomości to, co jej zakomunikował. Jeśli nadal będzie taka ufna i spokojna, mieli szansę wyjść cało z opresji.

Włożyła te same sprane spodnie od dresu i rozciągniętą bluzę. To skandal, że ktoś może wyglądać tak seksownie w starych domowych ciuchach, kiedy tutaj toczy się walka na śmierć i życie, pomyślał Bastien.

Dało się słyszeć kolejną eksplozję i ciemności rozświetlił różowy blask.

- Co to było? - zapytała Chloe.
- Domek gościnny. Mieli dobre rozpoznanie, wiedzieli, że tam mieszkasz. Mam nadzieję, że stracili kolejnego człowieka, ale głowy nie dam.

- Domek płonie? - Chloe chciała podejść do okna. - Tam są wszystkie moje rzeczy. Wszystko, co ważne...

Bastien chwycił ją w pól i przytrzymał. Ludzie Monique z pewnością obserwowali duży dom, wypatrując jakichkolwiek oznak życia.

- Przedmioty nie są ważne - szepnął. - Muszę iść, Chloe.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Jak to, musisz iść? Chcesz mnie zostawić?

- Muszę. Ty się ukryjesz, a ja pójdę przywitać naszych gości. Nie próbuj mnie powstrzymywać. Będę miał większą swobodę działania, jeśli nie będę się musiał martwić o twoje bezpieczeństwo. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę po ciebie.

- A jeśli nie?

- Wtedy, moja najdroższa, pożegnaj mnie czule. Pójdę prosto do piekła, a tam na pewno cię nie spotkam - rzucił lekkim tonem.

- W takim razie nigdzie się stąd nie ruszysz.

Mógł się domyślić, że Chloe tak właśnie zareaguje. Była już ubrana, nie miała tylko nic na nogach. Patrzyła na niego nieustępliwie, uparta jak zwykle. Bastien wiedział, że istnieje tylko jeden sposób, by wyszła z tej przygody żywa. Przewidując tego typu kłopoty z Chloe, odpowiednio się zabezpieczył. Wiedział, że będzie się opierała, dlatego nie miał żadnych skrpułów.

Poszedł do niej, ale Chloe po raz pierwszy nie cofnęła się przed nim odruchowo, jak robiła to dotychczas. Gdyby powiedział słowo, zrobił jeden gest, zrzuciłaby ubranie i oboje na powrót znaleźliby się w łóżku. Jakże pragnął, żeby życie było takie proste. Niestety.

- Bardzo mi przykro, kochanie - powiedział, ujął ją jedną dłonią pod brodę, drugą, w której trzymał szeroką taśmę, zakleił jej usta, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Próbowała się z nim szarpać, ale skrępował jej ręce. Walczyła, sta-

wiała opór, Bastien był jednak wyższy od niej i znacznie silniejszy. Już po chwili Chloe leżała na podłodze, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Nie musiał patrzeć jej w oczy, by wiedzieć, że ciskają teraz gromy. Była wściekła. Nienawidziła go w tej chwili z głębi duszy, ale to nawet lepiej. Łatwiej jej będzie wymazać go z pamięci, wyrzucić z serca.

Kiedy postawił ją na nogi, próbowała uderzyć go związanymi rękoma, z takim tylko skutkiem, że straciła równowagę i byłaby upadła, gdyby jej w porę nie przytrzymał. Powinien ją ogłuszyć, ale nie potrafił tego zrobić, choć byłoby to zapewne lepsze wyjście.

- Nie stawiaj się, Chloe - szepnął jej do ucha. - Musiałem tak postąpić. Uwolnię cię, dopiero kiedy rozprawię się z naszymi gośćmi. Jeśli nie, ktoś inny cię znajdzie, oby tylko nie była to Monique.

Chloe nie chciała go słuchać. Nic dziwnego. Nie oczekiwał zrozumienia. Zarzucił ją sobie na plecy jak worek ziemniaków i wyniósł z pokoju.

Przestała się wreszcie szarpać, uspokoiła się trochę, ale nie na długo. Kiedy zorientowała się, że Bastien niesie ją do piwnicy, zaczęła trząść się jak osika. Klaustrofobia znowu dawała znać o sobie, ale Bastien nie zwracał na to uwagi. Zawsze wybieramy między mniejszym i większym złem, zawsze płacimy za te wybory, czasami bardzo wysoką cenę.

Umieścił Chloe w maleńkim, dobrze zakamuflowanym, niskim pomieszczeniu piwnicznym.

Próbowała krzyczeć, wiała się na podłodze, wszystko na próżno. Bastien musiał być wobec niej bezlitosny. Wepchnął ją głębiej do kryjówki tak małej, że mogła się w niej zmieścić tylko jedna osoba, i położył na

chwilę dłoń na zroszonym potem czole Chloe.

- To najlepsze, najbezpieczniejsze miejsce, jakie udało mi się znaleźć, a wcześniej obejrzałem cały dom w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego - szeptał. - Zamknij oczy. Staraj się nie myśleć o ciemnościach. Skup się raczej na tym, jak skopiesz mi tyłek, kiedy już cię uwolnię.

Trzęsa się na całym ciele, Bastien nie wiedział nawet, czy go słyszy. Była przerażona, na granicy hysterii, ale nie mógł jej w tej chwili pomóc.

Nachylił się tylko i pocałował ją w zaklejone srebrną taśmą usta. Zrazem potem Chloe przestała drzeć.

- Wybacz mi - powiedział i cofając się, zamknął drzwi od pomieszczenia, w którym ją ukrył, pomieszczenia tak małego, że przypominało trumnę. Zostawił ją w absolutnych ciemnościach, gdzie miało jej towarzyszyć jedynie własne przerażenie.

Myślał, że usłyszy kopanie, odgłosy szamotania się, ale w piwnicy panowała martwa cisza. Posłał całusa w kierunku drzwi i ruszył na łów.

Chloe nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Nie śmiała się poruszyć, bojąc się, że każdy ruch, każdy odgłos wystawi Bastiena na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Siedziała skulona w kącie ciemnego pomieszczenia i próbowała walczyć z narastającym przerażeniem.

W pewnym momencie usłyszała jakiś metaliczny dźwięk, jakby coś upadło na betonową podłogę. Wyciągnęła związane ręce przed siebie i zaczęła macać w ciemnościach, szukać przedmiotu, który upadł, coraz bardziej zaintrygowana. W pierwszej chwili pomyślała, że to kula, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Jakim cudem kula mogłaby spaść na podło-

gę? Nonsens, to musiało być coś innego.

Po chwili trzymała w dłoni mały metalowy cylinder, ale nadal nie miała pojęcia, co to takiego. Bastien nie był aż takim głupkiem, by wyposażać ją w szminkę. Czowała, że za chwilę zaleje ją fala hysterii, już teraz miała ochotę wierzgać i kopać, ale takie zachowanie mogłoby spowodzić na nią śmierć. Nie, zaraz, to nie szminka.

Miniaturowa latarka.

W mrocznym pomieszczeniu mały snop światła miał siłę reflektora. Chloe poczuła, że ogarniająca ją panika ustępuje. Oparła się o ścianę, próbując oddychać głęboko, spokojnie, tak jak uczył ją Bastien.

Po chwili spróbowała zerwać taśmę, którą miała zaklejone usta. Nie bacząc na ból, szarpnęła mocno. Udało się. Bastien powinien był przewidzieć, że Chloe wcześniej czy później upora się z tym problemem. W zasadzie nie zmieniało to w żaden znaczący sposób jej położenia, bo podnoszenie krzyku nie miałyby najmniejszego sensu. Wiedziała, że jeśli nie chce zdradzić swojej kryjówki, musi zachować absolutne milczenie. Bastien wszystko dokładnie przemyślał i przewidział, zupełnie jakby śledził każdy jej ruch, odszyfrowywał każdą myśl.

Próbowała oswobodzić skrepowane dłonie, ale bezskutecznie. Linka była zawiązana solidnie, podobnie jak ta kępująca nogi. Chloe nie była w stanie poluzować ani jednej, ani drugiej. Punkt dla Bastiena.

Tkwiła zamknięta w mrocznym i ciasnym pomieszczeniu, ale przynajmniej miała latarkę. Przetrwa najgorsze. Jeśli Bastien nie przyjdzie po nią, w końcu znajdą ją rodzice. Pozostawało czekać.

Zachować spokój i czekać.

Nie przyjmowała do wiadomości myśli, że Bastien mógłby nie wrócić. Wróci. Ona musi tylko uzbroić się w cierpliwość i wierzyć w szczęśliwe zakończenie. Bastien pokona wszelkie przeciwności, niczym rozbójnik ze starej piosenki.

Musiało być teraz koło czwartej. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo się kochali - czas przestał się liczyć, stracił wszelkie znaczenie. Bastien mówił jej, że chce dotknąć ustami każdego skrawka jej ciała. I robił to. Kochał się z nią czule, ale był przy tym niezwykle zaborczy. Jeszcze teraz czuła podniecenie na samą myśl o jego pieszczotach.

Mała latarka dawała mocne światło, ale bateria w końcu się wyczerpie, poza tym światło może ją zdradzić. Chloe wyłączyła latarkę i znowu ogarnęły ją dławiące ciemności. Wzięła głęboki oddech. Zamknęła oczy. Nie podda się. Nie może się poddać. Skuliła się w kącie i czekała. Pozostawiona sama sobie. Cicha jak trusia.

Miała wrażenie, że się zdrzemnęła, chociaż było to mało prawdopodobne. W każdym razie ocknęła się z letargu na odgłos kroków. Ktoś schodził po schodach.

Serce zabiło jej mocniej w nadziei, że to Bastien wraca po nią. Chciała zawołać go, ale w ostatniej chwili pohamowała się, zagryzła wargi. To nie był Bastien. Ten, kto zszedł na dół, poruszał się bardzo cicho, ledwie słyszalnie, jednak zdradzał swoją obecność. Bastien poruszał się bezgłośnie, niczym drapieżnik, nigdy nie umiała przewidzieć, kiedy się pojawi.

Chloe raptem uświadomiła sobie, że związane dłonie są puste. Zgubiła latarkę? Nie, jest. Poczwała ją na brzuchu. Poruszyła się bardzo ostroż-

nie, chciała po nią sięgnąć i w tej samej chwili mały cylinderek stoczył się na betonową podłogę, wydając głośny, metaliczny szczęk, który w absolutnej ciszy zabrzmiał gromko jak huk wystrzału.

Wstrzymała oddech, przerażona, i zaczęła modlić się w duchu. Panie Boże, spraw, żeby nikt tego nie usłyszał, spraw, żeby to był Bastien, a nie nasi prześladowcy...

Ktoś jednym szarpnięciem otworzył drzwi od kryjówki i w progu pojawiła się sylwetka oświetlona mdłym światłem padającym od wejścia do piwnicy. Wysoki, chudy i łysy mężczyzna.

Chloe nie poruszyła się.

- Tu jesteś, maleńka - rozległ się pełen satysfakcji głos Monique. - Wiedziałam, że cię znajdę prędzej czy później. Wychodź. - Chwyła Chloe za skrepowane dłonie i wyciągnęła ją mocnym szarpnięciem z kryjówki, tak że Chloe upadła u jej stóp.

Monique przyklękła przy niej. Teraz Chloe widziała ją lepiej; nie była łysa, miała ogoloną głowę. Bastien nie mylił się, musiała dostać postrzał w twarz, szczeka po lewej stronie była strzaskana, rysy pa-skudnie zdeformowane.

- Ładnie wyglądam, prawda? - zagadnęła Monique.

- Ja do ciebie nie strzelałam - powiedziała Chloe drżącym głosem.

- Ma się rozumieć, że nie ty. Pewnie nigdy nawet nie trzymałaś bro-ni w ręku, ty mała kretynko. Nie wiem, kto to zrobił, czy któryś z goryli Greka, czy ktoś od Bastiena, a może ktoś z moich. To nie ma najmniejszego znaczenia. Wyrównałam wszystkie rachunki. Zostałaś jeszcze tylko ty. Ostatnia.

Chloe przeszedł lodowaty dreszcz.

- Co to znaczy?

- A jak myślisz? To znaczy, moja droga, że Bastien nie żyje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Nie! - zawołała Chloe i w jej głosie zabrzmiało przerażenie, z którym nie chciała się zdradzać, którego nie zamierzała ujawniać. Jakże nienawidziła się w tej chwili za to, że daje Monique tego rodzaju satysfakcję.

- Ależ tak. Myślisz, że miałas do czynienia z jakimś supermanem? Nie, moja droga. To człowiek z krwi i kości, śmiertelny, jak każdy z nas. Owszem, twardszy niż inni, ale jednak śmiertelny.

- Nie wierzę ci.

- Wierzysz, wierzysz. Słyszę to w twoim głosie. Chyba od początku wiedziałaś, że nie macie żadnych szans. Nie sądziłam, że go tu znajdę. Nie rozumiem, dlaczego na nas czekał. Dlaczego nie próbował namawiać cię do ucieczki? Oczywiście nie uciekliście daleko, ale to lepsze rozwiązanie niż biernie czekać na nieuniknione. Nie wiem, co nim kierowało. Może wolał śmierć niż perspektywę życia z kimś takim jak ty. Oplatałaś go niczym trujący bluszcz.

Chloe zdobyła się na ostatni wysiłek, jeszcze walczyła z Monique, nie chciała, by tamta zdobyła nad nią przewagę psychiczną.

- Nie przyjechałby tutaj, gdyby mu na mnie nie zależało.

Monique wzruszyła ramionami. W piwnicy przejaśniło się trochę.

Przez okienka pod sufitem sączyło się poranne światło. Musiało być koło szóstej. Chloe w ostatnich czasach tak źle sypiała, że doskonale potrafiła określić porę dnia po wyglądzie nieba, rodzaju światła.

- Nasz drogi przyjaciel od dawna szukał śmierci. Wiedziałam o tym. Ja byłam tylko instrumentem, który przyniósł mu ostateczne wybawienie.

- Skoro Bastien nie żyje, czego tu jeszcze szukasz? Czego chcesz?

- Skarbie, ty mnie w ogóle nie słuchasz. - Monique pokręciła głową z udaną przyganą. - Zlikwidowanie Bastiena było bardzo miłe, nie powiem, ale nie po to tutaj przyjechałam. Muszę ci zdradzić, że moi ludzie schwytali go, kiedy próbował stąd uciec. Chciał cię zostawić na mojej łasce, ale Dmitri był szybszy. Zresztą gdybyśmy nie zabili go dzisiaj, znalazłabym go prędzej czy później w jakimś zakątku Europy. Nie, moja mała, przyjechałam tutaj ze względu na ciebie.

- Dlaczego?

Monique wzruszyła ramionami.

- Ponieważ mnie irytujesz. Ponieważ Bastien gotów był zaryzykować wszystko i wszystkich, łącznie ze mną, przez wzgląd na honor, a honor to strasznie głupie i staroświeckie pojęcie.

- Honor? Chcesz powiedzieć, że próbował mnie ratować przez wzgląd na honor?

- Oczywiście, moja mała. A z jakiego innego powodu?

- On mnie kocha.

Monique uderzyła ją tak mocno, że Chloe znów upadła na podłogę.

Czuła krew w ustach, ale było jej już wszystko jedno, na nic nie zważała. Jeśli Bastien rzeczywiście nie żyje, ona też zginie, ale zanim to nastąpi, postara się zadać Monique jak najwięcej bólu, by zepsuć bestii radość zabijania. Nie podda się, nie sprzeda tanio skóry.

- Zazdrosna? - wycedziła jadowitym tonem. - Bardzo mi przykro, że wolał mnie od ciebie, ale chyba miał już dość starzejących się i jędzowatych puszczałskich.

Monique kopnęła ją tak mocno, że Chloe zaparło dech w płucach. Przeszył ją straszny ból, chyba Monique złamała jej żebro. Nie zważała na to.

- Był tobą znudzony, miał ciebie dość - wychrypiąła i nawet zdobyła się na złośliwy uśmiech.

Monique chwyciła ją za bluzę na piersi, szarpnęła, postawiła na nogi i przytknęła jej lufę pistoletu do skroni. Dopiero teraz Chloe zorientowała się, że przeciwniczka jest uzbrojona.

- Chcesz się przekonać, jak to jest mieć strzaskane kulą pół twarzy, mała? Wiem, jak to zrobić. Wiem, gdzie wpakować kulkę, żebyś potem leżała tutaj, wijąc się z bólu i modląc się o szybki koniec, ale twoje modlitwy nie zostaną wysłuchane. Będziesz długo konała, w potwornych męczarniach...

- Wszystko mi jedno. Nie nastraszysz mnie. - Chloe starała się mówić obojętnym głosem, próbowała nawet zdobyć się na ziewnięcie, które miało oznaczać znudzenie. - Skoro Bastien nie żyje, nic mnie już nie obchodzi. Już nie mam po co żyć. Możesz robić ze mną, co ci się żywnie podoba.

- Jezu, ty naprawdę go kochasz - zawołała Monique z najwyższym niesmakiem. - Zakochana idiotka. Jakież to żalosne. Przyznaję, jest niezły w łóżku, jeden z lepszych, z jakimi zdarzyło mi się spać, chociaż przejawia pewną niechęć do rzeczy, które ja akurat lubię. No więc dobry z niego kochanek, ale trudno go uznać za ideał. Umarł, żebrząc o życie. Ty zaraz pójdiesz w jego ślady.

- Nie licz na to. - Nie zauważyła, kiedy spadł na nią kolejny cios. Poczowała przejmujący ból i przemknęło jej przez głowę, że Monique do niej strzeliła. A potem ogarnęły ją ciemności i zapadła w niebyt.

Śnieżyca w końcu ustała. Bastien miał nadzieję, że wybuch w domku pochłonął więcej niż jedną ofiarę, ale na miejscu znalazł tylko jedne zwęglone zwłoki. Drugie dojrzał przy murze ogrodu, porażone prądem.

Trzeciego z ludzi Monique uśmiercił własnymi rękoma. Skręcił mu kark, kiedy tamten wyskoczył na niego z nożem zza węgła garażu. Rozpoznał napastnika natychmiast. Biednemu Fernandowi znudziło się najwidoczniej stanie za barem bistro na Maras i postanowił oderwać się na chwilę od codziennych zajęć. Był dobry w nowym fachu, to trzeba mu przyznać, bo zdołał zadać cios, ale nie dorównywał Bastienowi.

Bastien cofnął się, zatknął nóż Fernanda za pasek. Rana krwawiła obficie, ale nie była groźna, w każdym razie nóż nie naruszył żadnego ważnego organu.

Trzech ludzi Monique nie żyło, jednak Bastien nie wiedział dokładnie, ilu jeszcze pozostało. Stał chwilę, patrząc na szare światło świtu, słuchając treli ptaków. Jakie ptaki śpiewają rano w Ameryce? Nie miał pojęcia, ale myślał, że Chloe będzie się budziła odtąd bezpieczna, przy wtó-

rze ich świergotu, działała na niego uspokajająco.

Ruszył powoli w stronę domu. Tam powinien znaleźć Monique.

Usłyszał ich z daleka. Nie próbowali zachowywać się cicho. Skrył się w cieniu, wyczekując. Monique w towarzystwie dwóch ludzi wychodziła właśnie z piwnicy. Jeden z nich niósł na plecach Chloe.

Chloe była nieprzytomna, ale żyła. Gdyby zginęła, zostawiliby ją w piwnicy. Miała zakrwawioną twarz, zakrzepłą krew we włosach. Musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby nie wyskoczyć z ukrycia i nie rzucić się na łotrów. Nie chciał ryzykować ataku w słabo oświetlonym korytarzu. Gdyby chybił, gdyby coś mu się nie powiodło, Chloe musiałaby zginąć.

Należało czekać.

Monique otworzyła drzwi i teraz mógł przyjrzeć się jej lepiej. Ta wychudzona, przypominająca szkielet kobieta była kiedyś jego kochanką. Kula strzaskała jej szczękę, deformując straszliwie twarz. Nic dziwnego, że Monique pałała teraz żądzą mordy, czuła wręcz zwierzęcą potrzebę zabijania. To, że wybrała sobie za cel Chloe, było chore, ale jednak dało się w tym dostrzec pewną logikę.

Gdyby nie Chloe, wszystko rozegrałoby się w Mirabel, nie doszłoby do krwawej jatki w hotelu „Denis”. To dlatego Monique skierowała swoją nienawiść przeciwko Chloe, bo przez Chloe została okaleczona na całe życie, przez Chloe omal nie zginęła.

Przeżyła, ale co się odwlecze... Bastien czekał na moment, w którym będzie mógł precyzyjnie wycelować. Pozostawało mu iść za Monique i jej dwoma kompanami, po czym w odpowiednim momencie zaatakować.

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, dokąd zmierzają. Szli do starej, opuszczonej kopalni.

Bastien zacisnął mocno dłoń na pistolecie, czuł pod palcami chłód gładkiego metalu. Krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Refleksy pierwszych promieni słońca igrały na śniegu, a on w sercu czuł jedynie lód.

Nie myśl o niej, powtarzał sobie. Skup się wyłącznie na celu, na tym, co masz do zrobienia, nie pozwól, by emocje cię osłabiły. Działaj jak automat, precyzyjna, pozbawiona jakichkolwiek uczuć maszyna. To była jedyna szansa, jedyny sposób, żeby uratować Chloe, wyrwać ją z rąk morderców.

Nie będzie łatwo, bo ta dziewczyna sprawiła, że po raz pierwszy w życiu jego serce się odezwało, po raz pierwszy w życiu Bastien coś czuł i teraz paraliżował go lęk o Chloe.

Posuwał się bezszelestnie za trójką łotrów i tak dotarli przez zagajnik do wejścia do kopalni, do tej samej kopalni, w której Chloe nabiła się klaustrofobii. Monique jakimś cudem musiała się dowiedzieć o tamtym epizodzie z dzieciństwa i teraz postanowiła wykorzystać go, czyniąc śmierć Chloe jeszcze okrutniejszą.

Ludzie Monique nie próbowali zachowywać ciszy, rozmawiali ze sobą zupełnie swobodnie w jakimś europejskim języku, chyba po serbku, na ile Bastien mógł się zorientować. Dochodziły go oderwane słowa, strzępy rozmowy i przemknęła mu przez głowę absurdalna myśl. Na pewno Chloe mogłaby mu przetłumaczyć rozmowę tych ludzi, znała przecież wszystkie języki pod słońcem.

Z trudnością rozpoznawał w chudej jak szkielet kobiecie Monique. Ogoliła głowę. Ciekawe, czy musiała tak zrobić z powodu odniesionej rany, czy po prostu był to kaprys. Połowę twarzy miała zupełnie zdeformowaną. Strzaskana szczeka, kość policzkowa chyba usunięta, tak mu się przynajmniej wydawało. Zapewne czekały ją kolejne operacje, zabiegi rekonstruujące, ale w tej chwili wyglądała upiornie. Obląkane, okaleczone monstrum ze złych snów.

Serb, jeśli byli to rzeczywiście Serbowie, położył Chloe na ziemi i Bastien usłyszał jej cichy jęk, który dla niego zabrzmiał niczym najśłodsza muzyka. A więc Chloe żyje. Ocknęła się. Teraz pozostawało mu tylko unieszkodliwić Monique. Serbami specjalnie się nie przejmował, z nimi da sobie radę bez najmniejszych problemów. Czuł, że pozbawieni przywództwa Monique, staną się niegroźni. On był świetnym strzelcem, a tamci chyba nie mieli broni, w każdym razie nic takiego nie dostrzegł. Zanim jeden padnie na ziemię, powalony strzałem, drugi już dostanie kulkę.

Chloe przewróciła się z jękiem, próbowała usiąść. Bastien patrzył, przygryzając wargę, jak Monique podchodzi do niej i kopie ją z całych sił ciężkim butem.

- Masz wybór, mała - odezwała się. - Mogę rozwalić ci łeb teraz, tak że mózg się rozprysnie na śniegu. To byłby z mojej strony akt miłosierdzia, a na tyle chyba mnie poznałaś, by nie oczekiwać po mnie takich gestów. Zatem właściwie nie masz wyboru.

Monique w swym szaleństwie zaczynała mówić bzdury.

- Władowi i Dmitriemu należy się jakaś nagroda za ich trud i obaj...

dali mi do zrozumienia, że... chcieliby się z tobą zabawić, zanim przeniesiesz się na tamten świat. Wy Amerykanki macie jakieś idiotyczne uprzedzenia na punkcie gwałtu, tymczasem to może być prawdziwa frajda. Będę się przyglądać, a ty nie będziesz wiedzieć, kiedy padnie strzał. Dla chłopców to też będzie niespodzianka, co uczyni całą rzecz jeszcze bardziej ekscytującą.

- Chora suka - wycedziła Chloe.

- To jedna możliwość - ciągnęła niezrażona Monique. - Druga to taka, że dołączysz do twojego ukochanego. Być może jeszcze żyje. Masz szansę, bardzo niewielką szansę przeżycia, o ile zechcesz zaryzykować.

- Myślisz, że ci wierzę? - Chloe podniosła się do pozycji siedzącej i tym razem Monique nie zareagowała. Nie wykonała żadnego ruchu, uśmiechała się tylko upiornie.

- Wiem, ale to już twój problem. Losujesz. Albo wylosujesz szybką śmierć, albo powolne umieranie i gwałt. Wierzę, że dołączysz do Bastiena, gdziekolwiek jest. Może w grobie.

Gdziekolwiek jest? Może w grobie?

W jaką grę gra Monique? Coś się tutaj nie zgadzało. Dlaczego Monique koncentrują całą uwagę na Chloe, kiedy to on był jej głównym celem? Dlaczego raz mówi, że on żyje, a zaraz potem sugeruje, że może już leży w grobie?

- Dmitri zajął się naszym przyjacielem - zdecydowała się w końcu na jedną z wersji. - Prawda, Dmitri? To on powinien jako pierwszy zająć się tobą. W końcu zasłużył na to, bo solidnie się napracował.

Ciekawe. Dopiero teraz Bastien zaczynał rozumieć coś z tego bełkotu. Dmitri musiał okłamać Monique, zapewniając ją, że usunął Bastiena ze sceny, a ona mu uwierzyła. Monique nie blefowała. A Dmitri? Kłamał, by pomóc Bastienowi, czy też chciał ratować w ten sposób własną skórę?

Nie był raczej agentem Komitetu, Bastien znał prawie wszystkich. Nie wiedział teraz, czy może mu zaufać, czy też na wszelki wypadek powinien wykończyć obu najemników.

- Wolę dołączyć do Bastiena, niż dać ci satysfakcję i pozwolić, żebyś mnie zabiła - powiedziała Chloe zdławionym głosem.

- Ależ ty mnie wcale nie pozbawisz przyjemności. Bastien leży na dnie sztolni, która jest zalana wodą. Utopisz się, zanim zdechniesz z głodu. Albo skrećisz kark, spadając, co byłoby dla ciebie najszcześniejszym rozwiązaniem. Nie lubisz ciemnych, zamkniętych przestrzeni, prawda? Wolałabyś umrzeć szybko, najlepiej pod gołym niebem.

Wielkie nieba! Bastien wiedział już, co wybierze Chloe. Mroczną sztolnię. Wolała być z nim. Nawet jeśli to oznaczało śmierć.

Nie mam żadnego wyboru, myślała Chloe. Bastien leży na dnie sztolni, zapewne martwy, ale w to uwierzę, dopiero gdy zobaczę jego ciało. Chcę być z nim. Może to głupie i sentymentalne, ale tak właśnie postanowiła. Gdyby żył, zapewne drwiłby z jej wyboru.

To był ułamek sekundy.

Monique nie zdążyła zareagować, nie zdążyła dobyć pistoletu. Chloe rzuciła się ku wejściu do sztolni, gotowa zsunąć się w dół, głową do przodu, na samo dno. W tej samej chwili usłyszała ogłuszający huk, zaraz potem następny, dwa strzały, jeden po drugim, a potem przeraźliwy krzyk.

Wszystko jedno. Nie obchodziło jej, co dzieje się za jej plecami.

Już miała zanurkować w sztolnię, kiedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Ktoś ją szarpnął, odwrócił ku sobie i zobaczyła twarz Dmitriego, człowieka, który na rozkaz Monique uśmiercił Bastiena.

Coś w niej pękło. Rzuciła się na niego z krzykiem, kopiąc, drapiąc, gryząc, młóćąc na oślep pięściami. Uchyłał się przed jej niezbornymi atakami takim gestem, jakby oganiał się od muchy. Pochwycił ją w żelazny uścisk, udaremniając kolejne ciosy.

Przed wejściem do sztolni rozpętał się chaos. Kolejny strzał powalił drugiego Serba, który padł na ziemię z dziurą od kuli w czole, wpatrując się niewidzącymi oczami w bezchmurne błękitne niebo. Gdzieś z boku ktoś z kimś walczył, mocował się...

Obróciła się i zobaczyła Bastiena, skrwawionego, przygniecionego do ziemi przez Monique.

- Tak się cieszę, że żyjesz, mój kochany - zaśmiała się. - Będę miała przyjemność sama wyprawić cię na tamten świat.

Przyłożyła mu do głowy pistolet i na ten widok z gardła Chloe wydobył się przeraźliwy krzyk.

Monique spojrzała w jej stronę. Popełniła błąd. Bardzo drobny, ale to wystarczyło. Dostała serię z automatu, jej ciało wykonało jakiś absurdalny, spazmatyczny, trwający ułamki sekundy taniec, po czym osunęło się na Bastiena.

Chloe patrzyła przerażona, jak to bezwładne ciało po chwili znowu zaczyna się ruszać, unosić... Była tak zaszokowana, że dopiero po czasie zrozumiała, co się dzieje. To Bastien próbował wydobyć się spod Mo-

nique.

Dmitri uwolnił Chloe i ta natychmiast wczepiła się kurczowo w jego dłoń, pewna, że będzie chciał zastrzelić Bastiena, ale on tylko ją odsunął.

- To wszystko, madame? - zawołał.

Z lasu wyszła niezwykle elegancka dama, świetnie uczesana, z nie-nagannym makijażem, ubrana w czarny kostium od znanego paryskiego projektanta. Towarzyszący jej ludzie również byli ubrani na czarno, choć nie tak elegancko.

Na czerni, jak Chloe zdążyła się już przekonać, nie widać krwi.

Chloe chciała podbiec do Bastiena, ale madame Lambert była szybsza. Zbliżyła się do niego z wyciągniętą dłonią, a on stał bez ruchu, trochę zdziwiony, nie spoglądając nawet w stronę Chloe.

- Rozumiem, że Dmitri to jeden z twoich ludzi? - zapytał spokojnym głosem.

- Jeden z naszych ludzi - odparła madame. - Powinieneś być przyjsć do nas. Komitet zagwarantowałby ci ochronę. Nie musiałeś uprawiać samotnej partyzantki. Czy źle ci się z nami pracowało? Przecież stoimy po tej samej stronie. Kiedy tylko Jensen powiedział mi, co się dzieje, zmontowałam zespół i ruszyliśmy w ślad za tobą. Zdążyliśmy na prawdę w ostatniej chwili. Mało brakowało, a spóźnilibyśmy się - zakończyła surowo.

Bastien uśmiechnął się trochę nieprzytomnie.

- Komitet nigdy się nie spóźnia, madame. Harry Thomason nie ruszyłby palcem, żeby ratować Chloe. - Wymówił jej imię, ale i tym razem

nie spojrział w jej kierunku, zaś Chloe stała bez ruchu, w świetle porannego słońca bezlitośnie opromieniającego scenę krwawych wydarzeń.

- Harry Thomason odszedł na emeryturę. Ostatnio podjął kilka pochopnych, nieprzemyślanych decyzji i teraz będzie z nami współpracował wyłącznie w charakterze doradcy. Tak to wygląda.

- Czy muszę pytać, kto objął po nim stanowisko? - Głos Bastiena nie mógł brzmieć bardziej obojętnie.

Zupełnie jakby rozmawiał o zeszłorocznych cenach pomarańczy. Ale pomarańcze to przecież granaty ręczne, prawda? Chloe obawiała się, że jeszcze chwila, a wybuchnie niepohamowanym śmiechem. Bała się ataku hysterii i za nic nie chciała zwracać na siebie uwagi w sytuacji, kiedy Bastien ostentacyjnie ją ignorował.

Madame Lambert uśmiechnęła się dyskretnym uśmiechem wielkiej damy.

- Nie musisz pytać - odparła. - Jesteś nam potrzebny. Wybacz, że powiem wprost, ale nic innego nie potrafisz, a w tym co robisz, jesteś świetny. Z pewnością poradziłbyś sobie z Monique nawet bez naszej pomocy.

- Tak uważasz? - zapytał obojętnym tonem.

Ból w boku był tak dojmujący, że Chloe ledwie trzymała się na nogach, była bliska zemdlenia. Gdyby jednak upadła, Bastien spojrzalby na nią, a tego z całą pewnością by nie zniosła. Powinien odejść. Musi odejść. Wiedziała, że on tego chce. Jeśli zatem będzie sobie stała cicho, choćby i przez najbliższe dwanaście godzin, jeśli tylko wtopi się w tło, to on przestanie zwracać na nią uwagę.

- Obiecuję ci całkowitą samodzielność, Jean-Paul. Potrzebuję twojej pomocy. Czy są jakieś powody, które powstrzymują cię przed powrotem w nasze szeregi?

Ciągle nie patrzył na nią. Krwawił, ale rana nie wyglądała groźnie. Chloe była w gorszym stanie, ale wciąż trzymała się na nogach, może dlatego, że podtrzymywał ją Dmitri.

- Nie ma żadnych powodów.

Madame kiwnęła głową.

- W takim razie zabierajmy się stąd. Dmitri posprząta i dołączy do nas później. Ktoś musi opatrzyć ci ranę, Bastien.

- Zamierzasz ją zabić? - zapytał z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Skądże. Powiedziałam ci, rządy Thomasona się skończyły. Nie przypuszczam, by Chloe chciała opowiadać wszystkim wokół o swoich doświadczeniach, bo to wystawiałoby twoje życie, mój drogi, na poważne niebezpieczeństwo. Chloe tego nie zrobi. Ja wiem, jak działasz na kobiety, wystarczy jeden twój uśmiech i każda jest gotowa iść za tobą do samego piekła.

- Monique jest przykładem potwierdzającym twoją tezę - mruknął Bastien z przekąsem.

- Gdyby panna Underwood zamierzała sprawiać jakieś kłopoty, wtedy się nią zainteresujemy. Tymczasem nie widzę żadnego zagrożenia. Najlepiej, jeśli sami załatwicie swoje sprawy.

Bastien wreszcie na nią spojrzał. Stała w dalszym ciągu bez ruchu, próbując zachować spokój. Spojrzała w jego oczy, ale nic w nich nie

dojrzała. Absolutnie nic, tylko pustkę. A już jej się wydawało, że ta pustka zniknęła, odeszła...

Wzruszył ramionami, napotkawszy jej wzrok.

- Nie sędzę, żeby Chloe miała sprawiać jakieś kłopoty - powiedział. - Gdyby tak się stało, zareagujemy, jak sama powiedziałaś przed chwilą. I nie lekceważmy tego, jak niesamowicie działam na kobiety.

Madame Lambert kiwnęła głową, puszczając kpinę mimo uszu.

- Oto Jean-Paul, jakiego znałam. A już się bałam, że nigdy więcej nie wrócisz do formy. Kryzys minął?

- Minął bezpowrotnie - przytaknął Bastien. - Znowu wiem, kim jestem i gdzie jest moje miejsce.

Madame uśmiechnęła się delikatnie. Kiedyś musiała być prawdziwą pięknoscią. Nawet ona nie była zupełnie odporna na męski czar Bastiena.

- Dzięki Bogu - powiedziała i pociągnęła go za rękę, chcąc, żeby się wreszcie ruszył. - Razem zmienimy Komitet. Teraz będzie działał tak, jak powinien, zgodnie z tym, do czego został powołany. Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę, że wspólnie będziemy walczyć z wszelkimi niegodziwościami tego świata.

Bastien zatrzymał się na skraju polany, delikatnie uwolnił dłoń z uścisku madame.

- Chyba jednak nie - powiedział. - Jensen może zająć moje miejsce. Ja straciłem instynkt mordercy.

- Jakoś nie zauważyłam. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie. Świat cię potrzebuje, Jean--Paul.

- Pieprzę świat - oznajmił dobitnie.

Na polanie zapadła martwa cisza. Chloe nie śmiała się poruszyć, zaczerpnąć oddechu.

- Puść ją, Dmitri - powiedział, podchodząc do Chloe. Śnieg zniknął bez śladu, świeciło wiosenne słońce, zaczynał się nowy, pogodny dzień.

Kiedy Dmitri puścił Chloe, kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Poczowała, że osuwa się na ziemię, krzyknęła cicho i w tej samej chwili pochwyciły ją silne ramiona Bastiena.

W jego oczach zapaliło się światło, nie były już puste, pozbawione wyrazu, martwe. Uśmiechnął się do Chloe słodkim, niespiesznym uśmiechem, takim, który widziała u niego dotąd tylko jeden jedyny raz.

- Nie rób takiej zdumionej miny, Chloe - szepnął, dotykając jej rozciętej od ciosu Monique wargi. - Wszystko co ci powiedziałem tuż przed tą jatką, było prawdą. Nie okłamałem cię.

- Nie wygląda mi na to, że chcesz wziąć tylko krótki urlop. To coś gorszego, prawda, Jean-Paul? - zapytała madame.

- Przechodzę na emeryturę - odparł Bastien, patrząc w oczy Chloe. - A na imię mam naprawdę Sebastian.